

MARCIN ŚWIĄTKOWSKI

# PO SY PANA

CANES DOMINI  
ECCLESIAM CUSTODIUNT



W każdej wolnej chwili  
wnikałem w tę literacką zawieruchę.

MARCIN MORTKA

SON  
imaginatio

# Spis treści

Strony tytułowe	
Dedykacja	
Mapa	
PROLOG	
ROZDZIAŁ I	
ROZDZIAŁ II	
ROZDZIAŁ III	
ROZDZIAŁ IV	
ROZDZIAŁ V	
ROZDZIAŁ VI	
ROZDZIAŁ VII	
ROZDZIAŁ VIII	
ROZDZIAŁ IX	
ROZDZIAŁ X	
ROZDZIAŁ XI	
ROZDZIAŁ XII	
ROZDZIAŁ XIII	
OD AUTORA	
Strona redakcyjna	

PSY PANA

MARCIN ŚWIĄTKOWSKI

# PSY PANA

KRAKÓW 2023

*Dedykuję tysiącletniej Dynastei*



# PROLOG

1625

Giambattista Montalto, archiprezbiter Kolegium Rzymskiego, od pięciu lat magister artium i alchemik w służbie Jego Świątobliwości Urbana VIII, bał się.

Bał się straszliwie, jak nigdy wcześniej w swoim czterdziestosześcioletnim życiu. Bał się tak, że każdy cień, każdy podniesiony głos i teatralny szept, jaki napotykał w ciasnych uliczkach biednej części Rzymu, tak bardzo różnych od dobrze znanych, jasnych alej Watykanu, powodował u niego gwałtowne przyspieszenie oddechu i ucisk w trzewiach. Ukrywał się. A Rzym to fatalne miasto do ukrywania się.

Były wykładowca papieskiej akademii zupełnie nie znał metropolii, do której zmuszony był uciec. Nie odnajdywał się w brudnych alejkach, śmierdzących szynkowniach ani hałaśliwych burdelach, nie nawykł do wpadania w pełne brudnej wody i szczyń kałuże, unikania bogatych powozów, w których sam niedawno jeszcze wygrzewał siedzenia, ani do rozmów z ludem, na miłą wyczuwającym jego uczoną włoszczyznę, gęsto przetykaną klasyczną łaciną.

Trafił do innego świata, w którym czuł się źle. I popełniał błędy.

Wiedział o tym. Był wystarczająco bystry, żeby to wiedzieć, ale za mało doświadczony, aby tego uniknąć; w konsekwencji zdawał sobie sprawę, że jego ucieczka z miasta kościelnego jest tylko odwlekaniem nieuniknionego. Rzym przetykany był donosicielami gęściej niż szlachetny jedwab srebrem, a Giambattista rzucał się w oczy choćby przez wypiełgnowane, delikatne dłonie.

Dłonie. Po raz kolejny przyłapał się na tym, że stoi pod ścianą, popychany przez przechodniów i w świetle coraz bardziej stygnącego słońca przygląda się swoim palcom, jakby teraz dopiero uświadomił sobie ich istnienie. Kiedyś to była część ciała jak każda inna – nos, nogi, plecy. Teraz stały się nienawistnym balastem, brzemieniem, który najchętniej odciąłby przy samych nadgarstkach i wrzucił do rynsztoka, po czym wrócił, natychmiast wrócił na uczelnię i nadal przeprowadzał wykłady z *Libri quattuor sententiarum* dla diakonów, bez rąk, ale

jednak szczęśliwy, z hordą sług, którzy zastąpiliby mu tę teoretycznie niezbędną odnogę organizmu... Próbował zresztą przecież. Jego przedramiona, ukryte pod rękawami koszuli, upstrzone były bliznami od noża.

Ciemniało. Giambattista z duszą na ramieniu ruszył w stronę swojego aktualnego schronienia – pokoju w podrzędnej oberży. Dawno nie zmieniał miejsca pobytu, co potęgowało jego lęk. Zaczynało mu brakować pieniędzy, które uzyskał ze sprzedaży bogato zdobionej sutanny. Gdy doszedł na miejsce, światło dawały już tylko niesione w rękach pojedynczych przechodniów łuczywa. Na końcu ciasnej ulicy mieściła się knajpa dla kondotierów – jak zwykle dochodziły z niej odgłosy rozróby. Wszystko wydawało się zwyczajne, ale właśnie ta zwyczajność nie dawała mu spokoju. Już wchodząc po schodach na piętro, czuł, że coś jest nie tak. Zmusił się jednak do zignorowania tego przeczucia, uznając je za całkowicie nieracjonalne.

Pośpieszny rachunek sumienia, który z bijącym sercem przeprowadził między jednym a drugim skrzypnięciem stopni, niewiele mu przyniósł. Robił go już tysiące razy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Próbował wszystkiego. Wertował księgi, antyczne i kościelne, szukając recept. W tajemnicy sięgnął nawet do kilku źródeł heretyckich. Nic. W końcu zdecydował się na modlitwę, po raz pierwszy od wielu lat – szczerą; gdy i ona nie pomogła, zaczął pościć i umartwiać się w tajemnicy tak, że po dziś dzień plecy piekły go na wspomnienie bicia. Po ucieczce okaleczał się dalej, ale już tylko z rozpacz, tak samo jak z rozpacz się upijał. Nic. Nadal to miał. Jedyny krok, jakiego nie podjął, to spowiedź, ale musiałby chyba do szczeru zgłupieć, żeby przyznać się do tego któremuś z kolegów po fachu, bo wtedy – wiadomo: loch, hiszpańskie buty i rozpalone szczypce.

W szparze pod drzwiami do swojego pokoju zauważył drżące światło świecy. Odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki. Za późno.

Dwóch Szwajcarów w chrześzczących kirysach złapało go u dołu schodów i nie siląc się na delikatność, zawlekło z powrotem na piętro. Wszyscy mieszkańcy niezbyt szacownego przybytku gdzieś zniknęli, słusznie uznając, że to nie ich sprawa. Jeden z gwardzystów otworzył drzwi, a drugi wrzucił archiprezbitra do środka. Gdy pojmany pozbierał się z przeraźliwie zakurzonych desek, ujrzał wysokiego, szczupłego mężczyznę z hiszpańską bródką, opartego niedbale o jedyny względnie czysty mebel w całym pomieszczeniu: o stół. Montalto bardzo dobrze wiedział, kim jest ten człowiek, dlatego nie spojrzął mu w oczy. Po prostu zwiesił głowę.

– Giambattista, przyjacielu. Naprawdę tu żyjesz? Standard jest raczej niski – zażartował tamten, ocierając czoło wierzchem dłoni.

Nie czekał na odpowiedź.



– Nie sądziłeś chyba, że nikt nie zauważy twojego zniknięcia?

Tym razem cisza trwała na tyle długo, że klęczący na podłodze duchowny nie mógł nie odpowiedzieć.

– N...nie, wasza eminencjo. Wiedziałem, że zostanie zauważone.

– No to po co właściwie uciekałeś? Widzisz, mój drogi, jakbyś siedział cicho w swojej pracowni, nie wyściubiając z niej nosa, tak jak to robiłeś dobre pięć lat w papieskiej służbie, nikt by się tobą nie zainteresował. A tu, bach, wchodzę do kancelarii, katastrofa, panika, kłopot, bo archiprezbiter Montalto gdzieś przepadł jak kamień w wodę. Wyobraź sobie, wcale się na początku nie zaniepokoiłem. Trudno, pomyślałem, może musiał wyjechać nagle; oczywiście, nie można tak sobie wyjeżdżać bez zapowiedzi, dostanie naganę, ale to jeszcze nie powód do tragizowania. Tymczasem w stallach huczy. Uciekł do heretyków, mówią. Ma romans, mówią. A ja uspokajam: „Nie bójcie się. Zanim zdążycie zapomnieć połowę ze swoich plotek, stary Giambattista będzie tam, gdzie powinien być, czyli w swojej alchemicznej norze”. Ale mija pierwszy tydzień, drugi tydzień, trzeci... Wyobrażasz sobie, co ja tam przeżywałem, martwiąc się o ciebie?

– Jestem pewien, że wasza eminencja nie kłopotowała sobie wcale głowy takim...

– Kłopotalem, archiprezbitrze. – W głosie wysokiego mężczyzny zabrzmiała stal. – Nawet nie wiesz, jak bardzo kłopotalem. Szczególnie że jak ostatni głupiec pozostawiłeś w akademii asystenta. I wiesz, co nam opowiedział?

– Luigi to bystry młodzieniec, wasza eminencjo, ale nie należy wierzyć wszystkiemu...

– Nic nam nie opowiedział, Giambattisto. Nic. Bo przez prawie pół roku przed ucieczką zamykałeś się na głucho w pracowni, nie wpuszczając nikogo i żyjąc o chlebie i wodzie,

co zresztą widać po twojej posturze, bo schudłeś, mój drogi, okropnie. Dlatego w tej chwili udajemy się na akademię, żebyś podzielił się swoją pracą. Rozumiesz chyba, że Servus Servorum Dei nie może utrzymywać darmożjadów. No, zbieraj się z podłogi. Już! Straż, wiecie, dokąd idziemy!

Montalto nie miał absolutnie żadnej nadziei, kiedy strażnicy popychali go drzewcami halabard przez ciemne ulice Rzymu. Postronnego obserwatora mogła zwieść odegrana właśnie scena, ale kardynał Barberini, mimo komediowego talentu, nie miał bynajmniej wesołego usposobienia. Cechował go co prawda rozsądek, ale w historii Giambattisty nie było na niego miejsca, było za to – na czyste szaleństwo. Dlatego archiprezbiter pokornie włókł nogę za nogą. Nie chciało mu się nawet udawać, że się opiera. Barberini, zupełnie nieadekwatnie do swojej pozycji, szedł trzy kroki za nimi.

Gdy minęli kilka przecznic, przekroczyli śmierdzący kanał, przeszli pustymi o tej porze korytarzami akademii i stanęli przed wielkimi, piwnicznymi drzwiami

do jego pracowni, Giambattista zorientował się, że nie ma klucza – zgubił go dawno temu, na samym początku swojego wielkomięjskiego exodusu, zakładając zresztą, że nie będzie go więcej potrzebował. Jego pierwotny plan zakładał błyskawiczną ucieczkę, przejazd przez Toskanię i Księstwo Mediolanu do Szwajcarii, gdzie mógłby żyć między kalwinistami – jeśli nie w spokoju, to przynajmniej nie w strachu – ale rozpacz sparaliżowała go i przykuła do Rzymu silniej, niż zrobiłyby to jakiekolwiek kajdany. I właśnie ten zgubiony klucz stał się ostatnią iskrą nadziei, którą z siebie wykrzesał, a ponieważ bał się i tracił zmysły od wielu dni, nie przyszło mu do głowy, jak absurdalny jest to poryw. Powiedział prawie z ulgą:

– Nie wejdziemy do środka! Zgubiłem klucz!

– Ależ nic nie szkodzi, przyjacielu – odparł Barberini, dając znak Szwajcarom, którzy błyskawicznie wyrąbali halabardami dziurę w drzwiach i otworzyli je.

Weszli do środka. Gwardziści zabrali się za zapalanie łuczyw i kaganków, w czasie gdy Barberini grzał ręce, pocierając je o siebie, nie wiadomo po co, było przecież lato. Archiprezbiter rozglądał się po znajomym wnętrzu, jakby studiował twarz dawno niewidzianego przyjaciela. Wszystko było dokładnie tak, jak zostawił – wielkie alembiki służące mu do destylowania odczynników, ołowiane sztaby do odlewów, nawet piec alchemiczny pełen był tych samych kawałków drewna, które palił w nim kilka miesięcy wcześniej, a po stołach walały się znajome książki i papiery. W piwnicznym oknie mrugał znajomy gwiazdozbiór Raka, który o tej porze roku był mu zawsze towarzyszem w nocnych badaniach.

– No dobrze – przerwał ciszę kardynał, władczym gestem odsyłając strażników za drzwi. – Mamy pracownię, mamy alchemika, mamy światło, jesteśmy sami. Pokaż mi z łaski swojej, co tak przerażającego odkryłeś, że nagle porzuciłeś sypialnię wyścieloną jedwabiami, żeby uciec do tego zamtuza, w którym cię, dodajmy: nie bez problemów, znaleźliśmy. Bo, przyjacielu – tu głos Barberiniego znów nabrał twardości najczystszej metalu – w to, że nie odkryłeś nic, nie uwierzę.

\*

Dobrych parę godzin zajęły Barberiniemu załatwienie sprawy Montalto, powrót do swoich komnat, zrzućcie incognito, umycie się i wciągnięcie na grzbiet czerwonej kardynalskiej sutanny. Natychmiast poczuł się lepiej. Co prawda ubrania cywilne były o wiele bardziej poręczne i wygodne, jednak siła nawyków sprawiała, że pełnię siebie w sobie odczuwał dopiero w stroju duchownego; w nim realizowała się i spoczywała cała jego siła i władza. Kazał podać sobie śniadanie. Jedząc, zastanawiał się, chociaż tak naprawdę nie miał nad czym.

Wiedział doskonale, co dalej. Dlatego zaraz po jedzeniu udał się do swojego wuja. Była dziewiąta rano. Na rusztowaniu przy powstającej kolumnadzie Pałacu Apostolskiego uwijali się mularze i specjaliści czuwający nad budową okazałego gmachu. Trzeba było przyznać, że Innocenty, który rozpoczął budowę, miał rozmach – nowy pałac przy placu Świętego Piotra będzie perłą w koronie katolickiego imperium.

Urban VIII nie udzielał w tych godzinach audiencji, ale Barberiniego niewiele to interesowało. Jako superintendent Państwa Kościelnego i bratanek ojca świętego miał przywilej przebywania w jego obecności o każdej porze dnia i nocy. Skorzystał z niego i tym razem, bez żadnej żenady wkraczając do papieskiej kancelarii. Zajął miejsce naprzeciwko wuja, po drugiej stronie okazałego, sekretarskiego biurka. Czekał przez chwilę, aż papież oderwie się od studiowanego dokumentu. Nie doczekał się, więc chrząknął.

– Wasza świątobliwość...

– Francesco – odezwał się w końcu Urban, nie odrywając jednak wzroku od papierów. – Mam dobre wieści. Breda kapitulowała. Filip lada moment wkroczy do Niderlandów.

– Kiedy?

– Jakiś tydzień temu. Ale widzę przecież, że coś cię trapi – dodał ojciec święty, odkładając wreszcie dokumenty i patrząc na bratanka brązowymi oczami.

– Znalazłem Montalto – zakomunikował. – Tego zaginionego archiprezbitra – dodał, widząc, że wuj nie bardzo wie, o kim mowa, po czym streścił krótko niewesołą historię.

Papież milczał chwilę.

– Długo go szukałeś. Za długo.

– Nawet mi do głowy nie przyszło, że ten kretyń zostanie w Rzymie – usprawiedliwił się Barberini. – Musiałem najpierw wykluczyć inne możliwości: kochankę, długi, dezercję...

– Nieważne. Co planujesz z nim zrobić? Pokazowy proces?

Kardynał zawahał się.

– Wuju... To będzie nieco bardziej skomplikowane – zaczął ostrożnie. – Gdyby tu chodziło o zwykłe czarowanie, przyzywanie demonów albo wróżby, to proces mógłby zadziałać, ale to jest coś gorszego. Gwarantuję, że Montalto nigdy w życiu nie miał grymuaru w rękę, w dodatku jest i zbyt naiwny, i zbyt bojaźliwy, żeby wchodzić w jakieś konszachty z szatanem. Biorąc pod uwagę wszystko, co się ostatnio dzieje, doniesienia z Lejdy, historię z Tuluzy, tego mnicha z Salonik, przekupkę spod Florencji...

– Co z nimi?

– Wydaje mi się, że to nie są ani wyznawcy szatana, ani zwykli hohsztaplerzy, szaleni alchemicy i geoci.

– Więc kim są i co doradzasz?

– Kim są? To właśnie trzeba ustalić. A doradzić mogę tylko ostrożność. Na pewno trzeba skonfiskować wszystkie aramejskie księgi...

– No tak, to jedyny czynnik wspólny. Ale na litość, Francesco, przecież to najlepszy sposób, żeby każdy, najgłupszy nawet i najpokorniejszy księżulek w Europie zaczął wertować bibliotekę. Poza tym są jeszcze heretycy, a im niczego nie zabronimy. Ani czytania po aramejsku, ani podpisywania cyrografów.

Barberini milczał. Nie miał pomysłu na żadne środki zaradcze. Szczerze mówiąc, cała ta historia go przerastała. Na szczęście nie musiał się z nią wcale borykać, a przynajmniej nie sam. Prawdziwe zmartwienie należało do mężczyzny po drugiej stronie stołu.

– Protonotariusz! – zawołał Urban po kilku minutach ciszy. Jego smutne oczy spoglądały na Barberiniego równie twardo, co dobrotliwie. Gdy tylko do komnaty wtoczył się jeden z jego sekretarzy, zakomenderował:

– Listy! – Następnie westchnął i z uśmiechem powiedział: – A ja myślałem, że to z Galileuszem będą prawdziwe problemy. Niezbadane są ścieżki boże.

W czasie gdy kałamarz rozkładał swój przenośny stolik i przygotowywał papieskie pieczęcie, Barberini zastanawiał się. I zdziwił się, kiedy usłyszał:

– Pierwszy do Muzio Vitelleschiego, drugi do generała Zakonu Kaznodziejskiego, ktokolwiek właściwie nim teraz jest.

– Wasza świątobliwość? – nie wytrzymał kardynał, kiedy protonotariusz zaczął gorączkowo pisać.

– Tak?

– Jezuici, to mogę zrozumieć, ale dominikanie...?

– Francesco. – Urban VIII się uśmiechnął, a jego oczy zmieniły wyraz i przypominały teraz wielkie źrenice wyjątkowo chytrego lisa. – Ja wiem, że pamięć o dawnych czasach szybko śniedzieje, ale nie zapominaj o jednym: jezuici, owszem, nadają się do walki z herezją tam, gdzie trzeba ozłocić kościoły i wygłosić krasomówcze kazania, ale to właśnie dominikanie są prawdziwymi *Domini canes*. Psami Pana.

Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego (łac. *Sacrum Imperium Romanum*; niem. *Heiliges Römisches Reich*), potocznie: Pierwsza Rzesza Niemiecka, I Rzesza (niem. *Erstes Reich*) lub Stara Rzesza (niem. *Altes Reich*) – określenie obszaru obejmującego Niemcy oraz część obszarów współczesnych Francji, Polski i Włoch, znajdującego się pod panowaniem cesarza rzymskiego i stanowiącego kontynuację cesarstwa zachodniorzymskiego.

Obecne w państwie ambicje wasali skutkowały wytworzeniem się silnej opozycji wewnętrznej, która zmusiła cesarzy do przekazania wielu monarszych kompetencji książętom. Doprowadziło to do uzależnienia większości decyzji cesarza od zgody książąt, wyrażanej na sejmie Rzeszy, oraz do zezwolenia na podziały patrymonialne w księstwach, co szybko zaowocowało atomizacją polityczną państwa, która po pewnym czasie gromadziła około trzystu państweczek wasalnych (o różnym statusie).

# ROZDZIAŁ I

1633

Graf Daniel von Besserer-Thalfingen stał na kamiennym tarasie swojego niewielkiego zamku, tupał przemarzniętymi nogami, zacierał co chwila ręce – i kłął. W dole, pod posiadłością Oberthalfingen, między ogołocionymi z liści gruszami, zasadzonymi przez jego świętej pamięci dziada, a raczej pachółków dziada, szło wojsko. Nie był to dziwny widok w ostatnich latach. Po jego włościach bez przerwy panoszyło się jakieś wojsko, najpierw cesarskie, później palatyńskie, bawarskie, potem znowu cesarskie, wirtemberskie – co było o tyle naturalne, że znajdowali się przecież w Wirtembergii – a później znów cesarskie, nie wspominając o wolnych kompaniach, kondotierach, przewijających się tu i ówdzie Hiszpanach czy zwykłych swawolnych kupach maruderów, którzy właśnie na jego ziemiach uwidzieli sobie poszukać czegoś do zrabowania.

Miał na tyle szczęścia, że mógł pozostać w swoim zamku i pilnować chłopów – wiadomo, co konia tuczy. Jego ród wystarczająco wiele zasług oddał wysiłkowi wojennemu. Dwóch jego synów, szurzy, wuj, teść, swak i inne jabłuszka z długiej genealogicznej gałęzi Bessererów rozrzuconych było po całych Niemczech, walcząc w najróżniejszych oddziałach, od austriackich po szwedzkie, od heskich po bawarskie. Daniela łaskawie pozostawiono na swoim. Pomogło i to, że był niemłody, i to, że swoje przewojował, a nie zaszkodziło też wstawiennictwo regenta Juliusza Wirtemberskiego, który co prawda pod okupacją cesarską niewiele mógł zrobić sam, ale jednak wiedział, co i komu szepnąć. Przynajmniej dopóki nie wziął księcia Eberhardta po pachę i nie pojechał na północ, do obozu Gustawa Adolfa, w nadziei, że z papistami da się wygrać, a młody będzie miał jednak czym rządzić.

Tak więc graf został i pilnował chłopów, a przynajmniej tych ich resztek, które nie zostały połknięte przez nienazarte żołądki zaciągów dwóch walczących w imię tego samego Boga armii. Kolumna muszkietierów, najprawdopodobniej habsburskich, przemaszerowała już, kiedy znów tupnął nogami. Strzelcy szli na

północ, a w powietrzu czuć było wyraźne ocieplenie, zbliżał się marzec. Marzec, czyli roztopy, wojna i cyrk na kółkach. Już od piętnastu lat.

Za rzeką wylaniały się z mgły niewyraźne zarysy miasta Ulm.

Wśród różnorakich powodów, dla których graf, męczyzna sześćdziesięcioletni, ale wciąż sprawny, pozostał w Oberthalfingen, był również ten, że jego zameczek strzegł wejścia do wolnego miasta Rzeszy. Po piętnastu latach wojny nikomu, ani katolikom, ani protestantom, nie zależało na kosztownym obleganiu twierdzy, a posiadłość Bessererów nie była co prawda niezdobytą fortecą gwiazdzistą, ale jednak stanowiła pewną przeszkodę na drodze do Dunaju i południowej Szwabii, albo w drugą stronę – na pola Saksonii i Turyngii. Dlatego protestanci, którzy zawsze mogli liczyć na drobną pomoc ze strony grafy, zostawili go w spokoju, a cesarscy nie nalegali na obsadzenie twierdzy swoją załogą, obawiając się, że graf, przyciśnięty, przystąpi do protestantów. Nawet narwany, arcykatolicki elektor Bawarii omijał Oberthalfingen ze swoimi wojskami, wiedząc, że pod jego murami znalazłby się w bardzo niezręcznej sytuacji. Ten zbalansowany układ był jednak chybotliwy jak moneta ustawiona na ostrzu rapiera i w każdej chwili któraś z jego stron mogła zmienić warunki niepisanej umowy. Ale nie dlatego graf kłął.

Niepostrzeżenie podkradł się do niego ekonom, chrząkając znacząco. Nałana twarz oldenburskiego chłopca, który Bóg jeden wie skąd wziął się w Szwabii, a w dodatku niepojętym zrządzeniem losu dochrapał się funkcyjnego stanowiska, czerwieniła od wiatru.

– Zły rok, panie – odezwał się, zaciągając wyraźnie północnoniemieckim akcentem. – Zły rok. W spichlerzach mało. Dobrze, że wiosna.

Daniel nie skomentował tych rewelacji.

– A ten nie będzie lepszy, panie. Straszna klęska na północy, Wallenstein pobit jesienią, na łeb, na szyję. Mówią, że heretycy podpisali pakta z diabłem. I to dlatego.

Graf nadal nie raczył zaszczyścić słów ekonomy komentarzem. Między innymi dlatego, że ekonom był idiotą, który znajdował niepojętą – i najwyraźniej nieodpartą – przyjemność w powtarzaniu rzeczy absolutnie oczywistych, o których wiadomo wszystkim. Bo wieść o listopadowej przegranej Wallensteina pod Lützen dotarła do Thalfingen już w grudniu, razem z plotkami o szatańskich praktykach protestantów, które miały rzekomo zapewnić im zwycięstwo. Nie wspominając o tym, że ekonom, z bliżej dla nikogo niezrozumiałych powodów upierający się przy papizmie, od sześciu lat konsekwentnie nie chciał pogodzić się z faktem, że jego pan jest luteraninem i rozważa wywalenie go na zbity pysk za każdym razem, kiedy tamten powtarza: „Biada, panie, heretycy! Biada!”. Bydlę z północy znało się jednak doskonale na swoim fachu i między innymi

dlatego nadal grzało miejsce w zamczku grafa. Bez niego w spichlerzach nie byłoby mało – nie byłoby w nich nic. Tak jak w Aulendorfie, do którego Daniel po cichu wysłał niedawno dziesięć beczek podpsutej już wskutek długiego składowania pszenicy.

– Biada, panie. Straszne czasy. Ten rok nie będzie lepszy – zakończył nieskomplikowany monolog ekonom, pokręcił głową, niezrażony brakiem jakiegokolwiek reakcji i odszedł. Najwyraźniej jego potrzeba ekspresji została w zupełności zaspokojona.

Pan na Oberhalfingen nie ruszał się z miejsca. Rozglądał się po okolicy, kłął, tupał i rozmyślał. Nie potrzebował chłopskiej mądrości, żeby wiedzieć, że ten rok nie będzie lepszy. Jeszcze nie pojawiły się pierwsze pąki na drzewach, a już zapowiadał się źle. Choćby z uwagi na niespodziewanych gości.

Niedługo po Nowym Roku przyjechał Eriksson. Doprawdy, serce rośnie w Danielu na myśl o wywiadzie Jego Wysokości Króla Szwecji, kiedy dumał, jak szybko zwąchali tę okropną historię i zjawili się tutaj, w Szwabii, na południu Niemiec, tuż obok włości Maksymiliana Bawarskiego, który – gdyby dowiedział się, że graf gości Szwedów – nie wahałby się długo, a choćby i zimą przedarłby się do Thalfingen i nie zostawił z grafostwa kamienia na kamieniu. Był to powód, dla którego Besserer nie przyjął ze zbytnim entuzjazmem widoku niebieskich płaszczy nordyckich dragonów, choć kazał otworzyć bramę i wprowadzić niewielki oddział na dziedziniec. Nie dał też nic po sobie poznać, gdy z rosłego, zadbanego rumaka, któremu widać nie żałowano saskiego owsa, zeskoczył długowłose szwedzki oficer z blond bródką i odgarnąwszy płaszcz, przywitał się i przedstawił grzecznie:

– Stefan Eriksson, panie, do usług. Przybywam z poselstwem od generała Scharffensteina.

– Graf von Besserer-Thalfingen. – Daniel ukłonił się dwornie. – Proponuję zejść z dziedzińca. Proszę wybaczyć obcesowość, jednak sugeruję też, aby pana ludzie nie kręcili się po okolicy, a zostali w zamku. Widok szwedzkich żołdaków może podziałać drażniąco na okoliczne garnizony cesarskie.

Eriksson w odpowiedzi skinął poważnie głową, wydał szybkie dyspozycje, zawołał swojego pachołka i jeszcze jednego oficera i udał się za panem domu. Graf ugościł ich wtedy jak należało, kazał podać pieczeń z dzika i kuropatwy, które czasami udawało się jego myśliwym ocalić przed kłusownikami litościwym strzałem z rusznicy. Tymczasem Szwedzi nabrali wody w usta i nie chcieli wyjawiać konkretnego powodu swojej wizyty, upewniając Daniela, że jest on delikatny. W końcu jednak, gdy współgrające z jego niepokojem światło kominka, migoczące na portretach dziesięciu pokoleń Bessererów, szlachciców,



grafów, burmistrzów i pułkowników, zaczęło przygasać, Eriksson przeszedł do rzeczy.

– Panie, przybywamy z bardzo daleka, aż z obozu Jego Wysokości Gustawa Adolfa pod Lipskiem, gdzie łaskawie gości go elektor Jan Jerzy. Jestem adiutantem generała Scharffensteina, który nakazał oddać w pańskie ręce ten oto list – powiedział, wyciągając w stronę grafa zapieczętowaną kopertę.

– Jeśli łaska, panie poruczniku, wolałbym usłyszeć, o co chodzi, od pana.

– Obawiam się, że jako drobny oficer nie jestem wtajemniczony w plany jego ekscelencji generała i nie mogę udzielić panu satysfakcjonujących informacji. Jeśli dobrze zrozumiałem, generał żywi pewne plany matrymonialne w stosunku do pana rodziny. Nie wątpię, że wszystkiego dowie się pan z listu – odpowiedział tamten dwornie i wrócił do kontemplacji swojego kielicha z winem.

Graf westchnął i odpieczętował pismo. Dużo w nim było grzecznościowych formułek, wychwalania zasług grafa dla protestantów (Danielowi włosy się jeżyły na karku, gdy pomyślał o konsekwencjach przechwycenia tego listu przez szpiegów Maksymiliana, a przecież Scharffenstein był też zdrajcą Cesarstwa), sporo utyskiwań na wojnę. Dopiero w ostatnich akapitach generał przechodził do rzeczy, informując, że ma syna w wieku kwalifikującym go do żeniaczki i że graf uczyniłby mu niewiarygodną radość i ukontentował go wielce, gdyby zgodził się pożenić go ze swoją najmłodszą córką. Posagu generał łaskawie nie wymaga. Propozycja wydawała się jasna i kusząca.

Trzeba przyznać, że pretekst był rewelacyjny. Bóg nie pozostaje obojętny na potrzeby swoich wiernych i świadom tego, że trwa wojna, nie omieszkał na nią wpłynąć: od parunastu lat w Niemczech rodzili się głównie synowie. Synowie, którzy mieli wyrosnąć, wyuczyć się wojennego rzemiosła i maszerować od źródeł Renu po ujście Łaby; synowie, którzy nie mieli pruć i rodzić, a pruć i zabijać. Córek na wydaniu w całym Cesarstwie było tyle co nic. Nawet najstarsze, najplodniejsze rody, takie jak Ascaniowie czy Badeńczycy, miały panieńskie deficyty. Tylko chłopak – jak zwykle – nie brakowało, lecz przecież nie po to Bóg stworzył szlachtę, aby mieszać ją z pospólstwem. W konsekwencji dochodziło do mezaliansów, które jeszcze dwadzieścia lat wcześniej były nie do pomyslenia – drobni książęta bez oporów żenili się z córami zwykłych rycerzy, a niejedna rodzina z podupadłej, ale szczytującej się imponującym drzewem genealogicznym szlachty wżeniła się korzystnie w rody hrabiowskie i książęce. Jedynie w sferach najwyższych, między książętami Rzeszy i elektorami nie łamano dawnych zwyczajów. Dlatego szwedzki generał, persona bardzo poważana w swoim kraju, proszący o córkę drobnego niemieckiego szlachcica nie był niczym dziwnym. W dodatku Katarzyna miała już siedemnaście lat i była najwyższa pora ją wydać. Wojenna zawierucha w naturalny sposób

usprawiedliwiała też obecność szwadronu dragonów – gdyby graf Daniel się zgodził, dziewczę należałoby bezpiecznie odeskortować do Saksonii. Graf Daniel jednak się nie zgodził, bo za stary był, aby nie czuć pisma nosem.

– Panie Eriksson – odezwał się ostrożnie, gdy dwukrotnie uważnie przeczytał list. – Odpowiedzi na to pismo nie mogę dać od razu. Potrzebuję przynajmniej miesiąca.

Szwed miał już gotową odpowiedź:

– Czy możemy wobec tego liczyć na pańską gościnę? Lada dzień dotrze nasz tabor, a po furaz chodzić będziemy daleko na północ, aby nie ściągać na pana kłopotów.

Besserer zawahał się. Po chwili dotarło do niego jednak, że dragonów, zaprawionych w bojach zuchów, było co najmniej trzydziestu – obsada jego zamku składała się zaś z podłych dwudziestu wojaków, którzy od paru dobrych lat obrastali w tłuszcz na murach, oraz garstki lekko uzbrojonych strzelców pilnujących na co dzień wsi przed napaściami hord żołdactwa służącego jednej i drugiej stronie walczącej w tej nieszczęsnej wojnie. Nie pomyślał o tym wcześniej, wiedziony mimowolną sympatią do Szwedów i równie mimowolną niechęcią do Ferdynanda Habsburga.

Kiełkujące w nim przypuszczenie, że bynajmniej nie chodzi o mariaż, wyrosło teraz w kwitnącą bylinę, sypiącą owocami podejrzeń na prawo i lewo. Eriksson – wbrew temu, co twierdził – nie był żadnym adiutantem. Człowiek ten, mimo wyszukanych manier, miał zimne, stalowe oczy mordercy i szubrawca, zachowywał się o wiele zbyt władczo jak na sługę w stopniu porucznika, a w dodatku bogaty i bardzo regularny rynsztunek i przyodziewek zarówno jego, jak i jego żołnierzy zdradzał, że do zamku grafa nie zawitali zwykli dragoni, a przedstawiciele sił specjalnych Gustawa Adolfa, Livgardet, o których słyszało się bardzo dobre rzeczy od protestantów i o wiele gorsze od katolików. I chociaż Daniel sprzyjał tym pierwszym, wiedział, że musi być ostrożny. Szczególnie że – o czym Eriksson ani jego przełożeni zapewne nie wiedzieli – jego krewny z Bessererów, służący pod szwedzkimi proporcami, bratał się serdecznie z Gustawem Scharffensteinem, czyli właśnie potencjalnym zięciem Daniela, i z żalem doniósł całkiem niedawno, że jego przyjaciel walczy o życie, ranny pod Lützen. I chociaż graf nie wątpił, że gdyby posłał córkę z przystojnym oficerem na północ, mariaż dla zachowania pozorów doszedłby do skutku, choćby i pan młody był na łożu śmierci, to wiedział też, że nie o to musi tutaj chodzić. Wpraszający się Eriksson dał mu na to ostateczny dowód – czyniąc aluzje, że bez Katarzyny się stąd nie ruszy.

Zgodził się więc, bo cóż innego miał robić?

Od tamtego czasu po zamku wałęsali się szwedzcy kawalerzyści, coraz bardziej tracąc cierpliwość. I chociaż faktycznie zazwyczaj dbali sami o siebie i nie zużywali zamkowych zapasów (nie licząc samego Erikssona, który bez zbędnych ceregieli korzystał z gościny grafa), to ich obecność, choćby z uwagi na polityczne zawirowania, mocno Daniela niepokoiła. Szczególnie że raptem tydzień później przyjechali kolejni goście, jeszcze bardziej niespodziewani. Graf przypomniał to sobie, gdy wciąż lustrował horyzont z tarasu. Znów zaklął, tupiąc nogami.

Z Holendrami w Niemczech jest ten kłopot, że nie tylko nie mają pojęcia na temat panujących tu zwyczajów, ale w dodatku – uważając się za nie wiadomo kogo – wywyższają się niemiłosiernie nad miejscowych. Podobne problemy są z akademikami, niezależnie od narodowości i afiliacji. Wniosek z tego, że holenderscy akademicy musieli być szczególnie uciążliwi. Dlatego gdy w murach zamku grafa zjawili się dwóch z nich, przedstawiających się jako emisariusze uniwersytetu w Lejdzie, w dodatku razem ze zgrają westfalskich najemników z Cleve, Bergu albo Lippe, Daniel zaniepokoił się nie na żarty. Nie widząc jednak innego wyjścia, robił dobrą minę do złej gry i zaprosił przewodników specyficznej kawalkady na kolację, udając, że obecność niebiesko odzianych dragonów jest czymś najzupełniej naturalnym w tej części Niemiec.

W kolacji brali udział Besserer, obydwaj uczeni oraz dowódca ich eskorty, tytułujący się złowrogo brzmiącym nazwiskiem Krauze\*. O ile Holendrzy, obleczeni w wystawne, ale proste sukienne surduty z kryzami prosto z geldryjskich przedzalni sprawiali wrażenie stosunkowo nieszkodliwych, o tyle kondotier natychmiast zrobił na Danielu złe wrażenie. Było to indywiduum ponure, o ciężkiej, zachodniej urodzie, z krzaczastymi brwiami, wielką brodą, krótko obciętymi włosami i obowiązkową blizną na policzku, która jednak nie wyglądała, jakby zgodnie z obowiązującą wśród najemników modą zrobił ją sobie specjalnie. Do kolacji nie rozstał się z mieczem, które to chamstwo doprowadzało pana domu do szału, a chociaż spod zdjętej paskowej zbroi wychynął całkiem porządny przyodziewek, widać było, że nie jest to strój galowy.

– Jak już wspomnieliśmy – odezwał się jeden z Holendrów, brunet, charakterystycznie gardłując głoski, co dla północnych Niemców było do zniesienia, jednak tutaj, na południu, raziło wręcz okropnie – przybywamy z uniwersytetu w Lejdzie, mamy więc za sobą bardzo długą drogę. Zazwyczaj nie ruszamy się dalej niż na jarmark do Rotterdamu – zażartował, ale Danielowi wcale nie było do śmiechu, więc zmusił się tylko do uprzejmego grymasu. – Jak już wspomnieliśmy, jestem magister Pieter van der Elzeveir, mój młodszy towarzysz zaś to bakałarz Christoph Euwe – podjął, nie wiadomo po co

powtarzając to, co mówił już na dziedzińcu. – Zapewne musi być pan bardzo ciekawy, w jakim celu tutaj przybyliśmy. Otóż przybyliśmy w bardzo ważnej sprawie, którą chcielibyśmy załatwić możliwie jak najszybciej i najsprawniej. Sprawa ta jest najwyższej wagi.

– Przybyliście w sprawie, tak, tak, to już wiem. A co to za sprawa, mianowicie?

– Chcemy zabrać pańską córkę na studia na naszym uniwersytecie – odparł blondyn, Euwe, odzywając się po raz pierwszy od rozpoczęcia wieczerzy.

Van der Elzeveir spiorunował go wzrokiem.

– Rozumiem – powiedział graf i pokiwał głową, chociaż nic nie rozumiał. – A jeśli wolno wiedzieć, dlaczego ze wszystkich panien w Niemczech uwidzieli sobie panowie akurat moją córkę? I skąd dziwaczny pomysł, żeby posyłać dziewczynę na nauki? – zwrócił się do Euwego, nie pytając nawet, o którą im chodzi, bo nietrudno było się domyślić, że o Katarzynę, a nie zamężną od dwóch lat i ciężarną Reginę, która nie miała na koncie tak upiornych wyczynów, jak jej młodsza siostra.

Tamten złożył usta w ciup i podkreślił węża, całą swoją postawą starając się dać do zrozumienia, że jest ważny i wszystko wie, ale nie powie. Daniel zezłościł się nie na żarty.

– Panowie uczeni, nie chciałbym być nieuprzejmy ani zbyt obcesowy, jednak albo panowie natychmiast wytłumaczą mi, co tu robią, albo będę zmuszony poprosić panów o opuszczenie moich włości.

Van der Elzeveir jakby się zakłopotał.

– Mamy podstawy sądzić, że pana córka ma pewne wyjątkowe talenta, które bardzo nas interesują. Czy mógłby nam pan opowiedzieć, co dokładnie stało się tutaj pod koniec zeszłego roku? Właśnie na podstawie plotek o tych wydarzeniach tutaj dotarliśmy.

– Nie, nie mógłbym. Proszę jasno postawić sprawę. – Daniel zadrzał w duchu na myśl, jak szybko musi wieść biec, skoro plotki na temat listopada dotarły nie tylko do szwedzkiego wywiadu, lecz także do dalekiej Republiki Siedmiu Prowincji.

– Uważamy, że pana córka ma pewne zdolności, mogące pomóc w rozwoju nowej dziedziny alchemii...

– Czyli co?

– ...nowej dziedziny alchemii, która powstała na naszym uniwersytecie. – W głosie Elzeveira pobrzmiała duma. – Polega na świadomej modyfikacji struktury eteru. Nic więcej nie mogę, niestety, zdradzić, ale gwarantuję, że jest to fascynujące zagadnienie naukowe.

Graf nie wiedział, co odpowiedzieć, więc milczał. Przynajmniej stawiali sprawę jasno, o ile to, co mówili, można było nazwać jasnym.

– Jak wspomniałem, pańska córka wydaje się mieć szczególne zdolności w interesującym nas zakresie. Na naszym uniwersytecie oczywiście nie mogą studiować kobiety, jednak trafiłaby pod specjalną opiekę naszego przełożonego, profesora de Bure. Być może doda nam wiarygodności fakt, że profesor de Bure jest bliskim krewnym żony Jana Kalwina, a także koresponduje ze znanym panu zapewne profesorem Andreae, wykładowcą na uniwersytecie w Tybindze, który przyjął nas raptem dwa dni temu w Würzburgu. Mam zresztą list, który wszystko panu wyjaśni, razem z rekomendacją – to mówiąc, Holender podał grafowi papier dotyczący jego córki.

Daniel von Besserer przypominał sobie to wszystko. Nadal kłął, tupiąc. Porządnie już przemarzył, jednak wcale nie miał ochoty wracać do środka, gdzie zaraz spotkałby albo Erikssona, albo któregoś z Holendrów. Nie miał ochoty też oglądać obozowiska najemników, którzy rozbili namioty u podnóża wzniesienia, na którym leżał jego zameczek, i obżerali wszystkie okoliczne wsie. Daniel pozwolił im na popas, bo liczył, że Niemieccy żołdacy nie wywołają takiej sensacji jak Szwedzcy i przy odrobinie niezbędnego w życiu szczęścia żaden cesarski urzędnik ani oficer nie pofatyguje się sprawdzić, co właściwie dzieje się w Thalfingen, ale już tego żałował. Niderlandczycy co prawda zapewniali, że ich eskorta nie będzie sprawiać problemów, jednak w przeciwieństwie do Szwedów kondotierzy okazali się niezbyt karni. Już kilka razy przychodzili do grafu chłopi, oburzeni, że goście jaśnie pana biorą furaz z okolicznych wsi. I chociaż wypadki Westfalczyków udało się powstrzymać żelazną ręką Krauzego i jawną groźbą ze strony Erikssona, który ewidentnie starał się utrzymać gospodarza w dobrym nastroju, graf w każdej chwili spodziewał się rozróby. Szczególnie że Szwedzi byli luteranami, najemnicy – kalwinistami, a teraz miał na głowie jeszcze i papistów. Zaklął i zatupał ponownie.

Papiści przyjechali ostatni, już w połowie lutego. Dziesięciu zakonników. Przynajmniej tak się przedstawili, bo Daniel nie poznałby w nich braci zakonnych. Ze stereotypowymi mnichami łączyły ich tylko różańce przeciągnięte przez pasy. W habitach było dwóch – czarny i biały, szatan i anioł. Pozostałych ośmiu miało kirysy, rapiery, rusznice, w bandolierach nosili pistolety, a na nadgarstkach nieustannie tliły się zawinięte wokół nich lonty. Wszyscy byli ostrzyżeni krótko, ogoleni równo i sprawiali groteskowe wrażenie trybunału teologów, których ktoś przebrał za żołnierzy. O ile Holendrów czy Szwedów Daniel potrafił rozgryźć i zaakceptować, o tyle tych rycerzy się bał; nie sądził, że tacy istnieją. Nie słyszał nigdy o regule, która nakazywała nosić przy koniach naładowane muszkiety, ani o takiej, która wymuszała na sługach Bożych

noszenie zbroi z czterodzielnym, czarnym krzyżem na piersi. Bał się papistów, a tych bał się szczególnie. Zwłaszcza że w zamku miał holenderskich heretyków i szwedzkich żołdaków, a znajdował się, chociaż de iure był poddanym księcia Wirtembergii, na terenach miłościwie panującego Ferdynanda Habsburga, arcykatolickiego cesarza rzymskiego, króla Niemiec.

Dominikanie – bo okazało się, że byli to dominikanie – o dziwo nie żywili złych zamiarów, a przynajmniej nie okazywali jawnej wrogości. Nie spojrzeli nawet z ukosa na pozostałych gości. Poprosili tylko pilnie o widzenie z panem na zamku. Nie widząc innego wyjścia, Daniel po raz trzeci zaprosił gości na wieczerzę. Wszak Bóg umiłował trójcę.

Zjawiło się dwóch – tych w habitach.

– Jaśnie panie – odezwał się wyższy, w białym stroju, krótko ostrzyżony blondyn z niepokojącą, gładką twarzą, sprawiającą paradoksalnie dobre wrażenie na grafie. To oblicze należało do człowieka, który wiedział więcej, niż chciał, i musiał dźwigać to brzemię. – Jesteśmy wysłannikami jego świątobliwości Serafina Secchiego, generała zakonu kaznodziejów, do którego należę. Nazywam się brat Eugen Tilenheim i pochodzę z Norymbergi. Towarzyszy mi – tu dominikanin wskazał czarno ubranego południowca, Hiszpana lub Włocha – brat Bernard de Hoyos, jezuita. Przybywamy w sprawie niecierpiącej zwłoki, którą chciałbym panu teraz wyłuszczyć. – Doszły do nas informacje ze źródeł – ciągnął, nie pozwalając grafowi dość do głosu – które nie dają nam możliwości tego zagadnienia zlekceważyć, że pańska córka Katarzyna może być naznaczona szczególną łaską bądź, zależnie od perspektywy, przekleństwem. Mówiąc wprost, przybyliśmy tu właśnie po nią. Zdaję sobie sprawę, że z uwagi na pańskie oczywiste sympatie polityczne nie uśmiecha się panu oddanie dziewczyny w nasze ręce, jednak mogę osobiście zapewnić, że nie stanie jej się krzywda i nie zostanie oddana pod żaden sąd, co listem, który przewożę, gwarantuje łaskawie panujący cesarz Ferdynand.

– Z uwagi na delikatny charakter naszej misji – mówił dalej dominikanin, najwyraźniej nadal niezainteresowany tym, co graf ma do powiedzenia – przemilczymy taktownie obecność szwedzkiej załogi w pana twierdzy, chociaż nie umknęła ona naszej uwadze. Nie chcemy też wiedzieć, co robi pod murami Oberthalfingen zgraja bezbożnych kondotierów, nie ciekawią nas perypetie wojenne ani polityka. Interesuje nas wiara i Kościół, a pana córka może być dla nich ogromną szansą. Podkreślam: nie zagrożeniem, a szansą. Dlatego też przybyliśmy tu w dobrej woli, bez zbrojnej eskorty ponad tę niezbędną w dzisiejszych czasach, licząc, że przemówimy panu do rozsądku i obejdzie się bez gwałtu. Obiecujemy też, że korzystając z pańskiej gościny, której, notabene, jest pan zmuszony nam udzielić z uwagi na glejt cesarski, nie będziemy wchodzić

w drogę pańskim pozostałym gościom. Pozwolę sobie jednak podkreślić, że bez pańskiej córki nie ruszymy się stąd ani na krok.

Gdy wreszcie przerwał, graf był tak oszołomiony beczelnymi groźbami, kierowanymi pod jego adresem w jego zamku, że nie mógł znaleźć słów. Zakonnicy niewiele się tym przejęli. Po prostu poprosili o skierowanie ich do komnaty. Wspólnej. Jak sami zaznaczyli, nie potrzebowali luksusów.

Od tamtego czasu w zamku zapanowała przedziwna homeostaza, podszyta wzajemną nieufnością. Do wieczerzy siadali wszyscy goście razem z panem domu, ekonomem, córami von Thalfingen i paroma dwórkami, które zdołały się uchować. Paradoksalnie wszystkie trzy grupki, pozornie niedobre i wrogie, przypadły sobie do gustu. Holendrzy uwielbiali teologiczno-alchemiczne dysputy z zakonnikami, którym z ciekawością przysłuchiwał się także sam graf, zainteresowany nieco nauką. Z kolei Eriksson, potwierdzając przypuszczenia, że nie może być zwykłym adiutantem, okazał się doskonałym kompanem i uroczym dżentelmenem, kradnącym serca zarówno rozmówcom, jak i rozmówczyniom. Nawet najemnik Krauze, nieodstępujący naukowców na krok, najwyraźniej związany z nimi kontraktem, zdawał się rozluźniać, przez co opowiadał czasem wojenne historie. W powietrzu wisiła jednak groźna aura sprzeczności interesów. I gdy naburmuszony graf spoglądał ukradkiem na gości, widział wyraźnie, że pod pozorem wesołości i wymuszonej przyjaźni, związanej z tym, że zamknięto ich wbrew woli w jednym miejscu, jedni na drugich zerkają wilkiem. Zachowywali pozory ogłady i cywilizowania, tyle tylko, że najwyraźniej nikt nie zamierzał ustąpić i wynieść się z zamku bez Katarzyny. A Katarzyna siedziała pośrodku stołu, śmiała się z dowcipów Erikssona, uważnie słuchała naukowców i – jak to najmłodsza córka – wdzięczyła się perłowymi ząbkami, dziewczęcą wciąż figurą, długimi blond włosami i zadartym noskiem, nie mając pojęcia, co się dookoła niej właściwie rozgrywa.

Gorzej było na dole, w stajniach, koszarach, na dziedzińcu, przy studni i wszędzie tam, gdzie kręcili się zbrojni zakonnicy, szwedzcy dragoni i westfalscy najemnicy. Na szczęście żołnierze słuchali tłumiącego gorące głowy Erikssona bez chwili wahania, knechci mieli swoją ostrogę w postaci Krauzego, a dominikanie – jeśli akurat nie zwietrzyli okazji do nawrócenia heretyka albo wytknięcia komuś grzechu – poświęcali się kontemplacji teodycei. Dzięki temu nie dochodziło do przelewu krwi. A jednak bijatyki i kłótnie były na porządku dziennym, jak wtedy, gdy Szwedzi wraz z najemnikami wzięli się do gwałcenia dziewczki stajennej, której w sukurs przyszli zakonnicy, albo gdy zakonnicy wespół z najemnikami próbowali odebrać Szwedom chleby, które ci przywieźli w ramach furazu – jedni twierdząc, że chleb jest kradziony i nie godzi się go spożywać, a drudzy po prostu chcąc się nażreć.

Atmosfera w zamczku, jeszcze parę miesięcy temu będącym oazą spokoju na oceanie wojennego szaleństwa, gęstniała z dnia na dzień. Tymczasem graf nie miał pojęcia, co robić. Jasnym było dla niego, że ani szwedzkim oszustom, ani holenderskim hochsztaplerom, ani katolickim heretykom córki nie odda – dlatego zwodził wszystkich, rzucając na przemian delikatne aluzje i jawne deklaracje, które następnego dnia odwoływał. Nie opowiedział też dokładnie żadnej ze stron przebiegu listopadowego koszmaru. Miał wielką ochotę poszczuć na siebie trzy kompanie, co nie stanowiłoby szczególnego problemu, ale obawiał się, że przy okazji cały zamek pójdzie z dymem.

Kiedy chciał mieć chwilę spokoju, wychodził na taras, na którym było zbyt zimno, żeby ścigali go Eriksson, Elzeveir czy Tilenheim. Wtedy mógł odpocząć. A raczej mógłby, gdyby nie klął i nie tupał. A klął i tupał tak, jakby od tego wojna i cała ta niepojęta historia miały się skończyć.

---

\* *Krauze* (niem.) – zadraśnięcie (przyp. red).



## ROZDZIAŁ II

Otarł usta. Mimo powierzonych mu misji i stanowiska, jako dobry katolik i wierny sługa Boży, starał się nie oceniać, trwać w pokorze, nie wywyższać nad bliźniego. Ale w tym otoczeniu nie było to łatwe.

Sala reprezentacyjna cesarskiego zamku w Norymberdze błyszczała od światła świec ze zdobionych kandelabrow, którymi zastąpiono te autentyczne, złupione nie tak dawno przez Szwedów. Dominik Ibáñez de Erquicia zasiadał na szczycie suto zastawionego stołu i ostrożnie skubał swoją pardwę, jedząc tylko tyle, żeby zaspokoić głód. Część obecnych ani myślała przejmować się grzechem głównym i systematycznie niszczyła misternie zabudowane przez kucharzy półmiski, nie szcędząc sobie również najlepszego reńskiego rieslinga. Erquicia pił wodę.

Dominikański ordynariusz, formalnie rzecz biorąc – prowincjał – uważnie obserwował zebranych. Nie wszyscy podzielali konsumpcyjne namiętności. Siedzący po jego prawicy Fryderyk, hrabia Wallenstein, chudy jak szczapa i tak samo sztywny, zjadł tylko odrobinę sarniny. W jego błękitnych oczach drżały maleńkie jak główki od szpilek źrenice, omiatające towarzyszy. Zakonnik wiedział, że usztywniony kark, zakłócona akomodacja i brak apetytu nie brały się znikąd – feldmarszałek Cesarstwa cierpiał na zaawansowane objawy przewlekłego syfilisu.

Za nim siedział gruby wieprz Piccolomini, obżerający się bez żadnej żenady, aż przetłuszczone czarne włosy wpadały mu do talerza. Nie krępowali się również nijaki z wyglądu generał Gallas ani obdarzony imponującym wąsem Holk, słynący z okrucieństwa kawalerzysta, który od długotrwałych podróży konno nawet przy stole siedział jakoś krzywo.

Lewa strona blatu była prawie symetryczna. Graf von Aldringen jadł zgodnie ze swoim usposobieniem, czyli kulturalnie, ostrożnie i bez przesady; uwadze dominikanina nie umknęło, że wypił tylko jeden kielich wina. Były ksiądz, von Hatzfeld, którego siwe, pieczołowicie ufryzowane włosy zdawały się wdzięczyć do światła świec, najwyraźniej postanowił sobie odbić chude miesiące spędzone w czeskich twierdzach, za to łykowaty Pappenheim, ze swoją gruzłowatą twarzą i zniekształconym od dawnego ciosu czołem, nie zjadł ani kęsa. Od dłuższej chwili bawił się srebrnym widelcem, stukając nim delikatnie w kielich. Erquicia obserwował go uważnie, bo z tej właśnie strony oczekiwał wybuchu.

Doczekał się. Pappenheim gwałtownie rzucił widelcem o pusty talerz, wywołując przeraźliwy brzęk, na który przygrywający na kobzie trefniś przebrany za cielaka zamilkł, a wszyscy obecni generałowie podnieśli głowy. Tylko Piccolomini dalej żarł, co w tej sytuacji było na swój sposób godne podziwu.

– Panie hrabio! – odezwał się Aldringen z oburzeniem. – Co to za maniery?!  
Wieczerezamy!

Pappenheim poczerwieniał.

– Wieczerezamy, owszem! A Szwed zęby ostrzy! Co my tu robimy, ja się pytam? Jest marzec! Zaciągi trzeba kończyć, wojska musztrować, w podjazdy iść, a nie kuropatwy chrupać!

– Pappenheim – wycedził nagle Wallenstein. – Wiesz doskonale, co tu robimy. Ten tu obecny przeor...

– Prowincjał. Albo ordynariusz, jeśli łaska – poprawił Hiszpan bezczelnie, ale z godnością.

– Proszę wybaczenia. Ten tu obecny prowincjał ma nam udzielić pewnych wyjaśnień, a twój zad, Pappenheimie, usadzony został na tym krześle wolą nie kogo innego, a miłościwie panującego...

– Ferdynanda tu nie ma! – przerwał mu hrabia i aż się zasapał z wściekłości. – A ja się pytam, co tu do wyjaśniania?! Przegraliśmy! Po dupie dostaliśmy, bo Gustaw Adolf podpisał cyrograf! Wojska nam trzeba, nie kaznodziejów! Już teraz mi donoszą podjezdni, że Szwed się zbiera, pakuje, zaraz ruszy spod Lipska, razem z zaprzędanym psem saskim i resztą heretyków, a my tu sobie pierdzimy w stołki!

Po tej tyradzie nikt już nie jadł, nawet tłusty Włoch. Wszyscy z zaciekawieniem patrzyli na zakonnika.

– Ojciec – odezwał się von Aldringen niskim tonem, odkładając ostrożnie sztućce i udowadniając po raz kolejny, że w tej zgrai wykazuje się największym taktem i obyciem. – Proszę wybaczyć hrabiemu emocjonalną reakcję i spróbować postawić się w naszej sytuacji. Faktem jest, że jako generałowie Cesarstwa powinniśmy być teraz przy swoich wojskach, gotując je do wymarszu, jak to wiosną w czasie wojny. A jednak zawezwano nas tutaj, do Norymbergi, nierzadko bardzo daleko od naszych leży zimowych, na wyraźne życzenie króla niemieckiego i, mówiąc wprost, nakazano nam się z ojcem spotkać w sprawie rzekomo niecierpiącej zwłoki. Będziemy zatem wdzięczni, jeśli ojciec wyłuszczy tę sprawę możliwie jak najdokładniej, tak, abyśmy mogli rozstać się w zgodzie i wrócić do swoich obowiązków.

Erquicia bawił się różańcem zawieszonym na szyi nad cywilnym, niezbyt bogatym strojem, który wywołał wcześniej konsternację cesarskiego sztabu,

spodziewającego się najwyraźniej habitu. Ciemne, dawno niestrzyżone włosy i broda nie sprawiały najlepszego wrażenia – jakby nie mógł się zdecydować, czy nosić się długo czy krótko, ale w widocznej między nimi śniadej twarzy tkwiły spokój i pewność, a z lekko podkrążonych oczu była taka iskra specyficznej wesołości, że nikt prawie nie zwracał uwagi na lekko zaniedbany wygląd. Sam zakonnik też się tym nie przejmował; własna fizyczność nie interesowała go prawie w ogóle, o tyle tylko, o ile mogła mu przeszkodzić lub pomóc w wypełnianiu woli Bożej.

– W istocie zaszły pewne okoliczności, które, jak zdecydowali łaskawie panujący Ferdynand wraz z Jego Świątobliwością Urbanem VIII, powinni panowie poznać – odezwał się w końcu, dokładnie ważąc słowa.

– Fakty są takie – odezwał się Wallenstein, niepokojąco i cicho – że cztery miesiące temu, w listopadzie, stanąłem w dwadzieścia tysięcy chłopów naprzeciwko porównywalnej armii szwedzkiej. Fakty są takie, że bitwa była do wygrania. Fakty są takie, że zanim ten tu obecny narwaniec Pappenheim dotoczył się ze swoimi konnymi na miejsce, czyli po raptem godzinie, bitwa była już przegrana. A była przegrana, bo trzy czwarte mojej piechoty i spora część kawalerii uciekły w panice przed jedną parszywą szwedzką kompanią, o której mówiono, że paliła ludzi ogniem piekielnym, w czasie kiedy reszta armii Gustawa Adolfa stała i grzebała w pludrach. To są fakty, ojcze – generał nachylił się sztywno w stronę Erquicii – i będę bardzo, bardzo wdzięczny za rzucenie na nie odrobiny światła.

Na szczęście dominikanin ani nie należał do strachliwych, ani nie przejmował się Wallensteinem. Napił się wody i zupełnie spokojnie podjął:

– Na temat tych akurat faktów niewiele mogę panom powiedzieć. Aby być ścisłym, względem bitwy pod Lützen nie mam żadnych informacji, którymi mógłbym się dzielić, więc wyjaśnienie listopadowych wydarzeń musi pozostać w sferze waszych domysłów. Nie interesuje mnie zresztą, jakie one będą. Nie, mam wam zakomunikować coś zupełnie innego.

Znów zamoczył wargi w kielichu, robiąc efektowną pauzę.

– Decyzją cesarską i papieską – podjął – Zakon Kaznodziejski został częściowo zaangażowany w wysiłek wojenny. Do każdego z was dołączy ordynariusz dominikański, który ma być nieustannie obecny w waszych obozach i wtajemniczany we wszystkie strategmata, jakie obmyślicie lub podejmiecie. Każdy z tych emisariuszy ma mieć prerogatywy specjalne, odpowiadające mniej więcej randze pułkownika, szczegóły tych prerogatyw ustalicie już z nimi osobiście, oraz przydzielony oddział do własnej dyspozycji w liczbie nie mniejszej niż kompania. Zwracam uwagę, że nie są oni egzemplifikowani pod wasze rozkazy, więc nie możecie im tychże rozkazów wydawać, tak samo jak oni

wam. Współpraca musi przebiegać na zasadzie wzajemnego zrozumienia i kompromisów, do których, mam nadzieję, żadna ze stron nie będzie zmuszona ponad swoją dobrą wolą.

Pociągnął łyk wody. Zapadła niezręczna cisza. Dowódcy gapili się na niego, zdumieni, jak sójki w święty obraz. W końcu milczenie przerwał Gallas:

– Czy ojciec się szaleju najadł?

Dominikanin odruchowo spojrział na niego karcąco, jak na niesfornego uczniaka, ale szybko się zreflektował. Zły był na siebie, że nie udało mu się tego spojrzenia opanować.

– Jeśli chodzi o bitwę pod Lützen – podjął, nie dając się zbić z tropu i utrzymując, nie bez dozy nonszalancji, śmiertelnie poważny ton, który miał uświadomić generalicję, że nie jest to tylko kiepski dowcip – nie mogę panom powiedzieć w zasadzie nic ponad to, że jest to kwestia raczej teologiczna niż militarna i między innymi stąd wzięły się te, przyznaję, dosyć specyficzne dyspozycje cesarskie i papieskie. Dzięki obecności naszych ordynariuszy nie będą się musieli panowie przejmować żadnymi herezjami, cyrografami, paktami z diabłem ani ogniami szatańskimi, wystarczy, że będziecie robić swoje tak, jak robicie to nie bez sukcesów od kilkunastu lat. Zwracam jednak uwagę, że jeśli tylko usłyszycie lub zobaczycie coś, co w waszym mniemaniu może się wiązać z szatańskimi sprawkami, macie, zgodnie z decyzją Jego Cesarskiej Mości Króla Niemiec i Jego Świątobliwości Ojca Świętego, poniechać jakichkolwiek działań o charakterze interwencji i natychmiast powiadomić przydzielonego wam ordynariusza. Wszystkie rozkazy i decyzje, które właśnie komunikuję, zostaną, rzecz jasna, poświadczane na piśmie. Zebranie to wynikało z pośpiechu, który słusznie panowie podkreślili na samym początku rozmowy, a także dla zaakcentowania wagi zagadnienia. Jeśli nie mają panowie pytań, sugeruję, by pokrótce opisać, co właściwie zamierzacie, ponieważ, obawiam się, jest to wiedza niezbędna dla mnie ku poczynieniu pewnych dalszych planów. Następnie proponowałbym udać się do swoich oddziałów i, jak to ujął wdzięcznie hrabia Pappenheim, kończyć zaciągi, iść w podjazdy i musztrować wojsko.

Znów zapadła niezręczna cisza. Generałowie ewidentnie nie mogli przetrwać otrzymanych informacji. Erquicia wiedział, że chodzi nie tylko o konieczność oddania przypadkowemu zakonnikowi kompanii wojska – wprost przeciwnie, to było najmniejsze zmartwienie obecnych. Problem tkwił w czym innym. Marszałkowie Cesarstwa przywykli przez piętnaście lat wojny do całkowitego bezhołwia, a obecność sług Bożych w obrębie ich oddziałów, i to takich, którzy nie byli rozpitymi wiejskimi proboszczami w funkcji kapelana, mogła łatwo zakończyć radosne, bezkarne bezprawie, łupieżcze wyprawy, rozboje i nadużycia. Dominikanin wiedział, że tak nie będzie, ponieważ emisariusze

generała Secchiego dostali wyraźne rozkazy, aby nie wtrącać się w sposób prowadzenia działań wojennych, lecz nie zamierzał informować o tym cesarskich pyszałków. Nietrudno mu było jednak postawić się w ich sytuacji i współczuć im z powodu zaniepokojenia. Trzeba przyznać: kościół do wojny nie mieszał się od dawna. Przynajmniej nie bezpośrednio.

Jakby tego było mało, część ze zgromadzonych bynajmniej nie należała do gorliwych katolików; nawet nie to było ważne, że stanowili bandę bezbożników, chociaż tak było w istocie. Ale część z nich walczyła dla Cesarstwa, bo Cesarstwo im płaciło – Holk jeszcze kilka lat wcześniej stawał naprzeciw Wallensteina w służbie króla duńskiego i był po prostu heretykiem. Z kolei sam Wallenstein, o czym Erquicia wiedział wyłącznie dzięki wywiadowi kościelnemu, zdążył już zwąchać się parę razy z elektorem saskim, badając grunt pod ewentualną zdradę. Nic dziwnego, że żadnemu z nich nie w smak był papieski konsultant, którego należało się w dodatku obawiać, że działa w ścisłej współpracy z cesarzem.

– Ja mam pytanie. – Piccolomini prawie beknął, bezczelnie zwracając się do Equircii z pominięciem tytułu. – Dlaczego informujesz nas o tym wszystkim ty, a nie cesarz?

– Bo Jego Cesarska Mość nie znajduje przyjemności w oglądaniu pańskiego kałduna, Piccolomini – odparł zagniewany zakonnik, zanim zdążył ugryźć się w język. Grubas drażnił go bardziej niż cała reszta zgromadzonych razem wzięta. – Czy są jakieś sensowne pytania, a przynajmniej takie, na które nie udzieliłem dotąd odpowiedzi?

Generałowie popatrzyli po sobie ponuro.

– Nie? W takim razie słucham, muszę wiedzieć, co postanowiliście w sprawie wiosennej kampanii. Hrabio – zwrócił się do Wallensteina – pan chyba najlepiej odpowie mi na to pytanie?

Wallenstein chwilę się wahał, najwyraźniej niepewny, czy rzeczywiście ma temu nieokiełznanemu hołyszowi w habicie, który nie miał nawet habitu, zdradzać tajemnice wojskowe. Uznał chyba jednak, że sprawa jest zbyt poważna, aby się narażać.

– Gallas, Piccolomini i Hatzfeld – odchrząknął – zostają w Czechach, bronić austriackiej flanki. Dostają dziesięć tysięcy regularnego wojska i obsadę wszystkich twierdz śląskich i łużyckich. Gustaw Adolf nie zdecyduje się raczej na wkroczenie do kraju, już raz próbował i kosztowało go to bardzo dużo. Będzie szukał walnej bitwy, szczególnie po takim zwycięstwie jak w listopadzie. Wie, że jeśli chodzi o rekruta, słabo stoimy, kraj jest wyludniony, a od czasu Lützen szerzy się dezercja. Dlatego chcemy go ściągnąć w głąb Niemiec, gdzie mamy lepsze zaplecze.

Zakonnik kiwnął głową na znak, że rozumie, o czym mowa.

– W Monachium, Augsburgu i Salzburgu zgromadziliśmy dwadzieścia tysięcy chłopów. Skoncentrujemy je w Szwabii razem ze wsparciem od Maksymiliana. Normalnie nie podzieliłbym tak sił, ale przez Flandrię dojdzie do nas kolejne dwanaście pułków tercios od Króla Hiszpanii...

– Jak udało się cesarzowi namówić na to Filipa? – Dominikanin zmarszczył brwi.

Wallenstein wydał usta.

– To z kolei jest sprawa raczej militarna, a nie teologiczna, więc nie powinna ojca interesować.

Erquicia przyjął policzek bez słowa.

– Połączymy się z tercios w okolicach Heidelbergu albo bardziej na północ, w Lotaryngii – kontynuował chudy marszałek – i wydamy Gustawowi bitwę gdzieś w Hesji albo Westfalii, w każdym razie na północnym brzegu Menu, za którego linię się wycofał na zimę. Z posiłkami hiszpańskimi siły będą wyrównane. Jeśli uda się zwyciężyć, elektor brandenburski i zapewne saski przejdą na naszą stronę, a wojska z Czech wkroczą na Śląsk i do Turyngii. Pomoc obiecał też przygłupi książę Brunszwiku. Rzesza jest rozdarta, książęta stają za tym, kto aktualnie ma siłę, dlatego wygranie walnej bitwy z Gustawem jest najważniejsze. Jeśli nie złączą go opuszczając sojusznicy, nie mamy szans.

Zakonnik widział i mocne, i słabe elementy tego dosyć przemyślanego planu, odciągającego uwagę przeciwnika od serca Cesarstwa – Austrii. Zdawał sobie sprawę, że będzie to kampania pozbawiona inicjatywy, zależna tak naprawdę od tego, co zrobi Gustaw Adolf pod naciskiem swoich niemieckich sojuszników. Wcale nie było to w smak Hiszpanowi, bo na podstawie tych informacji nie sposób było nawet w zarysie przewidzieć przebiegu letnich walk. Jeśli Król Szwecji nie łyknie haczyka w postaci walnej bitwy na zachodzie, zdarzyć się może wszystko, włącznie z oblężeniem Wiednia.

– Dziękuję bardzo za wyjaśnienie. – Ukłonił się. – To prawdopodobnie wszystko, czego od panów chciałem. W ciągu najbliższych dni do każdego z was zgłosi się nasz ordynariusz, aby zgodnie z ustaleniami objąć swoje stanowisko. Ja tymczasem zmuszony jestem was przeprosić i pozostawić, nie dokończywszy wczorzy, ponieważ mam w Niemczech kilka spraw do załatwienia.

Nie czekając na odpowiedź, dominikanin wstał, ukłonił się i wyszedł z komnaty. W ustach mełł pyszną odzywkę skierowaną do Piccolominiego i szczerze wstydził się za nią. Nie tylko zgrzeszył, lecz także stracił panowanie nad sobą, a to w jego fachu było wykluczone. Zanim jednak zdążył pomyśleć, że musi się z tego wypowiadać i popracować nad tym aspektem charakteru,

w korytarzu prowadzącym do auli dogonił go Wallenstein, sztywny i niezgrabny jak sztacheta.

– Ojczy?

– Tak, panie marszałku?

– Widzę przecież, że ojciec wie o wiele więcej, niż mówi – mruknął pojednawczo. – O co chodziło w listopadzie? Nie mogę prowadzić kampanii, nie wiedząc, z czym się spotkam. Nie wspominając o tym, że moja pozycja w Wiedniu nie jest...

– Pana pozycja w Wiedniu mnie nie interesuje, feldmarszałku – przerwał mu Dominik. – Tak jak powiedziałem, proszę się nie przejmować niczym, tylko robić swoje.

– Ale...

– Taki jest rozkaz, zarówno cesarski, jak i papieski. Niezależnie od tego, co o nim sądzimy, musimy go egzekwować, zgodzi się pan?

Wallenstein stanął na środku korytarza ze spuszczonej rękami. Wyglądał wyjątkowo bezradnie, a zarazem strasznie – w jego oczach szalała dzika, nieposkromiona furia.

– A jeśli stanę Szwedowi, a sytuacja się powtórzy? Co mi wtedy przyjdzie z tego rozkazu?

– Z odrobiną Bożej pomocy nie powtórzy się – odparł Erquicia.

– Pod Lützen Bóg nie pomógł.

– Tym razem pomoże, feldmarszałku. – Zakonnik się uśmiechnął. – Jeśli nic innego nie może, niech to pana uspokoi: gdziekolwiek pan nie wyda bitwy, za jaką rzeką czy górą, w godzinie próby się zjawimy. Ja i moi bracia. A teraz życzę dobrej nocy i do zobaczenia, hrabio. Powodzenia. – To powiedziawszy, odwrócił się, nie czekając na odpowiedź, i zdecydowanym krokiem udał się w stronę dziedzińca i stajni. Tak jak się spodziewał, Wallenstein nie ruszył za nim.

Dominikanin nie kłamał, mówiąc, że ma coś do załatwienia w Niemczech. Miał nawet parę rzeczy. A pierwszą w samej Norymberdze.

\*

Kamienica nieopodal norymberskiego rynku wydawała się zupełnie opustoszała, jakby od dawna nikt w niej nie mieszkał. Zawieszony nad bramą elegancki szyld zdradzał, że jest tutaj apteka lub sklep alchemiczny – jednak nic nie wskazywało na to, aby był to sklep czynny. Drzwi zamknięte były na amen, co wydało się o tyle naturalne, że Norymberga od czasu złupienia przez Szwedów była miastem dość niebezpiecznym, a zegary wskazywały już drugą w nocy.

Erquicia nie zamierzał jednak całować klamki. Wiedział doskonale, że w środku ktoś jest, a nie miał czasu czekać do rana. Podszedł do swojego konia, którego przyprowadził z zamkowej stajni, i z sakwojaża wyciągnął bandolier obwieszony sakiewkami, ładownicami i mieszkami różnej wielkości i koloru. Już do nich sięgał, gdy zatrzymał dłoń w pół ruchu, jakby sobie o czymś przypomniał. Cofnął się i po prostu załomotał kilka razy w drzwi. Gdy nic to nie dało, powtórzył czynność. Ktoś z okna naprzeciwko zaczął na niego krzyczeć, wplątując w serię obelg kilka bluźnierstw i niepochlebnych opinii na temat matki zakonnika, jednak Dominik zupełnie się tym nie przejął, świadom opieszałości norymberskiej straży miejskiej i wartości cesarskiego gletu w sakwie. Zaczął obrzucać szyby budynku znalezionymi w rynsztoku kamykami. Sytuacja była dość kuriozalna, jednak Erquicia przyjmował zesłaną mu rolę z pokorą i nie bez pewnej uciechy. Gdy jeden z wyjątkowo celnie wymierzonych kamieni przedarł się przez okiennicę i stłukł szybę na pierwszym piętrze, w oknie obok stanął wreszcie oświetlony kagankiem jegomość w szlafmocy.

– A bodajby cię, kurwi synu! – wrzasnął. – Czego chcesz?

– Proszę mnie wpuścić – odkrzyknął Erquicia, nieco zdziwiony, że właściciel sklepu najwyraźniej nie ma odźwiernego ani sługi.

Okiennica zatrzasnęła się do wtóru serii przekleństw.

Tym razem wystarczyły dwa uderzenia w okna, aby mieszkaniowiec kamienicy zorientował się, że intruz nie zamierza odpuścić. Po chwili pojawił się w drzwiach z nieco antycznym samopałem w rękę. Zakonnik, nie przejmując się zupełnie pistoletem, popchnął drzwi i przeszedł obok gospodarza, bez żenady wparowując do środka.

– Gdzie, zbój! Zastrzelę!

– Drzwi zamknij lepiej, bo zimno. – Erquicia się uśmiechnął, bardziej do siebie niż do nachodzonego jegomościa.

– Zastrzelę, mówię! Precz stąd, wydrwigroszu!

– Lontu nie zapaliłeś. Drzwi zamknij.

Gospodarz zorientował się wreszcie, że nie ma do czynienia z żebrakiem, wędrownym handlarzem, zrozpaczonym ojcem z umierającym na rękach synem, podpitą kurwą ani żadnym innym typem człowieka, który mógł dobijać się do jego domu o drugiej w nocy. Zakłopotany, zamknął drzwi. Był ciekaw, czego chce od niego dziwny gość, szczególnie że nie miał w domu lontu, który mógłby uczynić jego samopał przydatnym. Tymczasem tamten skrzesił ogień i zapalił kilka świec, które wypatrzył w świetle księżyca wpadającym przez okna. Z ciemności wyłoniły się wagi, alembiki, retorty i słoje z tajemniczymi odczynnikami.

– Czego pan chcesz? – burknął kamienicznik. – Sklep zamknięty.



– Ty jesteś Rajmund Holtzer?

– Jam ci. Czego pan chcesz?

Erquicia bez słowa wyciągnął w jego stronę swój czarny dominikański różaniec. Holtzer najwyraźniej nie pojął aluzji, bo wgapił się w zakonnika jak szczerbaty w suchar. Dominikanin westchnął i wyciągnął znak inkwizytorski.

Tym razem skutek był natychmiastowy. Alchemik przestraszył się tak, że odskoczył do tyłu, upuścił świecznik i wpadł na słup podpierający strop. Zbladł jak ściana.

– Panie! Litości! Jam niewinien, ja nic nie...

– Oj, cicho, Holtzer. Nie przyszedłem cię aresztować, postawić przed sądem ani nic z tych rzeczy. Potrzebuję przysługi po fachu i tyle.

– Po... po fachu, panie?

– Po fachu. Prowadź do biblioteki i pokaż mi grymuary.

Alchemik zbladł jeszcze bardziej i zaczął się trząść. Szlafmyca komicznie zsunęła mu się z głowy, a wąska klatka piersiowa nad nieco opasłym brzuchem pracowała gwałtownie.

– Panie – zaśmiał się nerwowo – jakie tam grymuary, ja nie mam żadnych grymuarów, ja jestem uczciwy rzemieślnik, podatki płacę i z szatanem nie gadam nawet w łóżnicy przy grzechu.

– Słuchaj no, uczciwy rzemieślniku – rzekł Erquicia z niezmaconą cierpliwością. – Przyszedłem do ciebie... no, może nie w przyjaźni, ale bez złych zamiarów. Ale może jednak potrzebujesz małego śledztwa? Może znajdziemy tu jakieś geockie pieczęcie, hm? Zakazane księgi, których nie chcesz mi pokazać? Szaty czarnoksięskie? Skoro jesteś uczciwy rzemieślnik, to mogę tu chyba przyjść w dzień, razem ze strażą i trybunałem?

Na tle zaśniedziałego, ciemnego sklepu uczciwy rzemieślnik wyglądał dokładnie tak samo bezradnie, jak parę godzin wcześniej Wallenstein w rześście oświetlonym zamkowym korytarzu wyłożonym dębową boazerią, choć o wiele mniej strasznie.

– No, to co z tymi grymuarami?

– Na zapleczu – odparł kamienicznik zrezygnowanym tonem, wskazując ręką drogę.

W istocie po zapaleniu świateł zaplecze sklepu okazało się biblioteką i pracownią. Zakonnik bezbłędnie rozpoznał w leżących tu i ówdzie tablicach astrologicznych i pieczęciach te potrzebne do przywoływania demonów. Nic go one jednak nie obchodziły. Spokojnie poczekał, aż gospodarz wskaże mu odpowiednią półkę. Podszedł do niej i po kolei zaczął zdejmować księgi. Gwizdał przy tym z podziwu.

– Fiuu, Holtzer, widzę, że źle cię oceniłem. Nie tylko znasz się na rzeczy, ale jesteś na bieżąco. *Mniejszy i Większy klucz Salomona*, wiadomo, *Picatrix* mają nawet mieszczanie w domowych biblioteczkach, ale *Arbatel de magia veterum*? – Erquicia znów gwizdnął przez zęby. – *Pseudomonarchia daemonum*? To, można powiedzieć, nowości. A ja cię miałem za zwykłego szarlatana.

– Pragnę nadmienić, panie – odezwał się nieśmiało zdemaskowany czarnoksiężnik – że te księgi mam tylko w celach kolekcjonerskich, ja nigdy...

– Tak, tak, nigdy nie przyzywałeś demonów – przerwał mu dominikanin, nie przerywając lustracji półek. – Jesteś bibliofilem, dobrym chrześcijaninem i ani ci takie rzeczy w głowie. Nawet nie wiesz, ile razy to słyszałem. Taki z ciebie bibliofil jak ze mnie papież, kochany, jak chcesz uchodzić za kolekcjonera, dbaj o książki – dorzucił, krzywiąc się na widok rozdartej strony tytułowej i brudnej okładki jednego z woluminów. – A tablice saturnowe – odwrócił się do gospodarza – trzymasz na stole dla dowcipu. Niech będzie. Tak czy inaczej, Holtzer, tutaj nie ma tego, czego szukam.

– To cały mój księgozbiór.

– Szukam oryginału *Apokalipsy Barucha*.

– To mój cały księgozbiór – powtórzył bezradnie tamten, a jednocześnie skurczył się cały i rzucił okiem na kredens w tyle pomieszczenia.

Dominikaninowi wystarczyło to jedno ukradkowe zerknięcie. Podszedł do kredensu i zaczął beztrósco wyrzucać z niego szuflady, w których – jak się spodziewał – nie znalazł nic ciekawego. Przystąpił do opróżniania półek. Pokój zaroił się od fruujących luźnych kartek, strzępów pergaminu, po podłodze toczyły się różne flaszki z alchemicznymi odczynnikami, w rogu pomieszczenia ociekał z alkoholu homunkulus wypadły ze stłuczonego słoja, a gospodarz stał pośrodku tego bałaganu i przeklinał w myślach nocnego gościa. Tymczasem dominikanin znalazł w końcu ukrytą dźwignię i otworzył schowek, przemyślnie umieszczony w podwójnej ścianie mebla, wyciągając z niego plik papirusów. Znów gwizdnął.

– To aramejski oryginał? Na pewno?

– Prawdopodobnie – odparł alchemik, bardzo smutny, bo przeliczał w głowie, ile dukatów straci na tej wizycie. Manuskrypt kosztował go fortunę.

– Skąd to masz, Holtzer? Wiesz, że oryginału nie ma w całej bibliotece watykańskiej? Oj, niepotrzebnie się chwaliłeś kolegom, niepotrzebnie. – Zakonnik zacmokał.

– Kupiłem.

– Od kogo? A zresztą to w sumie nieważne. Nie muszę wiedzieć za dużo. W każdym razie manuskrypt konfiskuję jako zakazany. Grymuary możesz sobie zachować, w celach kolekcjonerskich oczywiście.

Czarnoksiężnik, który wyglądał, jakby zbierało mu się na płacz, odprowadził niechcianego gościa do drzwi. Na ulicy czuć było pierwsze powiewy wiosennego powietrza. Już w progu Erquicia odwrócił się. Z natury był pogodny i życzył ludziom dobrze; zmuszono go do przekwalifikowania się, ale kiedyś jego specjalnością było misjonarstwo i lubił dawać dobre rady zbłąkanym owcom, szczególnie tym, które budziły jego sympatię. A ten biedny naiwniak, wbrew wszelkiej logice, był taką właśnie osobą.

– Holtzer, odpuść sobie. Diabła nie wywołasz, nie łudź się, za mało w tobie bojaźni Bożej. Zresztą między nami mówiąc, ta dziedzina przechodzi aktualnie radykalne przemiany i twoje metody niedługo bardzo się zdezaktualizują. Ale Bogu nie umknie, czym się zajmujesz. Wyrzuć księgi i pieczęcie, módl się i pracuj, a znajdzie się dla ciebie druga szansa. Pan jest miłosierny dla skruszonych.

Alchemik nie skomentował. Patrzył na zakonnika z mieszaniną głębokiej niechęci i wyrzutu. Miał ogromne szczęście, że wyłgał się tak małym kosztem, i wiedział o tym doskonale.

Erquicia uznał, że zrobił swoje. Czas gonił. Już miał wyjść na ulicę, gdy przypomniał sobie o czymś, dotknąwszy bandoliera z sakiewkami. Odwrócił się w stronę czarnoksiężnika.

- A, właśnie. Rtęć masz? – zapytał.
- Hę?
- Czy masz rtęć na składzie, się pytam!
- Mam – odpowiedział zdumiony Holtzer.
- To daj ze trzy uncje. Zapłacę.

## ROZDZIAŁ III

Przez chwilę myślała, że obudziło ją światło księżyca, które szeroką luną wpadało do komnaty przez wszystkie okna. Była pełnia. Zanim jednak zdążyła to sobie w pełni uświadomić, dotarło do niej, że tym, co wyrwało ją ze snu, był krzyk, który po chwili się powtórzył. Męski, głośny krzyk z dziedzińca.

Katarzyna wygrzebała się spod pierzyny i w koszuli nocnej podbiegła do wejścia. Na korytarzu usłyszała nieregularne kroki. Przez chwilę się wahała, ale przypomniała sobie, że przecież jest u siebie w domu, i gwałtownie otworzyła drzwi na korytarz, żeby akurat zobaczyć, jak szwedzki dragon w niebieskim płaszczu zamaszystym ciosem rapiera rozcina twarz zielono odzianemu najemnikowi. Na boazerię obok Katarzyny trysnęła krew.

Zachowała na tyle przytomności umysłu, żeby nie krzyknąć, cofnęła się tylko, ale Szwed i tak ją zauważył. Uśmiechnął się szeroko, prezentując garnitur pożółkłych zębów i wyciągnął ku niej rękę gestem bezwzględnej zawłaszczenia. Oparła się o ścianę, przerażona. Za jego plecami rozległo się głośne „puff!”, w którym rozpoznała miękki, basowy huk wystrzału z pistoletu. Korytarz wypełnił się dymem, a Szwedowi uśmiech zamarł na ustach. Na jego piersi wykwitła szkarłatna róża.

Zanim zdążył się przewrócić, Katarzyna zauważyła kolejne niebieskie płaszcze w głębi korytarza, a kiedy dragon uderzył o ziemię, posłyszała serię suchych, ostrych trzasków, odmiennych od wcześniejszego „puff!”. Ze ścian dookoła niej posypały się odłamki. Teraz już krzyknęła, głośno i przenikliwie. Nie zdążyło jej zabraknąć powietrza w płucach, gdy coś się zważyło na jej plecy i pozbawiło tchu. Zaczęła się szarpać. Minęło dobre kilka sekund, zanim zorientowała się, że ktoś przyciska ją do ziemi, zaciskając dłoń na jej wargach. Ugryzła tę dłoń i zapiszczała, czując, że uścisk się zwolnił.

– Zamknij się, idiotko! Ratuję ci życie! – wysyczał jej do ucha męski głos i znów poczuła skórzaną rękawicę na twarzy. – Krauze, uważaj! Skałki!

– Słyszę przecież! – odkrzyknął drugi męski głos.

Kątem oka zauważyła, że coś przemyka obok nich jak cień. Usłyszała tupot kilku par butów, jeszcze jeden suchy, ostry wystrzał i dźwięk krzyżowanych ostrzy, sapnięcia, obelgi w nieznanym języku. Bała się przeraźliwie.

W końcu ten, który na niej leżał, podniósł się i wrzucił ją do na wpół otwartego pokoju, po czym z wielką siłą pociągnął za kołnierz jej koszuli i postawił do

pionu.

– Nie możesz tak zostać – powiedział mężczyzna. Katarzyna niewiele widziała, przed oczami latały jej mroczyki, ale chyba był młody. – Masz tu coś do ubrania?

Mogła tylko skinąć głową.

– No to ruchy, wciągaj kiecę! – Mówiąc to, mężczyzna wyglądał przez półotwarte drzwi, za którymi nadal trwała walka.

Katarzyna, mimo osłupienia, wyciągnęła z szafy wełnianą suknię i wiedzona wyuczoną skromnością uciekła za parawan, żeby się przebrać. Usłyszała, że drzwi do pokoju otwierają się szerzej.

– Żyjesz?

– Nic mi nie jest. Gdzie dziewczyna?

– Ubiera się.

– Słuchaj, Schenk, tyś na nią wpadł, więc ty jesteś za nią odpowiedzialny. Niech jej włos z głowy spadnie, a ci nogi z dupy wyrwę. Idę szukać profesorów. Wiesz, któredy na dziedziniec. Zostawiam ci Speyera, zaraz wpadnie reszta chłopców, kurwie syny, dziesięć razy się już powinni zorientować, co się dzieje.

– Tak jest.

Drżącymi palcami zapięła ostatnią haftkę sukni. Poczerwieniała. Takie dialogi słyszała dotychczas tylko z ust stajennych, kiedy jej nie widzieli, ale nigdy nie była takich dyskusji przedmiotem. Ponieważ uspokoiła się trochę, urosła w niej wola buntu. Gdzie był ojciec? W głosie tego, który wydawał rozkazy, rozpoznała Krauzego, z którym rozmawiała kilka razy przy wieczerzach.

– Co się właściwie stało? – usłyszała za parawanem. To był ten, który ją trzymał. Schenk.

– A chuj wie – odpowiedział mu gruby, niski głos, zapewne wspomnianego Speyera. – Przypadkiem byłem w zamku, z Piętką, chcieliśmy od Szwedów co do jedzenia kupić, bo mają, a tu jak nie pieprznie, stajnia w ogniu, na dziedzińcu jatka. No to przybiegliśmy do Krauzego, a on: „Jazda po dziewczynę”, to jesteśmy. Jestem. Bo Piętkę Szwed usiekł.

– Kto zaczął?

– Mówię ci, że nie wiem. Uważaj na tych całych zakonników, widziałem jak jeden się bił z trzema naraz, szatan, a nie mnich, kurwa mać... Co ona tam tyle robi, za tym parawanem?

Cofnęła się. Podeszli do przepierzenia i zwinęli je z dwóch stron jednocześnie. Zobaczyli, że jest już przebrana, i zmarszczyli brwi. Schenk był wysoki, szczupły i czarnowłosy, a Speyer szeroki, krępy i łysy.

– Co ty, dziewczka? Uciekać stąd musim, wiać, fora! – odezwał się łysy. Speyer.

– Nigdzie z wami nie idę! – pisnęła. – Gdzie mój ojciec?

– Twój ojciec nie żyje, kretynko! – krzyknął Schenk, oglądając się z niepokojem na otwarte drzwi, zza których znów słyhać było bliżej niezidentyfikowane hałasy. – Papiści go zatłukli na moich oczach. Chodź, wariatko!

Chwycił ją za rękę. Nie uwierzyła mu. Szarpnęła się gwałtownie.

– Nigdzie z wami nie pójdę! – powtórzyła pewniejszym głosem. – Nie zmusicie mnie!

Najemnicy popatrzyli na siebie. W sekundę później leżała już na ziemi, a Schenk wiązał jej ręce kawałkiem sukna oddartym z zasłony. Następnie Speyer przewiesił ją sobie przez ramię. Od tej pory widziała głównie jego tyłek. Szarpała nogami, ale najemnik trzymał ją w żelaznym uścisku. Z oczu trysnęły jej łzy bezsilności.

Po boazerii poznała, że idą korytarzem prowadzącym na dziedziniec. Zaczęła gwałtownie kaszleć, bo wszędzie było gęsto od dymu z broni prochowej, którego zapach dobrze znała z polowań; czuła też zwykły smród spalenizny. Dotarli do wyjścia na dziedziniec, zatrzymali się przy oknie, usłyszała szept Schenka:

– Czekaj!

Podniosła głowę i spojrzała przez szybę. Ujrzała źródło smrodu – zamek płonął.

Zanim na dobre zdążyła się zorientować, co się dzieje, zza rogu, który mogła częściowo widzieć, przewieszona przez Speyerowe ramię, wyszedł jeden z krótko obciętych zakonników, których widywała od paru tygodni na dziedzińcu zamkowym. Zauważyła, że przez pierś przerzucony miał bandolier, obwieszony kolorowymi sakiewkami zamiast ładownic. W prawej ręce trzymał rapier, a w lewej – ptasie pióro. W sytuacji, w której się znajdowała, nie łączy się faktów zbyt szybko, więc zanim zdążyła pomyśleć, że to dziwne, miecz przeszył plecy Speyera jakiś cal od jej skóry, a najemnik stęknął i przewrócił się ciężko na ścianę, przygniatając jej udo. Wrzasnęła. To uratowało Schenka, który odwrócił się na pięcie, zanim dominikanin wyciągnął ostrze z pleców jego kolegi. Wypalił zakonnikowi prosto w twarz z pistoletu. Ponownie rozległ się suchy trzask, a Katarzynę otoczył gęsty kłęb gryzącego dymu, od którego zaczęła kaszleć jeszcze głośniejsze. Zakonnik przewrócił się, ciągnąc rapier. Klinga z mlaskiem wyskoczyła z pleców Speyera. Poczowała, że trzymający ją najemnik osuwa się po ścianie, a jej robi się niedobrze.

Tymczasem Schenk wyplątał ją spomiędzy ramion towarzysza i położył obok na posadzce. Katarzyna kaszlała i płakała, nie wiedząc już zupełnie, co się dzieje. Czarnowłosa najemnik zbadał pobieżnie swojego przyjaciela.

– Kurwa mać! – Odwrócił się do Katarzyny. – Widzisz, co się tu dzieje, dziewczyno? Będziesz, kurwa, szła grzecznie?

Pokiwała głową, niewiele widząc przez łyzy, zarówno własne, jak i te wyciśnięte przez dym. Poczwała, że najemnik rozcina jej więzy, podnosi na nogi i ciągnie na dziedziniec. Posłuszenie dała się prowadzić, myśl o stawianiu oporu gdzieś zniknęła. Chciała już tylko wydostać się z zamku.

Gdy wyszli na dziedziniec, przetarła oczy rękawem i zobaczyła swój prywatny koszmar. Stajnia stała w płomieniach, buchających kilkadziesiąt łokci w górę i osmalających blanki zamku. Szalejący pożar łyssał też w niemal wszystkich oknach twierdzy. Na placu leżały trupy żołnierzy ojca i Szwedów, a po przeciwległej stronie dziedzińca trwała zażarta walka. Przez bramę wsypywała się właśnie banda różnokolorowych najemników. Na ich widok Schenk gwizdnął. Zauważyli go i na jego znak ręką rzucili się w sam środek zawieruchy między Szwedami a zakonnikami.

Czarnowłosa najemnik pociągnął ją za rękę. Posłuszenie ruszyła za nim, czując jego uścisk na nadgarstku. W drugiej ręce nie trzymał już pistoletu, tylko miecz. Szli wzdłuż ściany. Poczwała za plecami milczącą obecność Krauzego, ale się nie odwróciła, bo drogę przecięli im trzej Szwedzi i zakonnik, który oprócz rapiera trzymał coś w zaciśniętej lewej garści. Na ich oczach jeden z dragonów wrzasnął i chwycił się za twarz, rzucając broń, chociaż nie dostał żadnego ciosu. Pozostali dwaj starali się przebić niesamowicie szybkie zastawy dominikanina. Przez chwilę Schenk wyglądał, jakby chciał wbić sztych w jego plecy, ale rozmyślił się i po prostu przebiegli obok walczących. Dopiero wtedy Katarzyna zerknęła przez ramię i w upiornym blasku pożogi ujrzała usmolonego Krauzego z opalonymi włosami, który ciągnął za sobą grubego Holendra, Christopha Euwego, tak samo, jak Schenk ciągnął ją.

Przebiegli kilka ostatnich kroków i wypadli za bramę, w ciemność, która w kontraście do jaskrawo oświetlonego pożarem dziedzińca wydawała się wgniatać gałki oczne w głąb czaszek. Krauze gwizdnął przenikliwie trzy razy. Katarzyna znów nie widziała nic poza pomarańczowozłotym kwadratem bramy i rozmazanymi cieniami, poruszającymi się wewnątrz, na przeciwległej ścianie zamku, zupełnie jak w upiornej commedii dell'arte. Ktoś wrzeszczał przeraźliwie. Gdzieś wybrzmiał pojedynczy, długi świst. Schenk pociągnął ją w bok, z dala od bramy.

Wewnątrz zamku zajaśniało kilka niesamowitych, wręcz nieziemskich błysków, które na mgnienie oka oświetliły całą okolicę. Na pewno nie pochodziły od prochowych wystrzałów. Na sekundę wszyscy zastygli w zdumieniu. Pierwszy ocknął się Schenk i popchnął dziewczynę.

Przez chwilę szli w zupełnym mroku. Posłyszała, że dołączają do nich kolejne osoby, tupiące ciężkimi buciorami. Dopiero gdy oddalili się od jej rodowej twierdzy o dobre ćwierć mili, Krauze odezwał się szeptem:

- Konie?
- Rozbiegły się – odpowiedział mu inny szept. – Mamy dziewczynę?
- Mamy.
- A Elzeveir?
- Zabity – wyjąkał niespodziewanie Euwe i wybuchnął płaczem.

Ze wszystkich stron rozległy się gwałtowne posykiwania. Oczy Katarzyny przywykły już trochę do ciemności i w świetle jasnego księżyca zobaczyła Euwego – z wystającym brzuchem, w brudnym, aksamitnym kubraku, z podartą kryzą, całego we łzach. Był to dosyć żałosny widok, ale zaskakująco trzeźwo pomyślała, że sama wcale chyba nie wygląda lepiej.

Dlaczego nie poszłam ze Szwedami? – ta myśl błysnęła jej nagle ostro w głowie.

– Dokąd teraz? – zapytał jeden z najemników, których, jak zauważyła z zaskoczeniem, dołączyło do nich przynajmniej dziesięciu.

– Północ. Na prawo od księżyca – odszepnął Krauze. – Tylko cisza!

Zaczęli iść wzdłuż gościńca w stronę lasu, o którym Katarzyna wiedziała tylko tyle, że biegnie przez niego droga do Königsbronn. Żadnych włości ojca nie znała tak słabo – jej wycieczki odbywały się głównie na zachód i południe, uchodzące za najbezpieczniejsze kierunki. Nie uszli nawet stu kroków, gdy usłyszała:

– Schenk! Pilnujesz dziewczuchy?

– Pilnuję, chodźmy.

W powietrzu czuć było przymrozek. Zrobiło jej się zimno. Ocierając twarz rękawami sukni, ponownie przemknęło jej przez głowę pytanie, czemu nie poszła ze Szwedami. Że z papistami nie, to wiadomo, była luteranką, a dominikanie i jezuita to szarlatani, którzy realizują podszepty Belzebuba pod auspicjami łże-apostoła w Rzymie. Ale czemu nie ze Szwedami, nie z przystojnym, świetnie wychowanym Erikssonem? Odwróciła się. Zamek nadal płonął – rzygający światłem prostokąt bramy był doskonale widoczny na tle ciemności. Bo nie wiedział, gdzie jestem, odpowiedziała sobie w myślach i zrobiła krok w bok.

Schenk nie zareagował, więc zrobiła drugi. I trzeci. Już miała rzucić się do ucieczki przez gładkie pole w stronę najbliższej wsi, gdy najemnik kategorycznie i bez najmniejszych ceregieli złapał ją za kark jak małego kotka. Poczowała gwałtowny przypływ furii.

– Zostaw mnie, chamie!

Kolumna zatrzymała się. Stojący na przedzie Krauze obrócił się i spojrzał na Schenka pytająco.

– Idźcie – szepnął opiekun Katarzyny. – Załatwię to.



Reszta ruszyła, a Schenk siłą obrócił dziewczynę w stronę południa, gdzie w świetle księżyca rysowało się miasto Ulm. Ledwo widocznym ruchem ręki wskazał jej drogę prowadzącą z miasta do zamku. Dostrzegła na niej drobne ogniki pochodni.

– Widzisz to, idiotko? To garnizon cesarski, zaalarmowany, idzie do zamku. Jak myślisz, komu cię oddadzą, jak cię złapią?

Katarzyna nie odezwała się.

– A może – podjął młody najemnik, obracając ją twarzą do siebie – chciałaś nawiać do tego sodomity Erikssona? Zakładając, że nie wytłukli ich mnisi, wiesz, co się stanie ze Szwedami, kiedy ten garnizon dotrze do twierdzy, czyli za jakieś dwadzieścia minut? Hm? Domyślasz się, kretynko?

Katarzyna wciąż milczała.

– Twój ojciec nie żyje, dziecko. – Głos mu zmiękł, ale tylko odrobinę. – Zatrącił go jezuita, na moich oczach.

Cisza.

– Niby stara szlachta, a taka głupia. Nadal mi nie wierzysz? Trudno. Idziesz po dobroci czy znowu mam cię przez ramię przerzucić?

W świetle księżyca jego twarz wyglądała na trupioblada. Na policzku, nad czarną, hiszpańską bródką widniała kontrastująca z bielą skóry smuga sadzy, a jasne oczy jarzyły się niespokojnie. Katarzyna starała się myśleć jak najszybciej – najemnik nie wyglądał na cierpliwego.

– Pójdę – burknęła.

– No. Od razu lepiej. Chodź, trzeba dogonić resztę.

Przyśpieszyli kroku. Po pięciu minutach przekroczyli granicę lasu, a po dziesięciu dogonili pozostałości oddziału najemników. Na samym jego końcu włókł się Euwe, usmarkany i zdyszany.

– Obyś okazała się warta tego wszystkiego, dziecko – mruknął do niej, chociaż brzmiało to jak słowa przeznaczone dla siebie samego.

Schenk przepchnął ją do środka kolumny i nie odstępował na krok. Szli przez las w milczeniu. Katarzynie było przeraźliwie zimno, z ust buchały kłęby pary. Nie miała pojęcia, co robić dalej, więc zdecydowała – już parę minut wcześniej, w czasie rozmowy z Schenkiem – że na razie da się pokornie prowadzić gdzieś, gdzie będzie bezpiecznie. Drzewa, oszronione od przymrozku, błyszczały w świetle księżyca, podobnie jak wydeptana gleba gościńca. Aby nie zwalniać tempa, szli samym środkiem drogi. Żołnierze sprawdzali ryszunek, ładowali pistolety i rusznice, podsypywali panewki. Zauważyła, że część z nich miała broń lontową albo kołową, a część skałkową, odebraną Szwedom. Również główce pufferów Schenka lśniły północną nowością. Znała się na tym, bo przyjaźniła się za dzieciaka z głównym strzelczym ojca.

Ojca... Pierwszy szok minął i zachciało jej się płakać. Wiedziała, że najemnik powiedział jej prawdę na temat jego śmierci. Gdyby kłamał, nie byłoby jej teraz tutaj. Ojciec by ją przecież uratował, a ona nie czułaby gwałtownego ścisku serca i świdrujących łez w kącikach oczu.

Nagle z tyłu dał się słyszeć krótki, cichy gwizd. Jeden z najemników podniósł czujnie głowę i jął nasłuchiwać jak myśliwski chart.

– Konie! W las!

Skoczyli między przydrożne drzewa, ukrywając się za pniakami, dorodnymi sosnami i w nagromadzonych przez zimę stosach ściółki. Żołnierze sprawdzali krzemienie i podpalali lonty. Nie minęły dwie minuty, gdy rzeczywiście usłyszeli odgłos końskich kopyt, a po chwili gościńcem przemknął cwałem jeździec. Jeden z zakonników. Katarzyna zamknęła oczy. Jej ostatnią szansą było to, że Szwedzi jednak poradzili sobie z papistami i teraz idą po nią. Widok puklerza z czarno-białym krzyżem zgasił i tę niewielką iskierkę nadziei. Siedząc cichutko za obalonym przez wicher pniem, cały czas czuła dojmujące zimno. Dmuchała w dłonie, by je choć trochę ogrzać, ale też wiedzona bezbłędnym instynktem, chcąc ukryć parę buchającą z ust. Najemnicy zasłonili twarze szarfami i kołnierzami płaszczy.

Na chwilę zapadła głucha, niczym niezmacona cisza, po czym usłyszeli kolejne konie, jadące o wiele wolniej, kłusem. Najwyraźniej pierwszy zakonnik miał ich tylko wyśledzić, ewentualnie zaalarmować kolejny garnizon. Po minucie zobaczyli nadciągający oddział – pięciu jeźdźców. Ich, razem z Euwem i Katarzyną, było trzynaścioro, ale Krauze gestem ręki zrozumiałym nawet dla dziewczyny nakazał pozostać w ukryciu.

Dominikanie i jezuita, jako jedyny pozostający nadal w czarnym habicie, zwolnili, gdy zbliżyli się do miejsca, w którym skromny pluton zszedł z drogi. Konie stanęły parę kroków przed nimi. Jeźdźcy patrzyli uważnie na ziemię. Katarzyna zorientowała się, że w szronie zalegającym na gościńcu cieniutką, ale jednak widoczną warstwą, musiały pozostać ich ślady. Starła się oddychać bezgłośnie. Między czarnymi gałązkami kosodrzewiny widziała Tilenheima, którego z trudem poznała bez habitu, w kirysie i z muszkietem opartym o łęk siodła.

Zakonnicy wymienili kilka słów po łacinie. Jeden z jeźdźców zbliżył się o parę kroków do Tilenheima, powiedział coś głośno, tamten pokręcił głową. Sięgnął do przerzuconego przez pierś bandoliera i z jednej z sakiewek wyciągnął jakiś przedmiot. Zamruczał pod nosem, trzymając wydobytą rzecz w palcach i zataczając krąg dłonią. Do Katarzyny dotarło ledwo słyszalne westchnięcie Schenka, który kucał tuż za jej plecami. Spod palców zakonnika zaczęła spływać błyszcząca mgła, która wyglądała jak płynne światło albo podpalony blask

księżycyca. Kłębiła się srebrzyście wokół jego dłoni, po czym rozplynęła się dookoła i zaczęła się gromadzić i poruszać nad głowami zakonników. I Katarzyny. I Krauzego. I dwóch innych najemników. Tilenheim spojrział w ich stronę.

Schenk pierwszy zorientował się, co się dzieje.

– Chodu! – wrzasnął przeraźliwie i pociągnął dziewczynę w las.

Rozległ się rumor trzynastu par stóp rzucających się do panicznej ucieczki między drzewa. Padły dwa strzały. Potem Katarzyna słyszała już tylko sapanie Schenka, swój przyśpieszony oddech i trzask poczerniałych, pozbawionych liści gałązek, które smagały ją po policzkach. Schenk ciągnął ją za sobą jak worek. Gdyby nie żelazny chwyt najemnika, przewróciłaby się natychmiast. Po kilku sekundach złapała rytm i zaczęła biec, starając się nie zwracać uwagi na piekącą twarz. Znowu padła nieregularna salwa. Usłyszała krzyk, następnie drugi, raczej jazgot niż wrzask, brzmiały, jakby wydającego go człowieka wrzucono do szatańskiego kotła. Nie mogła się jednak obejrzeć, zamiast tego znowu się potknęła, ale tym razem Schenk jej nie utrzymał. Upadła. Zanim zdążyła się zorientować, że leży w jakimś parowie, stała już z powrotem na nogach, podciągnięta silną ręką, i biegła dalej. Kalejdoskop oszronionych pni, omszałych głązów, rozrzuconej trzewikami ściółki.

W końcu wbiegli w gęstwinię tak ściśłą, że nie dało się utrzymać tempa. Zatrzymali się. Dyszeli ciężko, oparci o pnie wąskich drzewek, chyba sosen, rosnących regularnie i przeraźliwie gęsto. Pełne igieł podłoże było zupełnie suche, osłonięte sklepieniem z gałęzi, a księżycowego światła było tyle co nic. Gdy uspokoili oddechy, Schenk wyciągnął z sakwy małe łuczywo i wziął się do krzesania ognia. W krótkich rozbłyskach iskier widziała jego skupioną, ociekającą potem twarz. Nagle podniósł czujnie głowę.

– Wiej! – krzyknął, porzucając łuczywo i zrywając się na równe nogi.

Znowu chwycił ją za nadgarstek i rozpaczliwie rzucili się między wąskie drzewka, objając się o nie, zahaczając włosami i ubraniem o sterczące gałązki, ślizgając się na igliwiu. Niespodziewanie Katarzyna poczuła, że ktoś brutalnie chwycił ją za włosy. Krzyknęła z bólu, zatrzymując się w miejscu; dłoń Schenka puściła jej przegub, a ona upadła na plecy, aż jej zabrakło tchu. Ciemna postać przekroczyła ją, kierując się w stronę najemnika, który zaplątał się w gałęzie. Zobaczyła, że mężczyzna, który ją przewrócił, trzyma w ręce zmięty kawałek papieru. Zanim jeszcze zdążyła zarejestrować ten fakt, jakiś ciemny kształt, który pojawił się znikąd, wpadł na jej oprawcę, przewracając go potężnym ciosem barku. Ciemna postać upadła, a drugi cień zabrał się do wyciągania miecza. To był błąd. Leżący warknął coś, czego dziewczyna nie zrozumiała, a cień stanął w płomieniach. W nagłym rozbłysku światła zobaczyła przerażoną twarz,

w której rysach rozpoznała Krauzego. Jego ubranie i włosy paliły się żywym ogniem. Najemnik zaczął krzyczeć.

Kątem oka zobaczyła, jak na powalonego zakonnika rzuca się Schenk z wyciągniętym lewakiem. Przydepnął prawą rękę dominikanina i z furją żgał go w bok, starając się znaleźć szparę w pancerzu i nie zwracając uwagi na to, że leżący okłada go wściekle lewą pięścią. Tymczasem Krauze upadł na ziemię i wrzeszczał jak opętany, tarzając się i próbując zgasić ubranie. Katarzyna podbiegła do niego, ale nie wiedziała, co właściwie ma robić. Chwyciła jakąś gałąź i próbowała stłumić płomienie, ale dało to tylko tyle, że drobne łodyżki zajęły się ogniem, tak samo jak przesuszane drzewka i iglasta ściółka, o które ocierał się co chwila wyjący Krauze. Dziewczyna myślała, że od płaczu wybuchną jej oczy. Nie minęło dziesięć sekund, a zaczęła się krztusić dymem. Las wokół zaczynał płonąć.

Schenk, który zadźgał w końcu opancerzonego przeciwnika, podbiegł do niej i odciągnął ją od żaru. Gdy zobaczył osmaloną, poparzoną, bezwłosą już głowę swojego dowódcy, nie wahał się ani sekundy i szybkim ruchem wbił lewak aż po gardę w jego podbródek.

– Nie!

Schenk nie zwrócił na uwagi na jej krzyk. Chwycił Katarzynę w pól i zaczął uciekać z sośnika, którego górne warstwy już zajmowały się ogniem. Dookoła nich fruwały mirady iskier i płonących gałązek. Żadne z nich nic nie widziało, krztusili się dymem, zataczali. Katarzyna poczuła smród palonych włosów, więc zaczęła najbardziej ludzkim z odruchów bić się po głowie rękoma.

W końcu wyszli z piekielnego zagajnika, zostawiając za sobą rozprzestrzeniającą się ścianę ognia. Trafili na niewielką polanę, za którą las był liściasty i o wiele wilgotniejszy. Wpadli między drzewa. Schenk dyszał ciężko, klepiąc się po rękawie, który jeszcze trochę dymił. Uspokoił się pierwszy. Katarzyna chlipała. Wydarzenia tego dnia kategorycznie wykraczały poza jej dotychczasowy pakiet doświadczeń i jeszcze kategoryczniej naruszały jej i tak nie najlepsze nerwy. Najemnik zdobył się na ludzki gest i pogłaskał ją po przypalonych blond włosach, uznając, że jeśli jej nie uspokoi, nie ruszą dalej. Za polaną buchały w niebo ogromne jęzory płomieni, oświetlając wszystko przeklętym blaskiem pożogi. Schenk odczekał jeszcze pół minuty i powiedział cicho:

– Chodź. Ten pożar widać z wielu mil. Musimy stąd uciekać.

Kiwnęła głową. Kondotier zdecydowanie objął kierunek i ruszyli do przodu, zostawiając za sobą polanę i ogień, choć jeszcze przez dłuższą chwilę otaczały ich migotliwe cienie wywołane przez wściekły żywioł.

Po pewnym czasie z powrotem zrobiło się ciemno. Tylko księżyc, który jak stał, tak nadal stał w pełni, oświetlał im drogę. Wskutek odpływu adrenaliny Katarzyna poczuła przeraźliwe zmęczenie. Nogi miała jak z ołowiu, czuła się brudna, nieszczęśliwa i całkowicie bezradna. Nie wiedziała, dokąd idą ani co się stanie z nią dalej. Zapytała:

– Gdzie idziemy? Znasz te lasy?

– Nie.

– No to skąd wiesz, czy stąd w ogóle wyjdziemy? A co z resztą? Z Euwem i twoimi kompanami?

Schenk uśmiechnął się pod nosem.

– Nasza partia zawsze się znajdzie.

– Ciekawe jak? – nie ustępowała Katarzyna.

– Nie twoja sprawa.

– Jestem zmęczona. Chcę odpocząć.

– Odpoczniemy na miejscu.

– Czyli gdzie niby, skoro nie wiesz, dokąd idziemy?

– Mamy prosty wybieg – wyjaśniał coraz bardziej zniecierpliwiony Schenk. – Gdziekolwiek się znajdziemy, jakkolwiek nas nie rozproszy i nie rozrzuci, kierujemy się zawsze w stronę Westfalii. Czyli w tym wypadku na północny zachód. Kiedy dojdziemy do pierwszej rzeki, idziemy w dół wzdłuż jej koryta, aż dojdziemy do pierwszego mostu. Tam się spotykamy. Nie działa tylko w Bremie, gdzie jest więcej mostów niż ludzi.

– Skąd wiesz, że tu jest rzeka?

– Bo w Niemczech zawsze dochodzisz do jakiejś rzeki. Jeśli nie do Łaby, to do Dunaju, jeśli nie do Odry, to do Renu.

– A skąd wiesz, że jest na niej most?

– Bo na każdej rzece są mosty. A teraz cicho, oszczędzaj siły.

Po trzeciej godzinie marszu przez las zaczęło świtać. Dziewczyna dosłownie słała się na nogach. Ale faktycznie, zgodnie ze słowami najemnika, dotarli do rzeczki, której nazwy ani on, ani ona nie znali. Ruszyli wzdłuż brzegu, co wymagało zmiany kierunku. Po chwili Katarzyna przestała czuć stopy i nie mogła iść samodzielnie. Schenk, nie widząc innego wyjścia, chwycił ją pod ramię, chociaż sam ledwo włączył nogami.

Gdy odezwały się pierwsze ptaki, myślał, że nie zrobi już ani kroku, ale machinalnie, samą tylko siłą rozpędu i niezłomności, której nabrał w swoim dwudziestoczteroletnim żołnierskim życiu, jednak robił kolejny. I jeszcze jeden. I następny. Dziewczyna ciążyła mu jak worek kartofli. Wbrew zdrowemu rozsądkowi Schenk cieszył się, że w szaleńczym biegu przez las zgubił swój świeżo zdobyty skałkowy muszkiet, bo teraz musiałby go chyba wyrzucić sam.

Mógł zatrzymać się pod pierwszym lepszym drzewem albo w jakimś wykrocie, rozpalić małe ognisko, poczekać, aż nabiorą chociaż trochę sił, ale nie chciał. Po pierwsze, na wpeł przytomna i wychłodzona dziewczyna, gdy tylko będzie miała okazję, będzie spała – Bóg wie jak długo. Po drugie, partia będzie czekać tylko kilka nocy, potem uznają ich za zabitych i ruszą do domu, do Kleve, a on nie zamierzał eskortować panny przez całe Niemcy sam, zwłaszcza że Holendrzy płacili im na głowę, a nie kwotę do podziału. Po trzecie, bał się, że kiedy usiądzie, nie będzie miał już siły skrzesać ognia.

Gdy mimo wszystko zaczął poważnie rozważać postój – a raczej kiedy perspektywa postawienia kolejnego kroku zaczęła się robić nieznośna, a wizja odpoczynku coraz bardziej kusząca – zobaczył mały mostek spinający brzegi anonimowej rzeczki. Spod mostku biegła cienka strużka dymu.

Ostatkiem sił doszedł do przeprawy i zobaczył, jak jego ocalali towarzysze zrywają się na równe nogi, patrząc w ich kierunku w milczeniu. Dotarło do niego, że on i Katarzyna musieli wyglądać, jakby wyszli z piekła, co w pewnym sensie nie mijало się z prawdą. Stał pośrodku małego obozowiska i puścił dziewczynę, która zatoczyła się i upadła na kolana.

– Krauze? – zapytał jeden z najemników.

Schenk pokręcił głową. Katarzyna już tego nie słyszała ani nie widziała, ponieważ gdy tylko dotknęła ziemi, spektakularnie zemdląła z wycieńczenia.

## ROZDZIAŁ IV

Gdy tylko Schenk przespał się parę godzin, zjadł trochę gulaszu ze zrabowanej koźliny, który zdążyła upichcić reszta, i zebrał siły, zorientował się, że jego położenie jest niewesołe. Mianowicie musiał objąć komendę.

Nie to, że mieli jakiś łańcuch dowodzenia, nie byli regularną armią, tylko bandą knechtów do wynajęcia, jedną z setek podobnych, które szwendały się po Niemczech w poszukiwaniu łatwego albo trudnego zarobku; żaden z nich się nie łudził, że stanowią istotną siłę bojową. Wynajmowano ich do drobnych bijatyk, załatwiania prywatnych porachunków, eskorty, a od czasu do czasu trafiali razem z innymi partiami pod rozkazy jakiegoś lokalnego władcy czy biskupa, żeby pełnić rolę mięsa armatniego w bitwie o miedzę i trzy grusze. W związku z tym po śmierci lub odejściu dowódcy jego następcą nie zostawał ten, kto miał kolejny stopień, bo w ogóle nie mieli żadnych stopni, ale ten, kto zgłosił akces, względnie został wybrany w głosowaniu. Jeśli chętnych było dwóch, zazwyczaj przepychali się tak długo, aż jeden ustąpił. Nieczęsto dochodziło do przelewu krwi. Zaliczali się w końcu do cywilizowanych ludzi.

Równie rzadka okazywała się sytuacja, w której zmiana na dowódczym stanowisku była dla wszystkich najzupełniej oczywista. Schenk uchodził – w istocie – za kogoś w rodzaju prawej ręki Krauzego, załatwiał za niego najtrudniejsze sprawy, często też znał jego plany wcześniej niż reszta bandy. Wcale jednak nie miał ochoty odpowiadać przed – mówiąc wprost – grupą morderców i sukinsynów. Może gdyby miał okazję przejąć kompanię w stanie sprzed dwóch dni, kiedy było ich półtora tuzina świeżych zabijaków, miałoby to większy sens; teraz grzało się przy ogniu sześciu, w dosyć opłakanym stanie. Gdy wbijał nóż w gardło swojego preceptora, kierowała nim litość – w ogóle nie pomyślał o tym kłopotliwym skutku ubocznym.

Tymczasem niemal wszyscy gapili się w niego jak w gnat, czekając, co zakomenderuje, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Młody najemnik obserwował z ukosa Sójkę Lorentza, szpakowatego Prusaka z Pomorza, najstarszego spośród nich, jednak tamten unikał jego wzroku, wprost dając do zrozumienia, że nie ma ochoty obejmować schedy po Krauzem.

Próbując zyskać na czasie, sprawdził broń i zajrzał do dziewczyny, którą ułożono na zawieszonych płaszczach w prowizorycznym namiocie z kozłej skóry. Spała niespokojnie, brudna, w przypalonej sukni, raz za razem odwracając się

z boku na bok i mamrotała coś przez sen. Jedno było pewne: nie mogli zostać pod mostkiem – ani to bezpieczne, ani wygodne – a musieli podbudować choć trochę morale, zanim ruszą w dalszą drogę.

Odwrócił się do reszty. Zawahał się, widząc sześć brudnych mord. Nie było wśród nich znajomej twarzy Ruperta, który zazwyczaj pełnił funkcję zwiadowcy, co stanowiło okoliczność zarówno smutną, jak i kłopotliwą.

– Musimy się ruszyć spod tego mostku – odezwał się w końcu. – Wie ktoś, gdzie dokładnie jesteśmy?

– Chłop, cośmy mu koziełka zabrali – odezwał się Szary, strzelec – gadał, że parę godzin na wschód od gościńca na Königsbronn. Opodal jest jego sioło.

– Duże?

– Cztery chaty.

– Chłopa puściliście?

– Puścili.

Żeby wypaść poważniej, Schenk udał, że się zamyślił. Tymczasem w głowie już zarysował mu się pewien plan.

– Dobra. Gaście ogień, idziemy do tej wsi. Zajmiemy którąś chatę.

Najemnicy bez gadania zaczęli zwijać obóz. Schenk zwykle w tym pomagał, ale przypomniał sobie, że przy tego typu pracach Krauze zawsze stał z boku i lustrował horyzont, więc nie dołączył do pakowania sakw ani gaszenia ogniska.

– Co z dziewczyną, Schenk?

– Hans – zwrócił się do postawnego zawalidrogi, który po zaginięciu Grubentorpa awansował do rangi największego mięśniaka w oddziale – owiń ją w płaszcz i weź ze sobą. Daj muszkiet, poniosę.

Wielkie chłopisko posłusznie zaczęło podnosić Katarzynę.

– Ale nie na ramię, człowieku! To nie worek. W ramiona ją weź. Jakby twoja była.

Chłopcy zarechotali. Krauze nie powiedziałby „człowieku”, powiedziałby „chuju”. Albo coś w tym stylu. Ale na to Schenk się jeszcze nie ważył.

Ruszyli w kierunku wskazanym przez Szarego. I faktycznie, po przejściu pół mili zobaczyli dym unoszący z czterech chłopskich kominów. Między chatami kręcili się mieszkańcy sioła, głównie kobiety. Schenk doskonale wiedział, że większość chłopów od dawna była w wojsku, więc nie spodziewał się wielkiego oporu.

Nie zostali przyjęci zbyt entuzjastycznie, ale też nie tak źle, jak zwykle wita się podobnych zabijaków, a to z racji faktu, że Hans niósł na rękach Katarzynę. Daniel von Besserer był dobrym panem, łaskawym, sprawiedliwym i zapewniającym ochronę; dlatego widok jego córki nie pozostawił chłopstwa



obojętnym. Kilka kłonic, cepów i prehistoryczna strzelba, które pojawiły się w rękach wyrostków i starych, ogorzałych kmieciów, nieobjętych zaciągiem, szybko zniknęły. Sołtys, wielki typ z twarzą jak kartofel, zaoferował im gościnę w swojej chacie.

Schenk zdecydował się ją przyjąć, ale na swoich warunkach. Primo, wygnał sołtysa z jego domu, odsyłając go do sąsiadów. Secundo, nakazał zgarnąć z każdej chaty dziecko albo babę i ulokował ich w swojej nowej kwaterze jako zakładników. Ani myślał liczyć na chwiejną kmiecią wierność, miał jednak nadzieję, że w tak małej wsi nie znajdzie się żaden skurwysyn gotowy sprzedać własne dziecko czy żonę za kilka srebrnych monet. Szczególnie że aby utrzymać atmosferę wzajemnego zrozumienia i harmonii, wypłacił feniga chłopu, któremu wcześniej odebrano kozła, a także po kilka krajcarów reszcie rodzin. Nie chciał przesadzać z dobrocią. Mimo wszystko było to chamstwo, a w dodatku większość budżetu partii stopiła się zapewne wraz z kośćmi Krauzego, zaszyta w formie złotych dublonów w jego kamizeli.

Sołtysowi, najwyraźniej łebskiemu, nie umknęły te wszystkie zabiegi.

– Ino nie mordujcie ani nie gwałćcie, panie – odezwał się do Schenka, wychodząc z chaty – a my nie piśniem, żeście u nas na popasie. Córuchnę jaśnie pana ugościm zgodnie z obyczajem.

Ta tyleż wzruszająca, co podejrzana lojalność względem grafa nie tylko nastrajała Schenka nieufnie, lecz także wzmagala jego nerwowość. Kazał wystawić wartę i mieć ma chłopów baczenie. To z kolei nie uszło uwadze reszty partii. Choć konieczność naprzemiennego sterczenia jak kołek przy drzwiach chaty wcale jej nie odpowiadała, doceniała zabiegi mające na celu zapewnienie jej względnego spokoju i bezpieczeństwa. Schenk poczuł się pewniej, zarówno w stosunku do chłopów, jak i własnej bandy.

Dziewczynę ulokowali na jedynej ławie w domostwie, na posłaniu ze słomy i płaszczy. We wsi nie było żadnej młodej dziewczki, która mogłaby odsprzedać albo oddać ubranie, więc zostawili jej wełnianą, podartą i przypaloną suknię; Schenk kazał tylko jednej z bab obmyć jej twarz. Katarzyna jakby się uspokoiła. Pozostawało tylko poczekać, aż się obudzi.

Gdy najemnik zauważył zmarszczony nos i pogardliwą minę Euwego, który z wyraźnym niepokojem i obrzydzeniem zerkał na zgromadzone w izbie zwierzęta, kazał je wygnać na dwór, do obory, uspokajając chłopą, że zapowiada się ocieplenie i nie zmarzną; nie zważał przy tym na protesty najemników, którzy z kolei uważali, że sami zmarzną. Stwierdził, że skoro holenderski przygłup tak reagował na zabiedzoną krowę i kilka szczupłych prosiaków, to grafianka ze starej szlachty zareaguje jeszcze gorzej. Nie przyszło mu do głowy, że niderlandzki bakałarz mniej miał okazji obcować ze zwierzętami niż niemiecka

szlachcianka ze Szwabii. Ale nawet gdyby się tego domyślał, wolałby nie ryzykować drażnienia Katarzyny. Nie bez powodu. Starał się myśleć strategicznie. Mieli przed sobą ćwierć tysiąca mil drogi przez ogarnięte wojną Niemcy. Kooperacja ze strony dziewczyny byłaby więcej niż wskazana. Mogliby wtedy uchodzić za zwykłą eskortę podróżującej szlachcianki. A jeśli trzeba będzie wieźć ją przywiązaną do siodła albo w zamkniętym powozie, sprawa skomplikuje się nad wyraz, chociaż liczył się i z taką ewentualnością.

Było już dobrze po południu, gdy Schenk wyszedł przed chatę, gdzie Euwe, korzystając z ostatnich promieni zimnego, wczesno wiosennego słońca, siedział na ławie i usiłował doprowadzić do porządku swoją kryzę. Było to niełatwe, ponieważ ozdobna koronka naddarła się w wielu miejscach, a z jednej strony nawet przypaliła. Do tego krochmal zmiękł i kołnierz raz za razem opadał płasko na czarne sukno kamizeli, co upodabniało jej właściciela do brzydkiej i grubej zakonnicy. Stan garderoby wydawał się pochłaniać go bez reszty.

– Euwe, co się właściwie wczoraj stało?

Bakałarz spojrział na Schenka oślimi oczami, jakby zaskoczony, że ktoś go o coś zapytał.

– Gdzie?

– W zamku. Jak zginął Elzeveir?

Holender zadrzał

– Obudziły nas krzyki i śwąd. Ubraliśmy się szybko i wybiegliśmy na korytarz. Spotkaliśmy Szwedów z Erikssonem na czele, szli kupą i krzyczeli coś po swojemu. Zaczęliśmy go pytać, co się dzieje, ale tylko się denerwował, popędzał resztę i nie chciał z nami gadać. A kiedy magister chwycił go za ramię, Eriksson go zadźgał, tak po prostu, jak psa, wbił mu miecz w pierś. – Podbródek naukowca zadrzał jak osika. – Dalej nie wiem. Uciekłem. Znalazł mnie Krauze i niemal wywlókł z pożaru. Musiałem mu pokazać ciało magistra, bo mi nie wierzył.

Niewiele z tego wynikało, mimo to Schenk kontynuował indagację:

– A na gościńcu? O co chodziło z tą mgłą? Co to za dziwni zakonnicy, którzy wcale nie są zakonnikami, bo wytłukli co najmniej trzydzieści chłopą w dziesiątkę? I co to były za błyski na zamku, kiedy uciekaliśmy?

Jego rozmówca zmieszał się.

– Nie mogę powiedzieć. Zresztą i tak niewiele byś zrozumiał.

Schenk stracił cierpliwość

– Słuchaj, wieprzu. Nie wiem, po co właściwie byłeś Elzeveirowi, czy dla konceptu, czy towarzystwa, ale to on nas wynajął, a w Lejdzie zapłacą nam za dziewczynę tak czy inaczej. Jeśli nie zaczniesz się do czegoś przydawać, zostawimy cię w tej dziurze i radź sobie sam.

Euwe zrobił dziwną minę, która wyrażała jednocześnie głęboką urazę i przerażenie. Rozejrzył się. Ani drewniane chaty, ani ogołocoony z liści las nieopodal, ani żująca coś zabiedzona krowa, deptająca po oblepionym głównym obojętności, nie wydali mu się specjalnie atrakcyjni, podobnie jak wizja samodzielnego powrotu na uniwersytet, który znajdował się bardzo, bardzo daleko.

– A więc? Mgła, zakonnicy, błysk?

Euwe się zmieszał.

– Tak naprawdę niewiele ci mogę powiedzieć – odparł, bardzo niezadowolony, bo najgorszą rzeczą, która może spotkać człowieka o przesadnie dobrej opinii na temat swojej wiedzy, to przyznanie się do jej braku. – Nie wiem, co to za zakonnicy. Przedstawiali się jako dominikanie, tak? Nie znam ich. Nie utrzymuję kontaktów z papistami. A błyski i mgła, hm... To było niepokojące, bardzo niepokojące... Ale trudno było oczekiwać... Hm... – umilkł.

Schenk przez chwilę gapił się na ostentacyjnie zamyślonego, robiącego mądre miny Holendra. W końcu nie wytrzymał.

– No?

– Wyglądało to na jakieś efekty eteromancyjne. Ale to trudne do uwierzenia, żeby katolicycy zakonnicy posługiwali się eteromancją... Chyba że jakoś zaadaptowali... Ale musieliby... – Euwe znów utonął w niezbadanym strumieniu myśli. Najemnika fascynowało, jak szybko człowiek ten odcinał się od rzeczywistości i zapominał o bożym świecie.

– Posługiwali się czym?

– Eteromancją.

– Dobra, słuchaj – powiedział zniecierpliwiony Schenk. – Powiedz mi po prostu, co oni mogą?

– Nie mam pojęcia. Nie znam tych efektów. Musieli opracować nowe.

Najemnik wkurzył się nie na żarty. Przez sekundę poważnie rozważał zostawienie grubasa we wsi, względnie zadżganie go dla czystej przyjemności, ale przed oczami stanęło mu wizja profesorów w Lejdie, pytających, dlaczego, skoro wysłali Krauzego z dwoma naukowcami, Schenk wraca bez żadnego? Westchnął w duchu.

– Dobra, nieważne. Masz jakieś pieniądze?

– Hę?

– Pieniądze. Dukaty. Guldeny. Złoto. Podróż kosztuje.

– Hm, sakiewkę zgubiłem... Ale mam trochę guldenów zaszytych w bucie... I weksel na pięćdziesiąt dukatów...

– Dawaj złoto.

Euwe, niezadowolony, zaczął zzuwać but.

– Ta dziewczyna naprawdę kosztuje nas za dużo – burknął, oddając holenderski trzewik najemnikowi.

Ten bez najmniejszej żenady oderwał przód podeszwy. Złoto posypało się na ziemię, pozbierał. Nie było tego dużo.

– Masz. – Oddał Holendrowi but i wrócił do środka.

– Ej, a kto to naprawi?! – krzyknął za nim Euwe.

Schenka nic nie obchodziło, kto naprawi grubemu trzewik. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyciągnąć z niego, po co dziewczyna uniwersytetowi w Lejdzie, ale zrezygnował. Uznał, że woli nie wiedzieć. Zamiast tego kontynuował wywiad wśród swoich najemników, ale żaden nie umiał mu powiedzieć nic konkretnego ani nic, czego Schenk by już nie wiedział. Każdy dołączył do walki już w czasie jej trwania. Wszystko wskazywało na to, że tajemnica nocnej jatki poszła do grobu razem z Bessererem, względnie – z Erikssonem. Mógł ją znać również hulający po Szwabii Tilenheim, jednak demoniczny dominikanin był ostatnią osobą, którą Schenk chciałby wypytywać o szczegóły bitwy. Posłyszał za to informacje na temat śmierci paru swoich przyjaciół, co wcale nie poprawiło mu humoru. Na domiar złego jeden z kmieci przyszedł się awanturować, żądając kategorycznie zwrotu wziętej na zakładniczkę żony, ponieważ chciał spełnić pewne małżeńskie obowiązki, to znaczy, jak sam to ujął w malowniczym dialekcie, „pociupciać”. Żeby udowodnić dobre intencje, w ramach ekwiwalentu przyprowadził swoją starą matkę, którą prawdopodobnie sprzedałby za garść chrustu. Sytuacja byłaby może i komiczna, gdyby nie okoliczności, w jakich się znaleźli. Schenk, zirytowany awanturą i w parszywym nastroju, poczuł się w obowiązku szybko ukrócić spór, podtykając chłopu pistolet pod nos. Jebaka co prawda zrejterował, powąchawszy prochu, ale do młodziana dotarło, że to zupełnie inne chamstwo, niż znał z północy: chłopcy fryzyjscy, brunszwiccy, hescy, nie wspominając o saskich czy westfalskich, nauczeni doświadczeniami wojny, z kim można, a z kim nie można zadzierać, a przede wszystkim, z kim można robić interesy, nie sprawialiby im wielkich problemów, widząc, że mają własne i najprawdopodobniej szybko odejdą. Ci natomiast byli rozbestwieni i głupi jak bąki, co mogło łatwo sprowadzić na nich kłopoty. W związku z tym Schenk żywo zaczął się interesować stanem Katarzyny, znajdującej się pod troskliwą opieką żony odprawionego z kwitkiem awanturnika, ewidentnie wdzięcznej najemnikom za chwilowe uwolnienie jej od kmiecych amorów.

Gdy dziewczyna otworzyła oczy, był już późny wieczór, dlatego w pierwszej chwili nie mogła się zorientować, gdzie jest. Ściany chłopskiej chaty tonęły w mroku, papierowe okna nie przepuszczały w ogóle blasku księżyca; jedynym źródłem światła było ognisko, przy którym zbierali się już do spania kondotierzy.

Krzepka chłopka natychmiast zauważyła rozchylone powieki i przyskoczyła do Katarzyny.

– Gdzie jestem? – zapytała dziewczyna.

– We wsi, panienko, a dzie ma panienka być?

– Jakiej wsi?

– Ano, Młyny.

– Co się stało?

– Ja nic nie wim, panienko. Ja prosta dziołcha jestem. Wody się panienka napije.

Katarzyna łapczywie przyssała się do podetkniętego jej kubka. Poczwała nagle przeraźliwy głód. Jak się okazało, przezorna kmiotka pomyślała i o tym, pilnując dla niej resztek żołnierskiej strawy. Dziewczyna jadła w półleżącej pozycji i szybko odzyskiwała siły. Nic jej zresztą nie było poza przemęczeniem i nadmiarem wrażeń. Jej mózg od pierwszych sekund po przebudzeniu pracował jak szalony.

Schenka ani nikogo innego, kto mógłby zadawać jej pytania, nie było w pobliżu, ale wiedziała, że niebawem ktoś się zjawi, dlatego starała się przemyśleć wszystko możliwie jak najszybciej. Skoro była tutaj w towarzystwie reszty westfalskiej bandy, oczywistym wydało jej się, że jej knecht przeżył, zresztą jak przez mgłę pamiętała jeszcze dotarcie do obozowiska. Gdy przypomniała sobie wszystkie wydarzenia wczorajszej nocy, skrzywiła się odruchowo i zachciało jej się płakać, ale szybko opanowała ten odruch. Pociągnęła tylko nosem. Przypomniał jej się ojciec, a jednocześnie przed oczami stanęła spalona twarz Krauzego. Szybko odegnała te obrazy. Najważniejsze było wyłuskanie się z tarapatów.

Zdawała sobie sprawę, że miała szczęście. Po szatańskich sztukach ostatniej nocy trafienie w ręce papistów wydawało jej się najgorszą opcją z możliwych; nasłuchiwała się dość o inkwizycji, sądach kościelnych, nadużyciach, nepotyzmie, okultystycznych rytuałach w podziemiach katedr i innych grzechach śmiertelnych popełnianych przez sługi Kościoła od kardynała po diakona. Ostatnie doświadczenia utwierdziły ją tylko w przekonaniu, że katolicy oddani są diabłu o wiele bardziej niż Bogu. Zadrzała.

Nieobecność Szwedów zdawała się potwierdzać tezę Schenka, że ich wybito, jednak istniała też ewentualność, że po prostu odjechali. Nie miała pojęcia, co Eriksson i jego oddział właściwie robili w zamku, była to sprawa polityczna, jak powiedział jej ojciec, więc posłusznie nie wtrącała nosa w nie swoje sprawy. Ich intencje pozostawały dla niej niezrozumiałe. Tak czy inaczej, Erikssona tu nie było. Był Schenk, którego zamiary były równie wielką zagadką. Nie wiedziała, co właściwie stało się w Thalfingen. Nie wiedziała w gruncie rzeczy nic poza

tym, że znajduje się w chłopskiej chacie, uprowadzona przez kondotierów w służbie holenderskiej, a jej zamek poszedł z dymem.

No i miała swoją małą tajemnicę. Nie była tak zupełnie niewinna, jak przeciętna dziewczyna w jej wieku i niejasno przeczuwała, że obecna afera ma jakiś związek z tą sprawą; na tej podstawie nasuwały jej się zwłaszcza domysły odnośnie do intencji dominikanów, odpędzała je jednak, uznając, że to do niczego nie prowadzi. Jeszcze jeden powód, aby nie dać się złapać papistom. Nie musiała znać niczyich zamiarów – musiała uciec. Miała na tyle dużo wiedzy o świecie i wrodzonej bystrości, żeby wiedzieć, że nie uda jej się to w pojedynkę.

Gdzieś w Niemczech było jej dwóch starszych braci, Daniel młodszy i Karol Ludwik, ale nie miała pojęcia, w jakich oddziałach ani nawet armiach służą. Nie wiedziała zresztą też, co stało się z ich żonami, które pozostały w zamku. Znowu zachciało jej się płakać. Potrząsnęła głową.

Bracia byli na nic. Równie dobrze mogliby być w Indiach. W Rehlinger mieszkała rodzina jej matki, ale Rehlinger to koniec świata, pogranicze Lotaryngii, a więc znowu – Indie. Oczywiście mogła jakoś wrócić do Ulm, gdzie rezydowała na wygodnych stołkach starsza, katolicka linia Bessererów – ale to było wyjątkowo ryzykowne. Zakładając nawet, że krewniacy nie wydadzą jej dominikanom, mogli zostać do tego zmuszeni pod groźbami władz cesarskich. Zrozumiała, że priorytetem było wydostanie się z rejonów okupowanych przez katolików; dopiero wtedy mogła planować kolejny ruch. Ale jak to zrobić?

Sama była zaskoczona, jak łatwo jej się myśli, jak trzeźwo kalkuluje sytuację, ile różnych pomysłów i aspektów pojawia się w jej głowie, tylko po to, żeby szczeznąć, jeśli rozumowanie okaże się błędne, albo rozkwitnąć w jasny plan. Po kolei układała sobie fakty, łączyła pozornie nieistotne skrawki wiedzy – jak choćby to, że książe Wirtembergii wyjechał z kraju, a Oettingen zostało złupione zeszłej zimy – aby usypać przed sobą jakąś ścieżkę, jeśli nie prostą i udeptaną, to przynajmniej niebędącą drogą przez bagno. Zamknięta przez pierwsze siedemnaście lat życia w zamku, o świecie wiedziała tyle, ile udało jej się podpatrzeć i dopytać, czyli wcale nie tak znowu mało. O sobie za to nie wiedziała nic, dopiero odkrywała swój charakter: niechęć do rozpamiętywań i wzruszeń, pociąg do działania i układania dalekosiężnych zamiarów. Podobały jej się te odkrycia.

Ku jej zaskoczeniu tym, kto przyszedł do niej pierwszy, nie był Schenk, a Euwe, który zgubił gdzieś kryzę i wyglądał jak czarny słup soli. Nieustannie marszczył nos, co kazało się Katarzynie zastanowić, gdzie są zwierzęta, które powinny znajdować się w chłopskiej chacie, ale nie rozważała tego zbyt długo. Grymas Holendra drażnił ją, więc powiedziała, że musi zaczerpnąć świeżego

powietrza. Chłopka owinęła ją pledem i chciała pomóc wstać, ale okazało się to niepotrzebne. Najwyraźniej była silniejsza, niż wyglądała. I niż sama sądziła.

– Jak się panienka czuje? – zapytał, gdy wyszli na oświetlone gwiazdami i księżycem przedpole chaty. Badał grunt.

– Zapewne podobnie jak pan, panie bakałarzu. Chciał pan ze mną porozmawiać?

– Tak, tak... – Krępy Niderlandczyk zrobił zamyśloną minę. – Widzi panienka, musi panienka z nami jechać do Lejdy – wypalił.

Katarzyna spojrzała na niego zdumiona. Jaka Lejda? Czemu Lejda? Nie odzywała się.

– Tak, musi panienka z nami jechać. Zdecydowanie. Mam nadzieję, że panienka to rozumie.

– Zupełnie szczerze mówiąc, panie bakałarzu, to nie, w ogóle tego nie rozumiem. Lejda? Po co? I dlaczego muszę?

Holender się zakłopotał. Nie była pewna, czy w swojej jowialnej naiwności liczył, że zakomunikuje jej decyzję, a ona pokiwa głową, czy po prostu rznął głupa, ale obstawiała jednak tę pierwszą ewentualność.

Euwe przez chwilę grzebał zepsutym trzewikiem w ziemi.

– Elzeveir umarł, żeby sprowadzić panienkę do Lejdy.

– Świeć, Panie, nad jego duszą – odparła spokojnie Katarzyna, nie poddając się temu kiepskiemu szantażowi emocjonalnemu. Ani w głowie było jej obwiniać się za śmierć drugiego Holendra. Była kobietą, której pierwszym wspomnieniem był kurier wpadający na dziedziniec na spienionym koniu, aby donieść o porażce Chrystiana Brunszwickiego pod Höchst. Byle co nie robiło na niej wrażenia. – Nie może pan po prostu powiedzieć, czego ode mnie chcecie?

– Hm, hm... To nie takie proste...

– Proszę spróbować.

– Słyszała panienka kiedyś o eteromancji?

– Nie.

– No właśnie, no właśnie... – Holender nadymał policzki. – No właśnie, należało się tego spodziewać...

– Może pan jaśniej?

– Eteromancja to świadome modyfikowanie struktury eteru. Wie panienka, co to eter? A zresztą nieważne, nieważne... Eteromancja to dziedzina alchemii. Pozwala, w pewnych specyficznych warunkach, na uzyskanie pewnych specyficznych efektów...

– Jakich efektów? O czym pan mówi?

– Na przykład zapalenia ognia bez krzesiwa.

Przed jej oczami pojawił się Krauze stający w płomieniach.

– Albo, powiedzmy, wywołanie pewnych zjawisk alchemicznych, jak zamarzanie, destylacja...

– Znaczy się co? Magia? Czarnoksiężstwo?

– Eteromancja nie jest żadną magią – zaperzył się Euwe. –

To dziedzina naukowa!

Katarzynę zaskoczyło, że rozlazły Niderlandczyk ma w sobie tyle werwy, żeby w ogóle podnieść głos. Uznała, że lepiej nie drażnić drażliwego tematu.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Otóż właśnie, właśnie... Widzi panienka... mamy powody podejrzewać... dobre powody... że panienka jest szczególnie utalentowana w pewnych dziedzinach.

– W tej enęromancji? Pan myśli, że jestem czarownicą? – zapytała smutno, nie patrząc na Holendra, który znów zapowietrzył się na wzmiankę o magii.

– To nie ma nic wspólnego z czarami! Eteromancja ma silne, alchemiczne podstawy! A zresztą, co ja będę panience tłumaczył... Mamy podstawy przypuszczać i już.

– To z czym ma coś wspólnego, jeśli nie z czarami? Będzie pan łaskaw w końcu powiedzieć mi coś konkretnego?

– Hm, hm... Mieliśmy nadzieję, że uda się panience inaczej... za pośrednictwem ojca panienki... A profesor de Bure wyraźnie nas poinstruował, że mamy jemu zostawić pewne... wyjaśnienia... Bo nie jesteśmy całkowicie pewni... Ale! – ożywił się nagle. – Jeśli panienka mi opowie, co się stało w listopadzie w zamku, będę mógł w pewnym stopniu... w pewnym niewielkim stopniu zyskać pewność, że o nią nam chodzi... i powiedzieć, no, może nie wszystko, ale o wiele więcej!

– Nie mam panu nic do powiedzenia na ten temat – odparła zdecydowanie.

– A więc ja też nie mam panience nic do powiedzenia, poza tym, że musi panienka jechać z nami do Lejdy – postawił się.

Nagle z ciemności za ich plecami jak kot wynurzył się Schenk i popatrzał na nich pytająco. W samą porę, bo Katarzyna uznała rozmowę z naukowcem za skończoną. Ten zaś, zakomunikowawszy, co chciał, odwrócił się na pięcie i odszedł, ostentacyjnie klapiąc oderwaną podeszwą. Najemnik stanął obok niej. Przez chwilę patrzyli na najeżony ogołoconymi gałęziami zarys lasu na tle nocnego nieba. Byłoby to nawet romantyczne, gdyby nie fakt, że widok ten kojarzył się obojgu głównie z wczorajszym pożarem.

– Obudziłaś się – odezwał się po dłuższej chwili.

Nie odpowiedziała, uznając stwierdzenie tego typu faktu za idiotyczne. Przypomniał jej się natychmiast ekonom ojca.



– Wybacz, to było głupie – powiedział po kilku sekundach ciszy. – Słuchaj, jak ty się właściwie nazywasz?

Dotarło do niej, że w istocie, odkąd rzucił nią o podłogę, rozpoczynając tę dość chaotyczną znajomość, zwracał się do niej tylko „dziewczyno”, „dziecko” albo „idiotko”. Nawet do głowy jej nie przyszło, że może nie znać jej imienia.

– Grafianka Katarzyna Tesalia von Besserer zu Thalfingen – odparła, kpiąc sobie z niego bezczelnie.

Schenk parsknął.

– Dobra... grafianko Tesalio. Niech ci będzie. Mam dla ciebie ofertę, należącą do tych nie do odrzucenia. Jedziesz z nami. Do Lejdy.

– Skąd ta pewność? Że pojedę?

– Bo jesteś smarkata niewiasta, a nas jest ośmiu wielkich chłopów. Jeśli nam się zawidzi, możemy cię związać, zbałamucić, wrzucić do skrzyni i zawieźć choćby do Rzymu.

– Ale wcale się do tego nie palisz, co? – Spojrzała na niego z nieładnym, sardonicznym uśmiechem. – Wieć smarkatą niewiastę w skrzyni przez całe Niemcy? Rzykowna impreza. Wolałbyś, żebym pojechała z własnej woli. A twoim zbójom też coś nieśpieszno do gwałcenia. Niech zgadnę: zapłacili wam za żywą i nieuszkodzoną, co?

Schenk nie patrzył na Katarzynę, nic też nie odpowiedział. W dłoni nerwowo miał żdźbło słomy, wyciągnięte spomiędzy sprzączek kamizeli. Minę miał cierpką.

– Dokąd chcesz stąd jechać? – zapytała.

– A co cię to obchodzi?

Nagle straciła cierpliwość.

– Słuchaj mnie, prostaku, czy ty sobie nie za dużo wyobrażasz? Myślisz, że ja jestem jakaś durna szlachetka z rodu, co tytuł dostał za cesarza Rudolfa? – W jej głosie wrzała wściekłość. Buńczuczny najemnik coraz bardziej ją denerwował. – Widzę przecież, że strach cię oblatuje tak samo jak mnie, ale ja przynajmniej nie mam nic do stracenia. Chcesz, to wpakuj mnie do skrzyni. Ale obiecuję ci, że popamiętasz mnie wtedy do końca życia. I będziesz miał szczęście, jeśli wyniesiesz głowę z tej historii.

– Dobra, grafianko, chcesz wiedzieć, o co mi chodzi? – Nadeszła jego kolej, aby wybuchnąć. – Wiesz, ile zapłacili nam za samo otwarcie kontraktu? Dwadzieścia guldenów na głowę. A wiesz, ile dostaniemy, jak doprowadzimy cię do Lejdy? Dwieście. Wiesz, ile to jest dwieście guldenów dla człowieka, który nie miał szczęścia się urodzić w szwabskim zameczku w setnym pokoleniu? Wiesz, kurwa? Myślisz, że bym się w to wpakował, gdyby nie złoto? Myślisz, że

się cieszę, że mi przyjaciela spalili żywcem? Że się śmieję, bo trzynastu dobrego chłopca zdechło, żeby tobie złoty włos z głowy nie spadł?

Nagle ogarnęła ją myśl, że faktycznie nie wie, ile to dwieście guldenów. Nie wspominając o tym, że najemnicy, czegokolwiek o nich nie mówić, najprawdopodobniej ocalili jej życie. Osiągnął swoje, zawstydzila się. Znowu zapadła cisza.

A jednak poczuli, że to była dobra cisza, oczyszczająca. Po chwili przeciął ją wiosenny wiatr z zachodu, który rozwiał wzajemne pokłady kompletnego niezrozumienia. Ona dostrzegła w nim dzielnego człowieka, który próbuje wykorzystać jakoś swoje życie, nadać mu jakiś kierunek; on – dumną dziewczynę, która w ciągu jednej nocy straciła wszystko. I te dwie świadomości, krzyżujące się, badające się wzajemnie przed biedną, chłopską chatą sprawiły, że obydwój – choć nie ufali sobie za grosz – wbrew własnej intencji zmiękli jak wstążki.

– To dokąd? – zapytała w końcu Katarzyna o wiele spokojniejszym głosem.

– Nördlingen – mruknął.

– To cesarskie miasto.

– Königsbronn też. Jest okupowane. Z tym że w Nördlingen raczej nie czekają na nas zwariowani zakonnicy. A w Königsbronn zapewne tak, przecież ostatnio widzieli nas na prowadzącym tam gościńcu.

Nie mogła nie przyznać mu racji.

– A później? – dociekała dalej dziewczyna.

– Musimy zdobyć konie, a najlepiej jakiś pojazd. A potem na północ. Zobaczymy. Musimy wyjechać z południa. I śpieszyć się, bo kiedy ruszą armie, w Niemczech rozpęta się piekło.

Znowu zamilkli. Katarzynie robiło się zimno, ale nie chciała wracać do ciasnej chaty.

– Pójdiesz po dobroci? – Tym razem on przerwał ciszę.

Nördlingen, a potem na północ. Z dala od papistów. To jej na razie pasowało. Podobnie jak zbrojna eskorta. Prawdopodobnie nie było w całym kraju osób, którym bardziej zależało na jej bezpieczeństwie niż tym knechtom. A nic nie wskazywało na to, żeby z drogi było uciec trudniej niż z postojem.

– Pójdę.

Schenk uznał rozmowę za zakończoną. Już miał odejść, ale jeszcze się odwrócił i popatrzył na stojącą tyłem dziewczynę. Złote pukle przypaliły jej się w lesie, nierównomiernie, z jednej strony bardziej, co w oczach postronnych musiało wyglądać podejrzanie. Pomyślał, że trzeba będzie je obciąć, przynajmniej trochę. Ale nie powiedział tego. Za to zapytał:

– Z czystej ciekawości: wiesz, czego oni od ciebie chcą?

– Holendrzy? Nie bardzo.

– A Szwedzi i zakonnicy?

Odwróciła się, zaskoczona.

– Co masz na myśli? Jacy Szwedzi?

– Przecież te wszystkie trzy partie były w Thalfingen tylko z twojego powodu.

Myślałem, że wiesz.

Katarzyna zamyśliła się. Nie miała pojęcia, czego mógł chcieć od niej Eriksson, a nie zamierzała się przyznawać do swoich domysłów względem intencji dominikanów.

– Nie wiem – odparła w końcu. Zła, bo zabrzmiało to bardzo bezradnie.

Schenk kiwnął głową i znów zrobił ruch, jakby chciał odejść, ale ponownie się zatrzymał.

– Uważaj, żeby nie wpakować się w coś, co cię przerasta, dziewczyno.

– Nie wpakowałam się – odpowiedziała, nie odwracając się. – To wyście mnie wpakowali.

Wreszcie odszedł. A ona wreszcie mogła się rozpłakać.

## ROZDZIAŁ V

Jak ostatni idiota! – pomyślał, patrząc prosto w skierowaną na niego lufę rusznicy.

Kiedy parę minut wcześniej zobaczył leżące przy drodze ciało, mógł je najzwyczajniej na świecie ominąć. Świat by się od tego nie zawalił. A jednak musiał poczuć się dobrym katolikiem, zatrzymać i zsiąść z konia. Człowiek na poboczu mógł być ranny, a jeśli byłby martwy – należało pomodlić się nad jego ciałem. A to należało do jego obowiązków. Ale mógł przynajmniej wcześniej pomyśleć dwa razy. Nie pomyślał. Nie zwrócił uwagi na wielkie przewrócone drzewo tuż obok, za którym mógłby się schować cały legion, nie zwrócił też uwagi na teatralną pozę leżącego, który chwilę później, zdrów jak ryba, szczyrzył do niego wyszczerbione i spróchniałe zęby.

A teraz Erquicia patrzył w skierowaną w jego stronę lufę rusznicy, trzymanej przez brudnego, zarośniętego obwiesia w za dużej skórzanej kamizeli, i pluł sobie w brodę. Tymczasem za jego plecami stanął kolejny.

– No, koleżko, ręce na głowę, bo piachem zagryziesz – warknął ten ze strzelbą.

Dominikanin powoli podniósł ręce. W mgnieniu oka zwinął się jak fryga, żeby sięgnąć do rękawa, gdzie chował sztylet, ale zanim jeszcze wykonał ten ruch, wiedział, że nic z tego nie będzie. Ten drugi, z tyłu, był za blisko. I faktycznie, Hiszpan nawet nie zdążył musnąć rękonoża, gdy poczuł bardzo silny cios w tył głowy. Zamroczyło go.

Leżał na zimnej ziemi. Niewyraźnie słyszał jakąś rozmowę, głosy tłumiący łupiący ból. Na karku stygła mu strużka krwi. Próbował się podnieść, ale natychmiast ktoś przydusił go do gleby stopą postawioną między łopatkami. Usłyszał rzenie swojego konia, poczuł, że ktoś brutalnie ściąga mu buty. Szarpnął się gwałtownie. Tym razem złodzieje nie byli tacy delikatni – dostał kopniaka w potylicę. Szybko stracił przytomność.

Gdy się ocknął, po napastnikach nie było ani śladu. Tylko wyludniony gościniec, odarte z liści drzewa i przewrócony pień, który stał się jego zgubą. Nigdzie nie widział też konia ani swoich rzeczy. Wszystkie kieszenie miał wywrócone na lewą stronę, a z nóg ściągnięto mu nowiutkie botforty. Zmarzył jak jasna cholera. Chuchnął w dłonie i zaklął.

No cóż, gdybym jechał dalej, po prostu palnęliby mi w plecy z muszkietu. Nie ma co narzekać, pocieszał się, ale zerknął przy tym, zagniewany, w niebo, bo

wszystko burzyło się w nim na myśl o tej kretyńskiej próbie, jaką przygotował dla niego Wszechmogący. Nie widząc innego wyjścia, przetaił ranę na głowie kawałkiem płótna oderwanego od koszuli i ruszył bosy w stronę, w którą kierował się wcześniej, to znaczy na północ, licząc, że prędzej czy później dotrze do jakiejś wsi i zastanowi się, co dalej. Na szczęście, pomyślał, podnosząc z ziemi kamyk, kawałek piaskowca, nie jestem taki bezbronny, na jakiego wyglądam.

Oczywistym było, że nie może sprawy tak po prostu zostawić. Gdyby to było dziesięć lat wcześniej, na Filipinach, dokładnie tak by zrobił. Poszedłby dalej i, owszem, bosy, tak jak chodził przez długie miesiące po górzystych wyspach. Ale jego status zmienił się nieco, podobnie jak charakterystyka działalności, a jedno i drugie wymagało, niestety, pewnego stanu posiadania, nie wspominając o tym, że pozostawianie cesarskich glejtów w rękach zwykłych rabusiów nie było zbyt rozsądne. Teoretycznie rzecz biorąc, mógł dotrzeć do jakiegoś miasta, skorzystać z funduszu dla agentów Cesarstwa i kupić sobie konia, buty, karabin, pistolety, siodło i niemal całą resztę przedmiotów, które mu skradziono – ale nie chciał. Poza tym na pewno nie odkupiłby zawartości sakiewek przywieszonych do bandoliera, kolekcjonowanej ładnych parę lat, ani rękopisu z Norymbergi. Niemniej zateśknił za czasami, kiedy miał tylko różaniec, habit i kawałek chleba. W pewnych okolicznościach ubóstwo bardzo ułatwiało życie.

Maszerował rażno, choć było mu zimno w stopy, klute przez drobne kamyki. Oddał się kontemplacji. Myślał o Bogu, ale też o sobie. Przyszło mu do głowy, że zarówno jego zachowanie, jak i uczucia były wyjątkowo pyszne. Jakże to, jego, opata dominikanów, wysłannika samego Serafina Secchiego, sługę Bożego o nie byle jakich stosunkach i możliwościach, obrabowało kilku zwykłych powsinogów z gościńca? Jacyś wieśniacy odebrali mu wszystko, co miał? Zaskoczyli go? Niedoczekanie!

Tak właśnie myślał w pierwszej chwili, a nie powinien. Nic nie zmieniał fakt, że nosił tytuł opata dominikanów, bo był przede wszystkim zwykłym człowiekiem, jak miliony innych, nie wyłączając z tego wspomnianych powsinogów. Nie mienił się wysłannikiem generała zakonu, tylko Boga; a jego możliwości i stosunki w istocie były byle jakie, jeśli zestawić je z perspektywą życia wiecznego. Innymi słowy, mógł zostać obrabowany na gościńcu tak samo, jak każda inna osoba na tym świecie, od żebraka po księcia. Najwyraźniej Bóg zesłał na niego próbę nie ducha, ale pokory. W związku z tym pochylił głowę, zacisnął rękę na krzyżu różańca, którego szczęśliwie mu nie odebrano, i właśnie o pokorę, a nie o pomoc, zaczął się modlić.

Uszedł niewiele ponad milę, kiedy usłyszał za sobą odgłos kopyt. W pierwszym odruchu, w oczywistym spazmie niepokoju, chciał się schować, ale

po pierwsze nie było gdzie, a po drugie uznał, że tym razem zaufa opatrznosci. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Coraz wyraźniej docierało do niego, że zbliża się zwierzę albo w złej kondycji, albo bardzo zmęczone, bo szło nieregularnie. Z daleka widział już jeźdźca, który zbliżał się doń lekkim kłusem.

Wychudzona szkapę robiła bokami. Równie szczupły konny ubrany był w zielony strój strzelca oraz czapkę z piórkiem bażanta, a przez ramię miał przerzuconą bardzo długą i bardzo starą strzelbę. Na wymizerowanej twarzy dawały się od razu zauważyć trzy rzeczy: wielkie, niebieskie oczy, orli nos i imponujący jasny wąs.

– Waści w pięty nie zimno? – zawołał z uciechą, najwyraźniej rozbawiony bosymi stopami zakonnika. – Ktoś waść?

– Dominik de Erquicia. – Zakonnik się uklonił.

– Hiszpan? Daleko waszmościa od kraju wywiało.

– Daleko.

– Co pan robisz na włościach hrabiego?

– A jakiego hrabiego są to właściwie włości? – zapytał uprzejmie dominikanin, uznając, że to nie pora na przypominanie grzecznościowych formułek, według których jeździec sam powinien teraz się przedstawić.

– To waść nie wiesz? Hrabiego Ruberta, rzecz jasna. Oj, waść chyba nie bez powodu boso łazisz. Niemiła przygoda?

– W istocie. Jestem w drodze do Würzburga.

Tamten gwizdnął przez zęby.

– A to pana zdybali. Ni w miech, ni w dupę, można powiedzieć, dokładnie w połowę drogi. Niech zgadnę, trzech chłopca, w zasadzkę wciągnęli i konia zabrali?

– Jakby pan tam był.

– Ha! Mówię hrabiemu od dwóch lat, że trzeba coś z Reisami zrobić, a on nic, niech se grabią, mówi, i tak pies z łapą przetrąconą tym gościńcem nie chadza, a tu drugi raz w tym tygodniu... Jestem, gwoli wyjaśnienia, Joachim Herzbruder. Strzelczy jaśnie pana hrabiego. A waszmościa do chaty zapraszam, jakie onuce się dla waści znajdą, a może i coś uradzimy na problem. Niedaleko już, pół mili najwyżej. Na szkapę bym wziął, ale widzi pan, że nie wyrobi.

Erquicia po cichutku podziękował opatrznosci i ruszył szybkim marszem obok konia, który ewidentnie ucieszył się z obrotu spraw, pozwalającego mu chociaż trochę zwolnić. Zwierzę najwyraźniej od dawna nie widziało porządnej paszy.

Przez chwilę szli w milczeniu. Strzelec rzucał podejrzliwe spojrzenia na zakonnika, na dłużej zatrzymując wzrok na różańcu, którym ten był przepasany.

– Papista?

Erquicia się uśmiechnął.

– Chrześcijanin – odparł. – Ale fakt, katolik.

– Niedobrze panu na północ dalej iść. Tam parę wsi jest, co cesarscy łońskiego roku z dymem puścili. Proboszcz też papista, więc i kmiecie niby, ale chamowi to zajędo, jak się modli, kiedy zemścić się może na katoliku.

– Dziękuję za ostrzeżenie.

– Też i nie ma za co. Waści jednego napadu na ziemi hrabiego starczy, myślę.

– Czemu pan mówi „papiści”? Rubertowie też przecież są katolikami, prawda?

– Ano, hrabia jest, jako żywo. Ale szrejerów u nas mrowie.

– Szrejerów?

– Szrejerów. – Herzbruder podniósł głowę, zerkając z wyższością na dominikanina. – Ewangelików, co się panom stłamsić nie dali i mimo ich prawowity obyczaj praktykują.

– I pan jesteś?

– Jam jest – przyznał tamten, jak się Erquicii wydało, nie bez dumy.

Hiszpan wolał nie drażnić tematu, dlatego go zmienił:

– Ci Reisowie, jak rozumiem, to taka lokalna atrakcja?

– Juści, atrakcja. Dobre chłopcy to były, Żydowczycy, trzej bracia. Kawał ziemi mieli, ale im zabrano, a to, co zostało, spalone jakiś czas temu. No to na rabunek poszli. Żadni z nich zbóje, między nami mówiąc, z życiem uchodzić dają, a to niemądre w tym fachu, bo i uciec trudniej, i mścić się komu przyjdzie do głowy albo o skradzione dobro upomnieć. Zobaczysz waść zresztą, bo u mnie w chacie, o, już dym z komina widać, jeszcze jeden poszkodowany siedzi.

– I nikt nic z tym nie robi?

– A kto? Mówię, hrabia większe ma problemy niż trzech zawalidrogów.

– A wy?

– A ja? A co mi, życie niemiłe, samemu na trzech chłopca leżać? Drużynę, co ze mną po lesie chadzała, już dawno do wojska wzięli, a i mnie nie pod sztandar tylko dlatego, że hrabia glejt mi urobił, najpierw u księcia, a potem u intendenta cesarskiego. Komisarze się zjawiają jak słońko na niebie co parę miesięcy i zawsze im muszę papierem przed nosem machać. A po takich Reisów to nie przyjdą, bo głupiego nie ma, żeby się w chaszczę za zbójami pchać.

Wjechali na leśną polanę. Do chaty leśniczego, solidnej, zbudowanej ze starych, wielkich bali i gęsto krytej strzechą, prowadziła wąska dróżka, ciągnąca się od gościńca jakieś pięćset kroków. Oprócz chatki i lśniącej nowością, małej stodoły z drewnianą oraz obalonego, spróchniałego koniowiązu na uboczu nie było na polanie nic więcej. Erquicia przyglądał się stodołce zbudowanej z sosnowych desek, tak świeżych, że wciąż ciekła z nich żywica, tworząc bursztynowe sople na ścianach.

– Ano – rzucił strzelec, jakby czytając mu w myślach. Gdy zsiadł z konia, okazał się zaskakująco niski. – Źle pobudowana chata, źle na wojnę. Dym z gościńca widać. Ino dlatego jeszcze stoi, że jak wojsko szło, ja w las uchodziłem, to i nie mieli po co palić. Tylko stodołę zburzyli na opał.

Herzbruder nie miał zwierząt, które pozwalałyby mu utrzymać zimą temperaturę, więc w rogu chatki stało murowane palenisko z kominem, brakło za to okien. Poza tym były tu dwie ławy, koślawy stół z równie koślawym zydlem i parę skrzyń. Na ścianach powieszono kilka myśliwskich trofeów. Erquicia pomyślał, że chyba za bardzo przywykł do luksusów. Nie dlatego bynajmniej, że w środku było biednie, chociaż w istocie było – po prostu wkraczając w krąg ciepła, poczuł, jak bardzo zmarzły mu stopy. A stąd wzięła się konstatacja, że zanadto przyzwyczaił się do butów.

Dopiero gdy zdejmował kubrak, zauważył, że nie są w pomieszczeniu sami. Na zydłu przed kominem siedział zarośnięty, brodaty mężczyzna potężnej postury. Ich wejście przeszkodziło mu w reperowaniu kamizeli. Jego na wpół wojskowy, na wpół cywilny strój, sprawiał wrażenie niedopasowanej mieszanki, trudno było rozpoznać, do jakiego stanu, cechu czy zawodu mężczyzna przynależy.

– Chodź pan do ognia – rzucił Herzbruder, otupując, najwyraźniej odruchowo, buty z nieistniejącego śniegu. – Zagrzej się. Zaraz się znajdzie coś do jedzenia. Ten jegomość, którego pan widzi, grzejący płudry, to pan Pokrzyw.

Gospodarz zaczął krzątaninę przy skrzyniach, pozwalając najwyraźniej dwóm pozostałym poznać się we własnym zakresie. Pokrzyw zerknął podejrzliwie na Dominika i wrócił do zaciągania rzemyków między płatami skóry. Zakonnik podszedł do kominka, a jednocześnie, chcąc nie chcąc, do mężczyzny.

– Erquicia – przedstawił się lakonicznie.

– Pokrzyw – burknął tamten. Oderwał na chwilę wzrok od swojego odzienia i zerknął podejrzliwie na różaniec dominikanina. – Papista?

– Katolik, owszem – odparł Dominik z niezmaconym spokojem. Zdał sobie sprawę, że niedługo będzie musiał różaniec schować. Nie lubił tego robić, ale wymogi jego misji obejmowały, przynajmniej częściowo, pozostanie incognito, a im dalej na północ, tym większą uwagę będzie przyciągał jego zakonny atrybut.

– Zydle pan przysuń – usłyszał mruknięcie spomiędzy gęstych, krzaczastych zwojów brody, otaczających twarz siedzącego przy ogniu.

Usłyszał. Herzbruder, dzięki swojej dumie i wesołemu błyskowi w stalowych oczach, spodobał mu się od razu. Pokrzyw natomiast nie spodobał mu się ani trochę.

Po chwili do ognia podszedł leśniczy, niosąc miedziany kociołek, wypełniony czymś chlupiącym, co okazało się zupą na zajęczym mięsie. Zawiesił garnek nad



ogniem i rozdał gościom po kilka podpłomyków, ewidentnie pamiętających jeszcze styczniowe mrozy. Gdy zupa się zagrzała, przelał ją do miseczki.

– Waść pierwszy – zwrócił się do zakonnika. – Łyżkę mam tylko jedną i musimy po kolei.

Erquicia zaczął jeść. Był wychłodzony, od uderzenia w głowę niemożebnie łupało go ciemię, a w dodatku organizm zaczął mu przypominać, że ostatni raz spał dobrych kilkanaście godzin wcześniej. Chudy rosół z twardym chlebem wydał mu się zbawiennym pokarmem królów. Zjadł szybko, wyskrobał resztki z dna miski i oddał ją Herzbruderowi, który cały czas obserwował go uważnie. Zamiast nałożyć porcję dla siebie, przekazał skromną zastawę milczącemu Pokrzywowi i zapytał:

– Miałeś pan kiedyś miecz w ręku?

– Miałem – odparł zakonnik.

– Otóż, widzisz pan, ten tu Pokrzyw, jak już wspominałem, też padł ofiarą Reisów. We dwóch to ryzyko, ale samotrzeć można na bandytów iść i im skradzione dobra odebrać, a i nagroda za nich jest w Würzburgu, niewielka, ale jest. W starym tartaku się schronili, co stoi odłogiem, odkąd część smolarzy wycięto, a część do wojska zabrano. Siedzą tam i baki zbijają, jeśli nie czatują przy dziedzińcu. Myśmy już o tym z panem Pokrzywem rozprawiamy od paru dni, ale we dwóch... Oni myślą pewnie, że im los panów zesłał, bo czasem bywa, że i dwa tygodnie na trakcie żywego ducha nie uświadczysz, a wtedy chudy wikt dla zbójów. A może to mi fortuna przyniosła, bo we trzech szansa jest i miałbym wreszcie święty spokój... Ale śpieszyć się trzeba, bo dziś wtorek, a jak im się poszczęści, to łup sprzedają w środy na targu w Kitzingen, a wtedy szukaj wiatru w polu.

– Ja tam – Pokrzywowi zabłyśły oczy – bym ich zdybał, jak z tego Kitzingen wrócą. Mojej szkapy mi nie szkoda, a fenigiem bym nie wzgardził...

– Ale ja bym wzgardził – wtrącił Erquicia. – Muszę odzyskać swoje rzeczy. Nie liczyłem, że panowie mi w tym pomogą, ale skoro łączy nas wspólny cel, nie mam nic przeciwko.

– A może ja mam? – odpowiedział brodaty zaczepnie. – Może nie chcę z papistą iść po nocy w las, na jatkę? Hę?

– Pax, panowie! – rzucił Herzbruder. – Tak nic nie odzyskamy. A pana pomysł, panie Pokrzyw, tę ma wadę, że Reisowie w Kitzigen zdążą połowę pieniądza przepuć na kurwy albo przepić i stracą na tym wszyscy. Nie, dziś w nocy ich trzeba napaść i zabrać, co wasze. A ja się nagrodą zadowolę i z wami podzielę. Waszmościowie chętni na taki układ?

Erquicia spojrział na Pokrzywa, który łypnął na niego spode łba i mruknął coś, co przy odrobinie dobrej woli można było wziąć za zgodę. Dominikanin również

skinął głową.

– No i wspaniale. A skoro tak, to prześpijmy się trochę, żeby o świcie mieć świeże głowy. Ławy mamy dwie, to ja się ułożę na ziemi. Futro niestety mam tylko jedno...

Zakonnik ani myślał kłócić się z zarośniętym indywiduum o futro, dlatego bez słowa odstąpił wielką niedźwiedzią skórę drugiemu gościowi. Zamiast tego poprosił o miskę wody i kawałek płótna, aby przemyć ranę na ciemieniu.

– Mocno waści w ten łeb dali? Rannyś? – zapytał gospodarz, moszczący sobie legowisko ze słomy przy kominie.

– Nie mocno. Ale nie chcę, żeby się wdało zakażenie.

– Pytam, bo waść nawet nie syknąłeś. Widać, żeś do bólu przywykły. Można zapytać, skąd?

– Walczyło się tu i ówdzie.

– Ale żeś sam waść na trzech Reisów próbował się szarpać... Głupota...

– A co miałem zrobić? – zirytował się zakonnik. – Skąd miałem wiedzieć, że mnie przy życiu ostawią? – Specyficzny żargon strzelca był najwyraźniej zaraźliwy.

– Ano, prawda. Ale ostawiają. Tak jak mówiłem, niemądrze, o czym, miejmy nadzieję, się przekonają. A jak waści podeszli?

– Jeden leżał przy drodze i udawał trupa. Zatrzymałem się, wyleźli, wzięli na cel.

– To i mnie tak samo – burknął Pokrzyw, którego nie dało się już odróżnić od futra, w które się okutał. – Tylko że ja się nie szarpałem, bo i po co. Bardziej mnie duma niż rzyć boli.

– À propos dumy – Erquircia zwrócił się do Herzbrudera – naprawdę nikt nic nie robi z tymi zbójami? Ja rozumiem, że trzech, że gościniec rzadko uczęszczany, że tamto, owamto, ale ktoś chyba powinien zareagować?

– Ano, ale znajdź waść na sto mil kogoś, kogo to obchodzi. Hrabstwo przez ostatnie pięć zim trzy razy przechodziło z rąk do rąk, wojsko jak się kręci, to ino żeby coś zagrabić. Raz żem namówił oddziałek dragonów cesarskich, coby do tartaka pojechali, to ode mnie wzięli fenigi, od Reisów fenigi i rysią do Rothenburga pohulać. Chłopstwo z kłonicami próbowałem poszczuć, to mówią: „Pry, gajowy, a co nas to, jak my tym gościńcem nie chadzamy?”, albo: „Naganiaj im lepiej podróżnych, to może się złotem podzielią”. Hrabia zajęty na wojnie, biskup zajęty na wojnie, cesarz zajęty na wojnie, wszyscy, kurwa, zajęci na wojnie, to kto ma takich Reisów ruszyć? Jego ekscelencja palatyn, co trąbi w stołek w Anglii? Czy ksiądz proboszcz może? I co waść na to powiesz?

– Że niedobrze się dzieje.

– Ano, niedobrze. Za długo już ta wojna trwa. – Gajowy zacmokał z troską. – Wsie pustoszeją, zbiorów coraz mniej, a wojska coraz więcej. Ino patrzeć, jak zaczną nawet spichlerze rozkradać. Na gościńcach zbóje, po lasach bandy maruderów, dezterter na dezterterze, a szczególnie, uważaj waść, tej zimy się od nich naroiło. Do wsi czy miasteczka nie wrócą, bo dyby, turma albo i pieniek, a przeca żreć coś musi, to kradną na potęgę. Jakby tego mało było, co jakiś czas się pojawiają intendenci cesarscy, co często gorsi od zbójów, bo biorą w majestacie prawa. I co człek zrobi? Nic nie robi, oddać musi, bo znów: dyby, turma, pieniek. Mnie to tam zajędo, bo ani zabrać mi nie ma czego, ani strzelców nie ruszają, bo w służbie i w prawie. Ale jeżdżę po kraju, to widzę, pola gniją, chłopci łożą jak, za przeproszeniem, pierdy w gaciach i nic nie robią, a jak robią, to źle albo powoli. Albo jedno i drugie. Jakby nie manufaktura w miasteczku, to już dawno by hrabia z torbami poszedł. A i też nic z tym nie zrobi, bo znów: wojna. Mówię: „Jaśnie wielmożny panie hrabio, pošlij pan synowca albo brata, albo szurzego, ale sam waść zostań, bo wiadomo nie od dziś, że pańskie oko konia tuczy”, a on się ino śmieje na to, że od tuczenia koni ma ekonomów, a święta misja jest i heretyków trza bić. No to co ja na to, jak sam heretyk według niego jestem? I znów: co zrobisz, nic nie zrobisz...

W trakcie tej przydługiej tyrady w głosie Herzbrudera pobrzmiwała irytująca nuta, nabierająca siły z każdym zdaniem i wskazująca na to, że właściciel głosu lubi sobie czasem ponarzekać i pomarudzić. Co prawda większość z tego, co mówił, nie tylko miała sens, lecz także – zapewne – była prawdą i tym samym stanowiła dobrą podstawę do marudzenia, ale Erquircia nie lubił wodolejstwa, więc zamiast podejmować rozmowę, kilka razy skinął poważnie głową i ułożył się na ławie. Już w trakcie pacierza, który zmówił na leżąco, nie chcąc drażnić nowych sojuszników, zaczął morzyć go sen, przywołany przez zmęczenie, posiłek i ciepłe wnętrze. Zasnął błyskawicznie.

Pobudka była przykra i brutalna. Herzbruder po prostu szarpnął go za ramię – mogło minąć najwyżej kilka godzin.

– Panie Hiszpan, zbierać się pora – zobaczył oświetloną żółtym blaskiem kaganka twarz strzelca.

Erquircia z trudem zwłóknął się z ławy. Łeb go łupał, a w chacie zrobiło się niemożliwie duszno, dlatego starał się jak najszybciej przygotować do drogi. Gajowy dał mu długie pasma płótna, którymi owinął nogi, zyskując w ten sposób marną namiastkę butów. Wetknięty mu do ręki zbójcecki kordelas był lżejszy niż hiszpańskie ostrza, do których przywykł. Klingę pokrywały gęsto czerwonawe plamki rdzy. Przejechał palcem po ostrzu – było tępe. Westchnął, rozejrzał się i ukradkiem skubnął z wiszącego pod powałą bażanta kilka drobnych piór, po

czym włożył je do kieszeni. Pokrzyw tego nie zauważył. Herzbruder owszem, ale nic nie powiedział.

Okutani w co kto miał i brzęczący orężem wyszli na ziąb, w ciemność, bo o tej porze roku wczesnym świtem panowała jeszcze niepodzielnie noc. Jak na złość akurat tego dnia złapał przymrozek, jeden z ostatnich solidnych tej wiosny. Hiszpan zgrzytnął zębami i zatęsknił za swoimi skórzanymi butami z ciepłą cholewą. Zimne powietrze chrzęściło w płucach, wiał silny wiatr, skrzypiały buty na zamarzniętej rosie, brzęczały sprzączki ekwipunku. Żaden z nieoczekiwanych sojuszników nie miał ochoty na rozmowę, więc milczeli, klnąc tylko od czasu do czasu, gdy któryś się potknął lub złamał nieopatrzny krok gałąź. Zmarznięta ziemia dawała się im we znaki, szczególnie Erquircii, który na stopach miał tylko prowizoryczne onuce. Dlatego to właśnie on przerwał w końcu milczenie i zapytał:

– Daleko to jeszcze?

– Będzie z milę – odburknął strzelec spomiędzy zwojów materiału, którymi owinął twarz.

Rachunek Herzbrudera okazał się dosyć precyzyjny, bo po parunastu minutach szybkiego marszu przez coraz ciemniejszy las kazał im się zatrzymać.

– Ano, panowie, się rzekło, ta kępa drzew jeszcze i tartak. Na pewno wystawili wartę, więc musimy ostrożnie postępować, bo łącno się ta przygoda może obrócić przeciw nam. Podejdziemy po cichu. Gotowi?

Pokrzyw i zakonnik skinęli głowami, po czym – ostrożnie stawiając stopy i rozglądając się na boki – ruszyli za gajowym. Wyciągnęli broń. Herzbruder miał długi rapier w niemieckim stylu, Pokrzyw zaś pordeziewiały, absurdalnie szeroki, przypominający tasak miecz niewiadomego pochodzenia, na pewno pamiętający jeszcze początki trwającej wojny. Po paru minutach ujrzeni w oddali światło. Przykucnęli i podpełzli powoli do ogołoczonego z liści, ale piekielnie gęstego krzaku bzu, skąd mieli dobry widok na całą polanę.

Pośrodku niewielkiej przesieki stał tartak. Dochodząca do niego droga, dawniej służąca do transportu drewna, przecinała las po drugiej stronie budynku. Cała polana była usiana wykarczowanymi pieńkami, pojedynczymi zgniłymi kłodami i resztkami desek. Sam tartak był skromny, ot, niewielka buda z bali wraz z drewnią do składowania materiału, zupełnie teraz pustą. Nieco dalej, po lewej, widniał na wpół rozwalony budynek pilarni. Z niewidocznej stajni, najwyraźniej umieszczonej od strony drogi, co jakiś czas dochodziło ciche rzenie koni. Za drzewami powoli jaśniała błękitna łuna przedwiosennego świtu. Jeden z Reisów siedział na niewielkim zydłu przed drzwiami do tartaku i chuchał w dłoń. Obok niego płonęło łuczywo. Oślepiiony płomieniem zapewne nie widział dalej niż na kilka kroków. Sytuacja była dogodna.

Gestami i przyciszonymi szeptami porozumieli się, co robić. Pokrzyw i Herzbruder mieli podejść wartownika, a Erquicia, którego zdolnościom bojowym chyba nie do końca ufali, wyznaczony został do sprawdzenia, czy przy stajniach nie ma pozostałych dwóch braci; świtało już, mogli szykować się do wymarszu, na co wskazywałoby rżenie koni.

Zakonnik zaczął szerokim łukiem obchodzić tartak. W kieszeni ścisnął bażancie pióro. Miecza nawet nie dobył. Robiło się coraz jaśniej. Igliwie chrzęściło pod stopami. Każda pękająca pod stopą gałązka była dla dominikanina jak mały zawał serca – nie spodziewał się żadnych problemów, obecność dwóch kompanów w gruncie rzeczy bardziej mu zawadzała, niż pomagała. Adrenalina, skradanie się po ciemku, perspektywa nadchodzącej walki robiły swoje. Nerwy miał napięte jak postronki.

Po chwili zobaczył stajnię, malutki budynek parę kroków od głównej chaty. Przycisnął się za małym cisem, lustrując okolicę. Nie zauważył nikogo. Konie w istocie rżały, ale najwyraźniej z głodu, a nie zaaferowania. Przez chwilę zastanawiał się, co dalej. W końcu ostrożnie ruszył w stronę najbliższej ściany. Ominął stajnię od tyłu, żeby konie go nie zdradziły, i dotarł do ściany chaty. Wokół roztaczała się cisza – najwyraźniej jego towarzysze skrewili, ponieważ do tej pory powinni dotrzeć do wartownika i go zatłuc. Zaczął się posuwać wzdłuż ściany, przemykając pod jedynym w budynku oknem, skierowanym w stronę pilarni. Ostrożnie wychynął zza rogu.

Natychmiast zrozumiał, dlaczego nic nie usłyszał. Pilnujący budynku Reis przechadzał się po polance, poza kręgiem światła, rozciągając zdrętwiałe ręce i kark. Towarzysze Erquicii zaś leżeli plackiem na ziemi kawałek dalej, najwyraźniej zaskoczeni przechadzką. Gdyby spróbowali wstać, strażnik natychmiast by ich zauważył, najprawdopodobniej podnosząc przeraźliwy raban, zanim zdążyliby go uciszyć.

Wtem rozbrzmiały wyraźne, donośne w nocnej ciszy dźwięki, dochodzące ze środka chaty: głośne przekleństwo, szurnięcie jakiegoś mebla i kroki na dudniącej podłodze. Spod szpary pod drzwiami i z okna błysnęło słabe światło kaganka lub łuczywa. Donośny głos zahuczał:

– Abram! Abram, kurwa!

Trzeba było działać. Erquicia podniósł pięść z piórkiem, ale uprzedził go Herzbruder, który korzystając z tego, że wartownik odwrócił się w stronę chaty, zerwał się i ruszył na niego z obnażonym ostrzem. Niestety, za głośno. Reis odwrócił się i zdążył odskoczyć przed ciosem rapiera. A gdy zobaczył również zrywającego się Pokrzywa, wydarł się tak, że z pobliskiego drzewa zerwały się z krzykiem wrony:

– Mojszeeee! Mojszeeeeeeee, biją!

Z chaty natychmiast wypadł wielki, brodaty Żyd, ze dwa razy szerszy w barach od Erquicii. Był w pludrach i koszuli, a w rękę trzymał rusznicę. Zakonnik poznał go: to ten, który udawał martwego. Dominik zajmował idealną pozycję: patrzył prosto na plecy tamtego, próbującego zorientować się w sytuacji. Bez zbędnego wahania ścisnął piórko i mruknął:

– Hlm.

Żyd bezwładnie padł na ziemię, upuszczając broń. Herzbruder, któremu najwyraźniej mało co umykało, zobaczywszy to, zamarł na pół sekundy. Drogo by go to kosztowało – wartownik właśnie podnosił broń do ciosu – gdyby nie Pokrzyw, który akurat doskoczył do Reisa i wsadził mu szerokie ostrze pod żebro. Przeciwnik stęknął cicho i upadł, na mgnienie oka zawisając na ostrzu. Wszystko trwało może pięć sekund.

Erquicia kiwnął głową na towarzyszy i przez otwarte na oścież drzwi zerknął do wnętrza chaty. Okazała się dwuizbowa. W pierwszym pomieszczeniu nie było nikogo, co oznaczało, że trzeci z braci rozsądnie schował się w głębi budynku. Ponieważ dochodziło stamtąd światło, najpewniej zdążył rozpaścić lont i przygotować rusznicę. Stojący za plecami Erquicii Pokrzyw zrobił to samo, korzystając z upuszczonej broni Mojszego.

Hiszpan wszedł do chaty. Herzbruder ruszył za nim do środka i dał mu znak ręką. Erquicia posłusznie czekał. Leśniczy podszedł do framugi drzwi drugiej izby i zawołał:

– Abram! Abram Reis! Jam ci Joachim Herzbruder!

Po paru sekundach odezwał się ze środka słaby, drżący głos człowieka, który bardzo się boi.

– Czego chcesz?

– Wyjdźże stamtąd, to pogadamy.

– Nie wyjdę! Samopał mam! Coście zrobili z Mojsze i Berkiem?!

– Nie żyją! – odkrzyknął Herzbruder.

Za jego plecami stanął uzbrojony w strzelbę Pokrzyw i tak jak Erquicia czekał na rozwój wypadków.

Z izby dobiegała cisza.

– Nie żyją, Abram! – powtórzył strzelec. – Sam zostałeś! Ano, nosił wilk razy kilka! Ale tyś jeszcze do odratowania, tylko wyjdźże spokojnie i daj się zabrać do Würzburga przed kolegium!

– A juści! Oni już tam pieńek dla mnie stawiają!

– Może i pieńek, a może nie pieńek. Kto wie, przyznasz się ty do winy, powiesz, żeś najmłodszy, że to bracia cię do na złą drogę sprowadzili i do nieprawości zmusili, to może ino do turmy wsadzą albo do woja pogonia.

Normalnie byś na łamanie poszedł, ale teraz każdy rekrut złoto. Będziesz żył, a tak to wraz z tymi tu moimi druhami cię usieczem i tyle będziesz miał.

– A skąd wam ufać mogę?

– A znikąd – odparł melancholijnie Herzbruder. – Ale nie ufać nam też nie możesz, więc wylaż co rychlej, bo nam się tu całego dnia nie chce świerknąć.

Na kilka sekund zapadła cisza.

– Dobra! Wy wejdźcie!

– A czy myślisz, Abram, że ja jestem wsiowy głuptak? Ja się w drzwiach zjawię, a ty mi z rusznicy wygarniesz, aż mi czapa na krzyż polec!

– Nie wygarnę! Nogę mam złamaną! Łapcie!

Z pomieszczenia wyleciał zapalony lont, najwyraźniej świadczący o tym, że młody Żyd rezygnuje z walki. Herzbruder wahał się kilka chwil, ale – widać ufny w długą znajomość i lokalny patriotyzm tamtego – w końcu wkroczył do izby. Ponieważ nikt nie wygarnął do niego z rusznicy, Erquicia wszedł za nim.

Młody, krótko ostrzyżony chłopak o semickiej urodzie patrzył na nich wielkimi jak spodki oczami. Okazał się rzadkim przypadkiem prawdomównego zbója, ponieważ faktycznie leżał na ławie z nogą w łupkach. Złamanie musiało być świeże, bo jeszcze wczoraj rano żwawo wskakiwał na dominikańskiego konia. Leże wymoszczone było futrem i rozprutym siennikiem, Bóg wie gdzie zrabowanym, z którego sypała się nie słoma, ale biały, kurzy puch. Pod ścianą stały dwa komplety sakwojaży – w jednym zakonnik rozpoznał swój, co natychmiast wprawiło go w dobry nastrój.

– No, Abram, siroto, i po co żeście szli na rozbój? – Herzbruder ewidentnie szykował się do dłuższej tyrady. – Toć nie uczył was stary Reis, niech mu ziemia lekką będzie, że to droga ino na żalnik albo katowskie łoże? Byś ino...

Erquicia poczuł potężne uderzenie w potylicę. Przed oczami zawirował mu czarny kir omdlenia, upadł, zamroczyło go na chwilę, ale udało mu się nie stracić przytomności. Gdy odzyskał jasność widzenia, leżał już na ziemi obok łóżka Abrama. Obok zgrzytał zębami Herzbruder, wszyscy zaś byli na muszce Pokrzywa, szczerzącego do nich zęby spomiędzy gąszcza wąsów i brody. Zapadło kłopotliwe milczenie, przerywane dyszeniem młodego Żyda.

W końcu ciszę przerwał Pokrzyw.

– No, panowie, głupiście jak nie wiem co. – Nie krył zadowolenia z siebie. – Ale to i dobrze dla mnie, bom wczoraj był biedny, a dzisiaj jestem bogaty. Bierzcie i wiążcie się nawzajem. Rzucił im kawał postronka, nie wiadomo skąd wyciągnięty.

Erquicia zaklął w duchu. Sięgnął po sznur, zgarniając przy tym garść walającego się po podłodze pierza, ale Herzbruder był szybszy. Jakby to było

zupełnie dla niego naturalne, wyciągnął w stronę Pokrzywa palce trzymające piórko i krzyknął:

– Hlm!

Rozpętała się apokalipsa. Zanim zakonnik zorientował się, co się stało, Pokrzyw w ułamku sekundy, nie wydając żadnego dźwięku, poskładał się jak zgniatany wiecheć, zupełnie jakby z każdej strony ścisnęła go ogromna prasa. Chlusnęło krwią na wszystkie strony. Chata zadrgała, a po chwili runęła im na głowy. Belki poszły w drzazgi z potwornym hukiem, podłoga eksplodowała, jakby pod spodem wysadził ktoś głowę prochu, a sklepienie zapadło się szybciej, niż Erquicia zdążył zarejestrować ten fakt. Poczował tylko kolejne uderzenie w głowę i tym razem stracił przytomność.

Ocknęło go klepanie po policzku i woda wylewana na głowę. Stał nad nim Herzbruder. Jego mina wyrażała pomieszanie absolutnego przerażenia z ciężkim zdumieniem; większość jego twarzy pokryta była krwią. Erquicia dotknął potylicy. Trzeci raz w ciągu doby dostał w łeb i zaczynał się poważnie obawiać o integralność swojej czaszki; ciemną rwało potwornym, tęnym bólem. Odwrócił się na bok i wyrzygał.

Było już zupełnie jasno. Widział jak przez mgłę, w uszach mu dzwoniło, ale zdołał się podnieść na łokciach i zorientować, że leży wśród resztek chaty. Budynek został dosłownie zrównany z ziemią. Wszędzie walały się kawałki drewna i kamienie z fundamentów. Niektóre belki i deski wyglądały, jakby były pęknięte, inne, jakby ktoś je porąbał, a jeszcze inne przerobione były na ćwierćcalowe drzazgi. Zakonnik nie miał pojęcia, co się stało, ale w jego zamroczonym umyśle kiełkowało kilkanaście różnych podejrzeń, każde równie niesamowite.

Zorientował się, że wiszący nad nim Herzbruder coś mówi, raz za razem przeczesując włosy. Zmusił się, aby skupić wzrok i słuch.

– ...jużem myślał, że i waści zabił. Jezu Chryste, cóżem uczynił? Jam nie wiedział, że to się stanie, ino chciałem, żeby poszedł spać, jak ten drugi, coś go waść wcześniej sieknął, ja nawet nie wiem, jak to możliwe! Powtórzyłem tylko po waści, a tu bach!, Pokrzyw na strzepy, chata w drzazgi, Abram nieżywy. Jam to w ogóle zrobił? Co to za szatańskie sprawy, proszę ojca, co się ze mną stało?!

– Nie wiem – bąknął Erquicia, podnosząc się jeszcze trochę. Zakręciło mu się w głowie.

– A kto ma wiedzieć, jak nie waść?! – zdenerwował się strzelec. Jego wykrzywiona grymasem wściekłości i oblepiona krwią twarz sprawiała upiorne wrażenie. – To ty przecież piórka skubiesz i potem nimi ludzi usypiasz, to kto ma wiedzieć?!



– Chwila, moment... – Erquicii udało się w końcu wstać, choć znów zawirowało mu i w głowie, i w żołądku.

Dopiero teraz zauważył, że kawałki chaty zostały wymieszane z krwią zabitego marudera. Spod obalonych kalenic wystawała noga w łupkach. Nietrudno było się domyślić losu młodego zbójcy i niedoszęłego przymusowego knechta.

– Herzbruder. – Erquicia zebrał myśli. – Uspokój się trochę. – Przetarł twarz dłonią i poczuł, że też jest uwalany krwią i pyłem. – Weźmy rzeczy i wracajmy do chaty, łeb mnie łupie, oporzędzimy się i wszystko ci powiem. A tu strach zostać.

– To i prawda, że strach – odpowiedział tamten, choć ciągle wzburzony. – Jedno ino mi waść powiedz, ale szczerze, bom o tym pomyślał i aż mnie ze strachu telepie... Czy mię szatan opętał? Szczerze, waszmość!

– Nikt cię nie opętał, wprost przeciwnie. Chodź, pomóż mi z tymi belkami.

Uspokojony nieco strzelec zaczął posłusznie przerzucać stos drewna, żeby dostać się do ukrytych pod nim sakw. Erquicia nie słuchał jego marudzenia o szatańskich zakonnikach i ordaliach, którym rzekomo powinni być obaj poddani, tylko pracował, co przychodziło mu z niemałym trudem. Po paru minutach dogrzebali się do rzeczy Erquicii i Pokrzywa. Tych drugich nie było wiele: trochę ubrań i nieciekawych fantów. Z toreb zakonnika natomiast na szczęście nie zniknęło nic poza kilkoma sztukami złota i pierwszorzędnym sztyletem. Przede wszystkim jednak bezpieczne były papiery w skórzanym tubusie oraz kolorowy bandolier.

Erquicia odetchnął z ulgą. Zebrali rzeczy i poszli związać wielkiego przywódcę małej bandy. Okazało się, że leży z poderżniętym gardłem; najwyraźniej Pokrzyw w ciągu kilku minut, gdy stracili go z oczu, nie próżnował. Co ważniejsze jednak, zakonnik na nogach trzeciego Żyda z radością zauważył swoje botforty, które zaraz zdarł z trupa i wzuł. Poszli po konie. Stały w stajni, nierozsiodłane i bardzo głodne. Podali im parę garści siana i ruszyli szybko w stronę chaty strzelca. Wlekli się powoli jak kolumna halabardierów: kobyła dominikanina całkiem nieźle przetrwała porwanie, ale szkapą Herzbrudera, już i tak niedokarmiona, ledwo przebierała nogami.

Erquicia poruszał się jak kukielka. Głowa rwała bólem, co chwila tracił równowagę, przed oczami latały mu białe i czarne plamy. Tymczasem strzelec w którymś momencie urwał swój słowotok i co chwila przysypiał w siodle, budząc się coraz rzadziej i na coraz krócej. Zakonnik dobrze wiedział, co się z nim dzieje: odcięty od adrenaliny organizm leśniczego musiał zapłacić niemałą cenę za to, co się wcześniej stało. Gdy po godzinie dowlekli się do chaty strzelca, mieli siłę tylko przywiązać konie i obmyć twarze w korycie. Potem weszli do

izby, padli na ławy i zasnęli: jeden ciężkim, brutalnym snem człowieka w szoku, a drugi niespokojnym, przerywanym snem człowieka rannego.

## ROZDZIAŁ VI

Wyjazd ze wsi przebiegł w atmosferze wzajemnej niechęci i niezrozumienia. W środku nocy Schenka obudziło łupanie do drzwi. To sołtys, wiedziony niepojętą lojalnością albo strachem przed zemstą, przybiegł donieść, że niejaki Gwidon, miejscowy debil, pobiegł do Ulm poinformować garnizon, że we wsi ukrywają się zbiegowie z draki na zamku. Najemnik zachował spokój, ale jego kolegom ta trudna sztuka się nie udała – w ramach podziękii za niedoszlą wsypę złupili chatę, w której nocowała cała kompania, co z kolei wywołało gwałtowne protesty sołtysa, za które dostał w mordę. Gdy na krótko przed świtaniem ruszyli w drogę, ulga związana z końcem tego przymusowego popasu była fizycznie wyczuwalna po obu stronach. W czasie całej awantury Katarzyna nie odezwała się ani słowem.

Weszli na gościniec do Königsbronn, planując odbić na wschód przy pierwszej możliwej okazji. Przez pierwszą godzinę wlekli się w burkliwym milczeniu, bo po nieprzyjemnych wypadkach nikomu nie chciało się gadać. Dopiero po paru milach, gdy przekroczyli Dunaj szerokim, brukowanym mostem, odbudowanym dwa lata wcześniej przez miłościwie panującego Ferdynanda Habsburga, zaczęły się nieśmiałe rozmowy. Katarzyna, idąca w milczeniu, wykorzystywała ten czas na lustrację swoich nowych towarzyszy.

Poza szorstkim i oschłym Schenkiem, który był ewidentnie nie w humorze, i kłapiącym z werwą swoim porwanym bucikiem Euwem, w wyraźnie lepszym nastroju, odkąd wyruszył w drogę, szło ich sześciu. Wielki zawalidroga Hans, któremu Katarzyna sięgała co najwyżej do piersi. Strzelec zwany Iskrą, który nosił na twarzy znamiona ciężko przebytej ospy. Sójka Lorentz, starszy, szpakowaty i szczupły, obdarzony imponującym, prawie zupełnie siwym już wąsem. Młody, nieziemsko przystojny blondyn Ingemar, dezterter ze szwedzkiej armii, oraz dwóch najwyżej siedemnastoletnich wyrostków, których statusu formalnoprawnego w bandzie Katarzyna nie pojmowała: wiedziała, że walczyli tak jak reszta, ale w trakcie popasów siedzieli na uboczu, a w drodze nie odzywali się niepytani, bez reszty zajęci ciągnięciem za sobą prosiaka, którego zrabowali wcześniej sołtysowi. Zwracano się do nich per młody i nawet nie próbowano rozróżniać, o którego młodego akurat chodzi. Później dowiedziała się, że mają na imię Fryc i Frank, są sierotami wojennymi i pozostaną młodymi aż do czasu, gdy ktoś z partii uzna, że wsłużyli się wystarczająco, aby stać się jej

pełnoprawnymi członkami. Katarzynie wydało się absurdalne, że młodzikom odmawia się członkostwa w tak przesieczonym oddziale, ale nie uznała za stosowne tego werbalizować.

Ta malownicza kompania nie była niczym szczególnym w ogarniętych wojną Niemczech. W drodze jej członkowie zajmowali się głównie handlem wymiennym między sobą i kuriozalnymi rozmowami, pełnymi niezrozumiałych dla dziewczyny regionalizmów z północy oraz wulgaryzmów.

– Kurwa. Daj majcher, to ci kopsnę pięć ładunków i jeszcze fenigiem rzucę, a oddam muszkiet.

– Chyba z sosny spadłeś na łeb i cię przegrzało w słońku. Kurwa. Pińć fenigów w mieście jak nic dostanę, a ty tu takie pierdolety!

– No w łeb mu dam zaraz, niech mnie Panienska Przenajświętsza trzyma! Cztery fenigi i warząchiew ci dodam.

– A po chuj mi warząchiew, jak kociołka nie mamy. Kociołek skołuj, to dam.

– Na dupę ci ten kociołek wsadzę, żebyś się mógł po Ruhrze ślizgać!

Uwadze Katarzyny nie uszło, że handel ten nigdy nie dochodził do skutku i w zasadzie polegał na targowaniu się i obrzucaniu obelgami w nieskończoność; szybko straciła nim zainteresowanie, bo umiłał czas tylko biorącym w nim udział. Jej samej ta rozrywka nie pociągała, a nawet gdyby pociągała, to nie miała czym handlować, bo cały jej dobytek poszedł z dymem, w dodatku teoretycznie był dobytkiem jej ojca.

Schenk tymczasem zgrzytał zębami. Stało się dla niego jasne, że w Nördlingen będą musieli zorganizować sobie środek transportu, a żeby być precyzyjnym: środek transportu dla dziewczyny i Holendra. Chłopcy dawali radę, zwłaszcza biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, ale Katarzyna i Euwe potwornie ich spowalniali. Jak wyliczył Schenk, do południa uszli najwyżej dwie trzecie drogi, a po pięciu godzinach bitą drogą powinni być już w mieście.

Mimo żółwiego tempa kolumny przetykana niewielkimi pagórkami równina zaczęła się fałdować coraz bardziej, tworząc specyficzne, regularne wzgórza, opadające i wznoszące się co kilkaset kroków. Nie przeszkadzało to traktowi, który zaczął tylko bardziej meandrować. Wdrapując się na kolejne pagórki, zdążyli się spocić i zziajać, szczególnie że dzień był wyjątkowo ciepły jak na tak wczesną wiosnę, ale coraz częściej mijane wozy i piesi podróżni wyraźnie wskazywali, że zbliżają się do miasta. Wreszcie wzgórza urwały się, jakby ucięte nożem. Chwilę po tym, jak słońce stanęło w zenicie, oni stanęli na krawędzi Riesu.

Za niemalże geometrycznie równą linią wzgórz podłoże gwałtownie opadało, tworząc ogromną nieckę o zupełnie płaskim dnie. Katarzyna pomyślała, że wygląda, jakby ktoś zostawił w tym miejscu odcisk gigantycznej pięści. W dole

rozciągały się szare teraz i smutne pola uprawne, przetykane zagajnikami, przez sam środek równiny wiała się zaś malowniczą wstęgą rzeka Eger. Żadne z nich nie mogło wiedzieć, że jest to krater uderzeniowy – ale i bez tej wiedzy widok robił piorunujące wrażenie. Nieco oddalone od geometrycznego centrum płaskiej przestrzeni, bliżej nich, błyszczało w marcowym słońcu okrągłe miasto Nördlingen.

– Powiem wam – burknął na ten widok Sójka Lorentz – że gdybym miał wydawać komuś wielką bitwę, to właśnie w tym miejscu.

Widząc cel swojej podróży – tymczasowy, ale zawsze – poczuli, że wstępują w nich nowe siły. Raźnie ruszyli w dół wzniesienia i potykając się na pochyłym zboczu, doszli na dno niecki. Pozostałe trzy, cztery mile przeszli szybko i bez marudzenia, jakby się im śpieszyło do cywilizacji.

Mieli szczęście – trafili na środek, dzień targowy. Strażnikom przy bramie dość było handlarzy, drwali, cyrkowców, wędrownych trefnisiów, wojskowych na przepustkach i samowolce, płatnerzy, rymarzy, rybałów, zielarzy, urzędników, intendentów i wolnych chłopów, przetaczających się pod zdobionym cesarskim orłem zwornikiem. Nie zwrócili uwagi na kilku niepozornych najemników i kompania weszła do miasta bez żadnych problemów.

Schenk dotychczas był w Nördlingen tylko raz, tak krótko, że w gruncie rzeczy przejazdem, podobnie zresztą jak w obecnej sytuacji. To wystarczyło jednak, aby wiedział, która gospoda w mieście jest na tyle szemrana, by nie ściągać na siebie niepotrzebnej uwagi, i na tyle porządna, by Katarzyna i Euwe nie kręcili nosami. Nazywała się U Necklara i leżała nieopodal głównej bramy; nie zważając na marudzenie kompanii, która zobaczywszy barwną cizbę zmierzającą na rynek, miała wielką ochotę do niej dołączyć, poprowadził wszystkich prosto ku niej.

Za feniga wynajęli pokój na kilka godzin. Schenk ulokował w nim Katarzynę i Euwego, zorganizował im ciepły posiłek, a sam razem z chłopakami udał się na rynek po sprawunki. Gdy reszta szukała prochu, kul, podpłomyków, suszonego mięsa i warzyw, a także sprzętu obozowego, który w większości stracili w zamku, Schenk rozglądał się za transportem. Pobieżne przejście się między straganami i zapytanie o parę cen przekonało go, że panuje przeraźliwa drożyzna, szczególnie jeśli chodzi o prowiant – wojenna wiosna, podczas której wszyscy, od chłopca po hrabiego, gromadzili zapasy na wszelki wypadek, nie była najlepszym momentem na zakupy.

Tymczasem Katarzyna, gdy tylko zjadła kiepską potrawkę z królika, poczuła, że w ciągu raptem pół godziny spędzonej w pokoju zdążyła się zmęczyć gadaniną Holendra, który burczał monotonnym głosem coś na temat specyficznej mikrospołeczności nördlingeńskiej niecki. Nie pytając ani jego, ani nikogo innego o zdanie, po prostu wyszła z pokoju, nie zwracając uwagi na nagłe

i żywiołowe protesty. Zerknięcie w polerowaną płytę miedzi wiszącą w ciemnym korytarzu, mimo że zwodnicze, upewniło ją w przekonaniu, że przedstawia sobą obraz nędzy i rozpacz. Nie zamierzała brać kąpieli, bo nie była aż tak ekstrawagancka (nie wiedziała zresztą nawet, czy w mieście jest łaźnia), choć od poprzedniej minęło już kilka tygodni. Ograniczyła się do umycia rąk i twarzy w umywalni. Większym problemem były natomiast brudne, poszarpane ubrania, które – jak wiedziała – są najlepszą rękojmią niechlujstwa, nie wspominając o tym, że powodowały choroby. Wróciła więc do Euwego i bezczelnie zażądała pieniędzy na nowe suknie. Po chwili negocjacji otrzymała złotego florena i ruszyła na targ.

Poczuła nagły powiew wolności. Dotychczas raptem kilka razy w życiu chodziła sama po mieście, a nigdy po obcym; zawsze towarzyszył jej ktoś z dworu ojca albo przynajmniej służka lub dwórka z katolickiego dworu Bessererów w Ulm. Przez nikogo nierozpoznawana i nikogo nieniepokojona weszła w gwarny gąszcz brudnych wieśniaków, mieszczan i drobnych szlachetków, tu i ówdzie przetykany żółtymi kamizelami żołnierzy austriackich i zielonymi płaszczami wojsk imperialnych.

Kręcąc się po rynku, zauważyła szyld krawca, ale wiedziała, że kupi tam co najwyżej przeraźliwie drogie i bardzo eleganckie suknie dworskie, ograniczyła się więc do skompletowania na straganach dwóch zestawów odzieży z bielizną. Nie miała pojęcia o targowaniu się, co nördlingeńskie przekupy błyskawicznie wyczuły, więc przepłaciła pięciokrotnie, wydając całutkiego florena bez paru krajcarów, które i tak skubnął jej razem z drobnym mieszkiem jakiś złodziejasek. Kompletnie się tą stratą nie przejęła i zadowolona wróciła do gospody, tym szybciej, że jako samotna szlachcianka bez żadnej służby, własnoręcznie niosąca swoje zakupy, zwracała na siebie uwagę i nie umknęło jej, że kilkakrotnie oglądali się za nią czujnie cesarscy halabardnicy.

W tym samym czasie Schenkowi udało się zorganizować transport. Uznał, że wynajmowanie dwukółki lub innego ekwipażu mija się z celem, gdyż należało się liczyć z poruszeniem frontów i częstymi zmianami kierunku, również na bezdroża. Niestety, odnalezienie woźnicy, który zechciałby się udać wiosną w tak daleką podróż, było piekielnie trudne. Dopiero za miastem, między chłopskimi siołami rozrzuconymi nieregularnie w okolicy murów, znalazł właściciela stajni, który zgodził się negocjować. Schenk jako cel podróży przezornie podał Kolonię, nie Lejdę, słusznie uznając, że Westfalia jest jednak dla turyńskich chłopów miejscem mniej abstrakcyjnym niż Niderlandy. Po ładnej godzinie targów koszt wynajmu dwóch koni stanął na kosmicznej cenie piętnastu dukatów – za które Schenk z powodzeniem mógłby kupić własnego konia albo i dwa. Jakby tego było mało, usłyszał na odchodne:

– Ino, mości panie, jedyny taki głupi, co pojedzie w taki hazard, to mój synowiec najmłodszy, tępy jak pański trzewik. Niko drogi zna, chociaż rozmową nie zabawi, ale innego woźnicy diabłu na zgubę nie pošlę, bo to i grzech, i szkoda wielka. Konie i woźnica będą czekać za godzinę, tu, przy bramie.

Schenk wzruszył ramionami i odszedł. Cena była absurdalna, ale takiej się właśnie spodziewał. W czasie wojny podróżowano głównie zimą, więc przewoźnicy mieli obecnie ciężkie mieszki, przez co niechętnie przyjmowali zlecenia, szczególnie na tak dalekie podróże. Dla właściciela, z którym właśnie rozmawiał, kontrakt ten oznaczał w zasadzie posłanie koni na pewną stratę, co musiał sobie skalkulować. Z kolei dla najemnika najważniejsze było to, że w cenie wynajmu zwierząt zawierały się również usługi przewodnika, którym w tym przypadku miał być syn kochającego ojca. A przewodnik, nawet najgłupszy, nie tylko zna drogi, lecz także umie czasem przejść tędy, którą sami by nie przeszli, choćby dlatego, że byli poszukiwani. Dlatego Schenk bez gadania przełknął konieczność zapłacenia stosem złota.

Gdy wrócił do gospody, w pokoju panowała ożywiona atmosfera gorączkowego planowania dalszej podróży, które to plany i tak nie miały żadnego sensu, ponieważ ostateczne słowo i tak należało do niego. Ujrawszy Katarzynę w nowej sukni, natychmiast zapytał:

– Skąd wzięłaś ubrania?

– Kupiłam.

– Taak? A kto ci pozwolił iść na targ? Zgłupiałaś? A jakby cię kto poznał?

– Dwadzieścia mil od Thalfingen? Kto niby?

– Ileś zapłaciła?

– Florena.

Schenkowi zrobiło się gorąco, aż poczerwieniał na twarzy. Ciemnoniebieskie szmatki, które miała na sobie Katarzyna, mogły kosztować w najlepszym wypadku kilkadziesiąt krajcarów, może feniga, a i to przy ogromnej wielkoduszności kupującego. Na myśl o gwałtownie stopniałym wskutek wynajmu koni budżecie aż zgrzytnął zębami, ale przypomniawszy sobie, że szlachcianka do płochych nie należy, uspokoił się nadludzkim wysiłkiem.

– Przeplaciłaś. Lekko mówiąc – wycedził tonem, od którego z kolei poczerwieniała Katarzyna. – Nie rób więcej zakupów bez kogoś, kto potrafi się targować.

Młódka ostentacyjnie i prowokacyjnie dygnęła w odpowiedzi, przyjmując możliwie jak najbardziej obrażony wyraz twarzy.

Zgęstniałą atmosferę rozproszył Iskra:

– Te, Schenk, konie znalazłeś?

– Znalazłem.

– No to słuchaj, bo my tu z Sójką prima sort plan żeśmy wymyślili. Ponieważ ta tutaj jaśnie pani, na którą właśnie gromy oczami ciskasz, zgodziła się jechać po dobroci, będziemy udawać eskortę. Otóż wystaw sobie, na dole, w izbie, siedzi niejaki Wenzel, pisarz-jurysta i wędrowny poeta, który za trochę miedzi nam na papierze wszystko, co będziemy chcieli, wypisze i jeszcze pieczęć przystawi, żeby wyglądało jak prawdziwe. To my mu przedstawimy, że ma napisać, żeśmy eskorta w służbie jaśnie pani, co w celach zamążpójścia jedzie na północ, i połowa powsinogów z głowy.

Schenk długo się nie zastanawiał, bo pomysł był sensowny. W czasie poruszeń wojsk łatwo było się natknąć na przypadkowy patrol dowolnego autoramentu, a co za tym idzie – na kłopoty. Problemem były również gęsto rozstawiane na drogach posterunki, zwłaszcza szwedzkie, mające za zadanie ściągać myto i cła za przemarsze przez tereny ogarnięte wojną. W takich okolicznościach jeszcze łatwiej trafić w obozowe dyby jako dywersant, a oficjalnie wyglądający papier i kilka miedzianych monet zazwyczaj szybko zmieniają nastawienie nadgorliwych żołdaków do zabłąkanych podróżnych.

– Dobra, idziemy.

Razem z Iskrą i Sójką zeszli na dół i podeszli do jegomościa z brodą poplamioną inkaustem. Wyglądał podejrzanie, gdyż mimo brudnych rąk i twarzy, jego ubranie lśniło czystością. Zajęty gryzieniem wyjętego z zupy kawałka rzepy Wenzel zaszczylił ich tylko jednym, niezbyt zaciekawionym spojrzeniem.

– Dobra, mości Wenzel, dobijem targu. Ile waść chcesz za papier ze znakiem?

– Dwadzieścia krajcarów – wymamrotał tamten, nie przestając żuć rzepy.

– A jeśli waść miałbyś za godzinę zapomnieć, coś pisał?

– A to feniga.

Schenk znowu zgrzytnął zębami, ale Iskra dał mu znak ruchem dłoni.

– Trzydzieści.

– To zapomnę za tydzień.

– Czterdzieści.

– Czyli pięćdziesiąt. Siadajcie, panowie.

Przysiedli się. Wenzel otarł brodę rękawem, kalając tym samym ubranie, najwyraźniej po prostu nowe, ponieważ nic w jego zachowaniu nie wskazywało na to, że przywiązuje szczególną wagę do czystości. Następnie wyciągnął z teki papier, pióro, inkaust, lak i pieczęć z dziwnym herbem, który mógł przedstawiać zarówno kure, orła, jak i wronę, a symbolizować miał najwyraźniej dziesiątki ptasich herbów obecnych w Rzeszy.

– Pisz waść to, co powiem – rozkręcał się Iskra. – „Jam ci hrabia Rumpelsztykiel, pan na Dwóch Mostach...”.



Zanim skryba zdążył zamoczyć pióro w atramencie, Schenk chrząknął głośno i wyraźnie, piorunując kompana wzrokiem. Wenzel spojrział na niego pytająco.

– Ja podyktuję – powiedział świeżo mianowany herszt bandy. – W imieniu jaśnie oświeconego księcia Zahringen, należy...

Przerwał mu kuksaniec od Katarzyny, która zjawiła się nie wiadomo skąd.

– A co ty tu...

– Panowie, do chuja, za przeproszeniem panienki, zdecydujcie się, a ja sobie pójdę na chwilę na stronę i wrócę, jak będziecie wiedzieć, co mam pisać – zeźlił się jurysta, wstał i odszedł.

– I czego mi przerywasz... – zaczął Iskra, ale Katarzyna weszła mu w słowo.

– Nie ma nikogo takiego jak hrabia Rumpelsztykiel, a w Dwóch Mostach panują od dwustu lat Wittelsbachowie – recytowała pośpiesznie, patrząc w stół, jakby znalazła się na lekcji dynastyki. – Każdy na południe od Alby się połapie, że to blaga. Nie mogę być krewną księcia Zahringen, bo po pierwsze, Wilhelm von Baden-Baden nie jest księciem, a po drugie, nie ma córki, ciotki ani kuzynki w moim wieku, o czym wie każdy austriacki oficer, gdyż większość życia spędził w Wiedniu. Ja podyktuję.

Knechtów przytknęło. Zanim zdążyli odzyskać rezon, wrócił Wenzel.

– I co?

– Ja podyktuję – powtórzyła Katarzyna, stając mu za plecami.

– Słucham panienki.

– „W imieniu Wilhelma, grafa Helfenstein, nakazuję dać wolny przejazd jego córce, Katarzynie von Helfenstein-Wiesensteig, która w celach matrymonialnych... – zerknęła mu przez ramię – nie tak się to pisze, panie pisarz... udaje się na dwór isenburski, i żadnych nieprzyjemności po drodze jej ani jej eskortie czynić nie należy. Podpisano: Apoloniusz von Zimmern-Moskirch”.

W czasie dyktowania Wenzel pieczołowicie stawiał krzywe litery na zwitku papieru. Gdy skończył, rozgrzał lak nad świecą i pod podpisem odbił koślawego kuraka. Pozwolił mu zastygnąć, gdy sypał piasek na inkaust, a następnie pomiętosił pieczęć tak, aby odkruszyć trochę laku i zmienić ptaszydło w niepodobne do żadnego widniejącego na herbach z ptasim motywem, a tym samym podobne do każdego z nich. Tak spreparowany dokument wręczył im z dumą, zainkasował zapłatę i odszedł, zapewniając, że proces zapomnienia rozpoczął już w trakcie aktu twórczego. Najemnicy spojrzeli na Katarzynę pytająco.

– Co? – zapytała, patrząc na nich wyzywająco.

– Co to miało być? Co to za... Apollo von Cymerkirchen?

– Grafów Helfenstein już nie ma. Wilhelm zmarł w zeszłym roku, tak samo jak jego syn, nagle, na ospę, więc ich włości przejęli Habsburgowie. Ale nazwisko jest znane. Wilhelm miał też córkę Katarzynę, starą pannę, więc to imię też się mogło tu i ówdzie obiść o uszy, ale tak daleko na północ nikt nie będzie się rozeznawał w genealogii Helfensteinów. A Apoloniusz von Zimmern-Moskirch faktycznie był ich sekretarzem, poznałam go. Co ważne, nie można podać celu podróży dalszego niż Isenburg albo Hesja, bo w czasie wojny nikt przy zdrowych zmysłach nie wyśle córki na mariaż do Holsztynu, kiedy tylu kawalerów pod nosem...

– A ty skąd to wszystko wiesz?

– Słyszałam. Poza tym w zamku byli sekretarz i biblioteka. Czytać umiem.

– Ty, czytata? A po co?

– Jaśnie pani Katarzyna jeszcze się nam przyda do czegoś! A napisać tego nie mogłaś? Pół feniga w dupę jesteśmy – wtrącił Iskra.

– Pieczęci nie miałam – bąknęła.

– Wszystko pięknie, ale czas tracimy – włączył się do rozmowy Sójka. – Schenk, albo zaraz w drogę, albo tu zostajemy na popasie, bo ani mili nie ujedziemy przed zmrokiem.

– Racja. Zbieramy się. Pod wschodnią bramę.

Zgodnie z obietnicą właściciela stajni ich przewodnik wraz z dwoma szczupłymi, ale niezabiedzonymi kłaczami i niewielkim mułem czekał na nich pod bramą. Był to krępy młodzieniec, obdarzony przez naturę pokaźną czupryną koloru słomy i sypiącym się wąsem. Do błękitnej, prostej sukmany przyszyte miał na ramionach czerwone wstążki, które lokalnym zwyczajem wykorzystywali woźnice i przewodnicy dla oznaczenia swojej profesji. Na głowie miał czarną czapkę nieokreślonego fasonu, który niegdyś z pewnością miała, jednak było to w lepszych czasach.

– Waść musisz być szlachetnie urodzonym von Schenkiem. – Przewodnik skłonił się nisko na ich widok i zamiótł ziemię nieforemnym pierogiem zerwanym z głowy. – Jam ci Niko, ale mówią na mnie Jasny.

Schenk parsknął.

– Taki ze mnie von, jaki z ciebie. Szlachetnie urodzona jest ta tu, Katarzyna von... Hefensteig i do niej się zwracaj z suplikami.

Chłop ukłonił się znów, jeszcze niżej niż poprzednio, po czym zwrócił się z powrotem do Schenka.

– Jakże to waść: białą głowę, bez ekwipażu, do Kolonii?! – zapytał z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Bez ekwipażu. Nie marudź, nie za to ci płacą. Konie, widzę, osiodłane?

Kompania zaczęła szykować się do marszu, co cięższymi kłopotami obarczając młodych, którzy zdążyli spieniężyć świniaka, mieli zatem wolne ręce. Euwe z trudem wgramolił się na przeznaczoną dla niego chabetę, prostując się niepewnie w siodle, w którym trzymał się z gracją kota bez ogona, udowadniając tym samym, że naukowcy nie mieli zbyt wielu pożytecznych z perspektywy knechta zdolności. Katarzyna tymczasem znalazła się w kłopotcie, jej koń osiodłany był bowiem męskim siodłem, w którym w żaden sposób nie mogła usiąść w sukni. Po dłuższych manipulacjach udało jej się tak przesunąć derkę i skrócić strzemię, że mogła dosiąść zwierzęcia bokiem, miała jednak nadzieję, że droga przebiegnie bez zbędnych akrobacji i gwałtownych ruchów. Mimo trudności wskoczyła na swoją klacz o wiele sprawniej i zgrabniej niż Euwe. Trzymający uzdę Jasny się zaśmiał.

– Hoho, widzę, że jaśnie panienka w koniu jak przy krośnie! A może panienka ino panienkę udaje, a jest paniczem?

Usłyszał to Ingemar, który stał obok i poprawiał rusznicę na plecach jednego z młodzików.

– Co za bezczelne chamidło – zauważył, zdumiony. – Chłopie, trzymaj pysk, nie mówisz do swojej siostry!

– Zostaw, Szwedzie – mruknęła Katarzyna, głaszcząc konia po szyi. – Nie miał nic złego na myśli.

– Ano, bodajbym skiepiął, jeśli miałem! – podchwycił chłop, wciąż się śmiejąc. – Ani mnie w głowie obrażać panienkę, jeno rzadko się tak obyte w jeździe panny spotyka, tom i się zastanawiać zaczął, czy panna jest aby zwykłą panną...

– Słuchaj no, Jasny czy jak ci tam – wtrącił się Schenk. – Nie zastanawiaj się tyle, bo zastanawianie się często źle się kończy, zwłaszcza kiedy pcha się nochal gdzie nie trzeba.

– A jużci! Prawdę waść rzekłeś, jak amen w pacierzu. Otóż, uważaj waść – plótt młodzik, poprawiając jednemu z koni wędzidło – mój stryj, co go zwali Brzymucha, spotkał kiedyś hrabiego na polowaniu. Z hrabią cały dwór, jada, ryją, zwierza ni ma, bo i być nie mogło, tydzień wcześniej przeszło wojsko i wszystko wytłukło. Panicz się piekli, nagonka się piekli, no to Mucha do hrabiego, od serca, jak chrześcijanin: „Jaśnie panie, pan idzie na wschód, w bawarskie lasy, tam waść zwierza znajdziesz”, a hrabia bęc go czekaniem przez łeb. No i zgłupiał stryj do szczętu, pod siebie zaczął robić. A mię go szkoda było okrutnie, bo dobry był dla mnie i często w obronę przed ojcem brał. Bo mi się wydaje, że to nie tak powinno być, że panisko może kogo chce, gdy chce, rozumu pozbawić albo i życia, chociaż co to za życie, kiedy ani me, ani be, ani do wychodka...

– Ty naprawdę głupi jesteś? – zapytał Iskra, który mimowolnie zaangażował się w ten przydługi monolog. – Boga w sercu nie masz, że takie rzeczy opowiadasz?!

– Ano, może i głupi, jako i tatko mówi, a może i niegłupi. – Jasny pochylił głowę. – Ale drogi znam. A skoro o drodze mowa, to ruszajmy, jaśnie państwo, bo pewnikiem przed zmrokiem z dziury nie wyjedziemy, jeśli będziemy dalej mitrzyć.

Ruszyli prosto na północ bitym gościńcem. Przodem jechał Jasny na swoim mule, za nim stępem bieżeli Euwe i Katarzyna. Dziewczynie, trzymając jej konia za uzdę, towarzyszył Schenk, reszta kompanii wlekła się zaś pieszo w szyku zgodnym ze starszeństwem. Młody herszt z zadowoleniem stwierdził, że człowiek nieprzywykły do wychwytywania detali lub po prostu nieciekawym spokojnie może wziąć ich za eskortę szlachcianki, tak jak planowali. Podszedł do Jasnego.

– Słuchaj – zaczął. – Którędy ty nas poprowadzisz, co?

Młodzieniec gwizdnął cicho.

– Ano, panie, do Kolonii droga daleka. Najszybciej to by nam było za Würzburgiem skręcić na zachód, ku Frankfurtowi i dalej przez Koblencję...

– Ale?

– Ale niedobra to trasa w taki czas. W Heilbronn, Heidelbergu i Dwóch Mostach stoją załogi Jego Cesarskiej Mości, tylko patrzeć, jak się ruszą. A w Saksonii Szwedzi i jaśnie oświecony Jan Jerzy też lada moment leżą zwiną i pójdą na południe. Najbezpieczniej wziąć drogę na Hesję, przez Kassel, aby chybcikiem między armiami się przemknąć, zanim skoczą sobie do gardeł. Droga dłuższa, ale bezpieczniejsza. A za Kassel już ino skręcić na Dortmund i wtedy do Kolonii dzień drogi.

– Zależy nam na czasie.

– Ano, jako i mnie, i każdemu. Ale to iście hazard, pchać się teraz do Szwabii. Jak Jezuska Pana naszego kocham, tydzień nie minie, a usłyszymy, że wojsko na drodze, trzeba będzie kluczyć, nadrabiać drogi. I kto wie, czy nie dłużej zejdzie. Poza tym do Kassel drogę znam dobrze.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytała Katarzyna, która przysłuchiwała się rozmowie. – Byłeś kiedyś w Westfalii?

– Ano, po prawdzie – Jasny podrapał się po nosie z zakłopotaniem – to żem nie był. Najdalej w Kassel właśnie. Ale słucham przewoźników, żołnierzy, knechtów, intendentów, co jeżdżą dużo, to i wiem.

– Niech więc będzie Kassel – zdecydował Schenk.

– A i widać, że waść mądryś, bo mądry ten, kto mądrze decyduje.

Podążali bez przeszkód, dopisało im też w końcu szczęście. Gdy weszli w lasy otaczające gościniec do Würzburga, udało im się schwytać blakającego się luzem siwego ogiera z bokami poznaczonymi strużkami krwi. Zwierzę było osowiałe, ale młode, wytrzymałe i wcale nieźle odżywione – nadawało się do jazdy. Schenk bez wdawania się w zbędne rozważania, do kogo mogło należeć, nakazał Ingemarowi wsiąść na konia na oklep i posłał go do przodu na milowej szpicy. Uspokoilo go to znacznie.

Nocleg również przebiegł spokojnie. Rozbili obozowisko na leśnej polanie, oddalonej od traktu na tyle daleko, aby nie zdradził ich dym ani blask z niewielkiego ogniska. Nocleg na trawie – w przypadku Katarzyny na derce – nie był dla nich niczym nowym. Rano wstali wypoczęci i świeży, więc bez zwłoki ruszyli w dalszą drogę.

Schenkowi poprawiał się nastrój. Wszystko przebiegało sprawnie. Wyglądało na to, że jeszcze tego dnia wieczorem uda im się minąć Würzburg i tym samym wkroczyć na prostą drogę przez ziemie protestanckie. Kompania buczała i pierdziała. Katarzyna szczebiotała z Euwem o Holandii i narzekała na męskie siodło. Jasny paplał trzy po trzy, co rusz wygłaszając poglądy tak wywrotowe, że odechciewało się słuchać. Słońce świeciło, ptaki ćwierkały.

Nie minęła godzina marszu, gdy Schenk najpierw usłyszał, a potem zobaczył kłusującego z naprzeciwka Ingemara.

– Wojsko – rzucił zdyszany Szwed, zanim ktokolwiek zdążył zapytać. – Półtorej mili przed nami.

## ROZDZIAŁ VII

To nie takie proste.

– Jak nie proste, jak proste. Jeżeli mówię słowa, a przez to się dzieją rzeczy, to przecież czary, każde dziecko wie. Tak samo jak kiedy wiedźma wgapia ślepią.

Erquicia westchnął. Tłumaczenie pozbawionym przygotowania osobom istoty precyzjów, zarówno praktycznej, jak i teoretycznej, zawsze było męczące. Jeszcze gorsze było, gdy łeb łupał tępym bólem, a od miarowych ruchów konia chciało się rzygać. Poważnie obawiał się, czy nie doszło u niego do commotio cerebri. Starał się jednak zebrać myśli.

– To nie są żadne czary, powtarzam. Magikus, aby podjąć jakiegokolwiek działanie, musi przyzwać demona. Dopiero on, zmuszony do posłuszeństwa lub wskutek wymiany, nazwijmy to, handlowej, dokonuje czarów. Czarownice z kolei zawierają z samym księciem ciemności umowę, która pozwala im za jego pośrednictwem dokonywać aktów wbrew naturze. My natomiast jesteśmy w stanie szczególnej łaski Bożej. Powiedziano już dawno, że niektórzy ludzie, umiłowani przez anielską straż, są odporni na złe czary, chronieni tarczą miłosierdzia. Otóż Jedyny w swojej łasce postanowił wyposażyć nas również w miecze. Precyzja nie bez powodu nazywają się precyzjami – kontynuował wywód, nie przejmując się tym, że Herzbruderowi etymologiczna subtelność wyrazów pochodzenia łacińskiego zapewne umyka. – My nie przyzywamy żadnego tworu z zaświatów, tylko prosimy Boga o pomoc, a on słucha, jeżeli znajdujemy się w stanie łaski.

– To się kupy nie trzyma, mości kapłanie. Wszak dla waści jam jest heretyk, kacerz i zdrajca wiary, a dokonałem, czego dokonał, niech mi Bóg wybaczy. Waść zaś dla mnie jest heretykiem i starowiercą. I też waść dokonał cudów, na moich oczach. Któreś z nas musi być przeklęte, a któreś nie, bo któreś przeciw prawowitej nauce, nieważne, czy to luterska, czy katolicka, występuje.

– W istocie, to dosyć poważny problem, który podzielił teologów. Większość moich braci, w tym ja, uważa, że heretycy, którzy są zdolni do korzystania z precyzjów, to osoby, którym Bóg wybaczył zboczenie z prawowitej ścieżki, a tym samym, wbrew własnym deklaracjom, nie są wcale heretykami...

– Ach, więc o to waści chodzi! Waść mnie ciągniesz do Moguncji, bo chcesz mnie na papistę przerobić, tak jakbym własnego rozumu nie miał!

– Nie, nie o to mi chodzi. Ciągnę cię, jak to malowniczo ująłeś, do Moguncji, bo chciałbym, abyś porozmawiał z kilkoma moimi braćmi. Mówiłem ci, że jeśli nie chcesz, to jechać nie musisz, rozstaniemy się w Würzburgu bez żalu. Z doświadczenia i sympatii radzę jednak jechać.

– Zobaczmy – burknął Herzbruder i zatopił się we własnych rozważaniach.

Byli w drodze już od ładnych paru godzin. Gdy Erquicia ocknął się po nocnej przygodzie w tartaku, był pewny, że nie uda mu się ruszyć na szlak, jednak napor z kory wierzbowej i kilka specyfików z bandoliera szybko postawiły go na nogi. Podczas gdy goszczący go strzelec nadal spał, zakonnik, opatrując obolałą głowę, miał okazję przemyśleć kilka spraw. Herzbruder obudził się dopiero koło południa, świeży jak skowronek. Śpieszący się Erquicia zaproponował, aby gajowy pojechał z nim do Würzburga po nagrodę za Reisów, a w drodze wszystko mu wytłumaczy. Gdy wyruszyli, zakonnik zasugerował mu udanie się z nim do Moguncji.

Słyszał o ludziach takich jak Herzbruder, chociaż nigdy żadnego nie spotkał: naturalnie predestynowanych do korzystania z precyzjów, obdarzonych szczególną łaską, których moc wielokrotnie przerastała moc każdego dominikanina. Czasem ich likwidowano, a jeszcze częściej likwidowali się sami w wypadkach, gdy jakiś silny wstrząs emocjonalny lub ekstremalna sytuacja doprowadzały do samoistnej, spontanicznej i niekontrolowanej erupcji. Z jednej strony Erquicia czuł, że sprawa go przerasta, nie mieści się w jego kompetencjach, a w dodatku nie jest mu na rękę, biorąc pod uwagę charakter jego zadania. Z drugiej strony Herzbruder mógł okazać się wyjątkowo cenny, szczególnie dla teoretyków precyzjologii. Fakt, że dożył dość sędziwego w tych okolicznościach wieku lat więcej niż trzydziestu, mógł być w jakiś sposób istotny. Dlatego dominikaninowi nie pozostało nic innego, jak odstawić strzelca do Moguncji, gdzie prowincjał teutoński mógłby mu się przyjrzeć i podjąć decyzję na temat dalszych losów gajowego. Nie było to Erquicii po drodze, ale mogło być gorzej. Cieszył się, że jego towarzysz zgodził się – na razie – jechać dobrowolnie; byłby w niemałym kłopotcie, gdyby musiał go wlec przerzuconego przez grzbiet luzaka zabranego Reisom. Co prawda zawsze mógł skorzystać z *praeciosum vocans*, ale śmiał powątpiewać, czy takie sytuacje miał na myśli generał, mówiąc o „najwyższej potrzebie”.

Gdy na horyzoncie pojawiły się lśniące w niskim wiosennym słońcu wieżyce wüzburgskiego kościoła Świętej Marii, Herzbruder przerwał milczenie:

– Powiedz mi jeszcze waść: o co chodzi z tym piórkiem? Bez piórka się nie da?

– Powiedzmy. – Zakonnik uśmiechnął się pod nosem. – Słowo zwykle nie wystarcza. Potrzeba jeszcze katalizatora. Nie da się korzystać z precyzjów bez

katalizatorów.

– I co to są te kalatyzamory? Piórko to kalatyzamor?

– Katalizator. Dla precyzjum, którego użyłeś, *praeciosum sopiens*, jest nim w istocie ptasie pióro. Ogólnie rzecz biorąc, katalizator to przedmiot lub substancja, czasem bardzo rzadkie, czasem tak pospolite jak kamień. Rodzi to zresztą różnorakie kłopoty.

– Jakie?

– Wystarczy, że katalizator styka się z ciałem, aby w połączeniu ze słowem dał efekt w postaci precyzjum. I tak, na przykład, stopy żelaza są dość popularnym katalizatorem, co sprawia, że w trakcie korzystania z niektórych precyzjów nie można dotykać nawet odrobiny stali, a więc nie można mieć na sobie zbroi ani trzymać broni. Niektórzy bracia obchodzą ten problem, wkładając szczelną podściółkę pod kolczugę lub pancerz, jednak to zawsze ryzykowne. Skutki mogą być rozmaite.

Zbliżali się do murów miejskich. Szwedzi opuścili miasto przed zimą, więc w naturalny sposób wróciło ono w cesarskie ręce. Erquicia nie spodziewał się żadnych problemów, jednak wiedział, że za północnymi murami Würzburga kończy się władza Świętego Kościoła, a zaczyna herezja. Fakt, że po ciężkim oblężeniu wojska Gustawa Adolfa opuściły miasto i pozwoliły je zająć z powrotem oddziałom biskupim, był czystym łutem szczęścia. Dalej mogło być już tylko trudniej, więc nawet trochę się cieszył, że z powodu dwudniowej wyprawy do Moguncji uda mu się odwlec chwilę przekroczenia Menu.

– Długo tu zabawimy?

– Jeżeli wszystko pójdzie sprawnie to parę godzin. Jak chcesz, mogę cię zostawić w którejś gospodzie i wrócić, kiedy załatwię wszystko na uniwersytecie.

– Wolę z waścią jechać. Coś nie chcę waści spuścić oka, a czuję, że i waść mnie wolałbyś mieć pod ręką. Ale zajrzyjmy do twierdzy; odebrałbym tę nagrodę, trochę grosza zawsze się przyda.

Przenikliwyś, ptaszku, pomyślał dominikanin, gdy przekraczali bramę miejską. Różaniec, którym był przepasany, wystarczył za przepustkę. Wzniesiona na wzgórzu, przysadzista twierdza Marienberg górowała nad nimi jak wyrzut sumienia; była niczym głąz, pozbawiony życia i charakteru. Budowla mocno ucierpiała w trakcie szwedzkiego oblężenia sprzed dwóch lat – jedna z narożnych baszt leżała w gruzach, mury były osmalone i połatane byle czym, nawet deskami; w wielu oknach brakowało szyb, w dachu zaś w kilku miejscach ziały dziury, obnażające zastrzały bez dachówek. Z kolei nad skrzydłem od strony rzeki dachu nie było w ogóle. Na blankach podzamkowych reduct porozstawiane były rzadko lekkie armaty, których obsługi bezskutecznie próbowały ogrzać się przy rozpalanych gdzie popadnie miniaturowych ogniskach. Trudno jednak było



zarzucać żołnierzom bezczynność –większość z nich pracowała ciężko przy naprawie naruszonych kaponier i wzmacnianiu stanowisk faszyną, ściąganą z chłopskich wozów. Twierdza szykowała się na wiosnę.

Erquicia i Herzbruder objechali wzgórze zamkowe i wkroczyli do biskupiego magistratu główną bramą, wciśniętą między dwie machikuly i zdobioną obłupanym herbem biskupstwa. Po chwili błądzenia po ogromnych komnatach znaleźli intendenta odpowiedzialnego za porządek w kasie.

Biskupstwa Rzeszy były autonomicznymi tworamipolitycznymi o mieszanym statusie, na których czele stał biskup, wyznaczany przez cesarza za porozumieniem z papieżem. Ziemie te stawały się często kością niezgody pomiędzy królem niemieckim, Kościołem a książętami i elektorami, którzy, nie mogąc się bogacić i rozwijać swoich domen kosztem chronionych prawem cesarskim sąsiadów, często ostrzyli sobie zęby na dobra papieskie. Biskupstwa wraz z wolnymi miastami pełniły w Niemczech funkcję języczka u wagi, który nie dopuszczał do naruszenia relacji między możnymi a cesarzem, a zarazem były źródłem ogromnych dochodów Kościoła i mieszczaństwa. Szczególnie istotne stały się w ostatnich latach, gdyż w naturalny sposób stanowiły najwierniejszego sojusznika koalicji cesarskiej – luterkańscy książęta, gdy tylko usłyszeli słowo „sekularyzacja”, błyskawicznie wkroczyli do graniczących biskupstw, aby włączyć ich ziemie w swoje państewka. W tych instytucjach władza była wyłącznie kościelna – nic więc dziwnego, że również urzędnik był księdzem.

Wąsaty i brodaty, w skromnej rewerendzie, siedział za wielkim biurzem z dębowego drewna, które najwyraźniej uniknęło porąbania przez spragnionych zniszczenia szwedzkich żołdaków; prawie nie było go widać zza porzucanych na blacie rolek pergaminu i kart papieru. Reszta komnaty, jeśli nie liczyć kilku mniejszych biurek i resztek gobelinu, smętnie zwisających z wbitych w ścianę haków, była zupełnie pusta. Zaraz za drzwiami zatrzymał ich diakon-pisarczyk w cieniutkiej komży, drżący z zimna i zaaferowania. Erquicia przedstawił mu sprawę, a pomocnik zapowiedział ich urzędnikowi.

– A więc twierdzicie, że zasiekliscie braci Reis, grasujących przy gościńcu z Würzburga do Norymbergi – skonstatował ksiądz-urzędnik, mierząc ich podejrzliwym spojrzeniem.

– Ano, jak Wasza Wielbność powiedział – odparł Herzbruder i się skłonił. – Nad rzeką Aisch, w pobliżu Nowego Miasta, na włościach hrabiego Ruberta. Zwę się Joachim Herzbruder i jestem strzelcem jaśnie pana hrabiego.

– A ty to...? – Natrętnie spojrzenie intendenta niemal wierceło Erquicii dziurę w twarzy.

– Ja – odparł Hiszpan – jestem tylko skromnym dominikaninem, którego ten tu strzelec uchronił z opresji. Poświadczam jego słowa.

– Yhm, yhm. A dowód gdzie?

– Jaki dowód? – zachnął się Herzbruder. – Jestem strzelczym z patentem, w papierach moje nazwisko stać będzie jak byk, to jest dowód.

– Papierów nie ma, spalone w oblężeniu. Bez dowodu i polecenia superintendenta nagrody nie będzie – orzekł ksiądz. – Możecie odejść. – Wykonał odprawiający, władczy gest i wrócił do studiowania dokumentu, który leżał przed nim.

– Ale jakiego dowodu?! – zezłościł się strzelec. – Słowo moje, jako gajowego, i słowo świadka są tu dowodem! Co, miałem im łby oderznąć? Mało to, że na żalnik trafili?

– Uszy – poprawił oschle urzędas, podnosząc głowę i mrużąc oczy. – Nie łby, tylko uszy. A twoje słowo tyle znaczy, co i tego przybłądy. – Kiwnął głową w stronę Dominika. – Z mojej perspektywy możesz być gajowym, a możesz i być sułtanem tureckim, nagrody bez dowodu nie dam.

Erquicia nie wytrzymał. Śpieszyło mu się, kilkakrotnie przewyższał rangą aroganta, a w dodatku Herzbruder, czerwony ze złości po końcówki uszu, gotowy był robić niepotrzebną burdę. Zanim gajowy zdążył się odezwać, zakonnik wyciągnął pieczęć inkwizytorską, która zazwyczaj robiła na rozmówcach piorunujące wrażenie.

– Czy słowo urzędnika Świętego Oficjum wystarczy jako dowód? – zapytał cicho.

Tak jak się spodziewał, efekt był natychmiastowy. Indendent poczerwieniał, następnie zbladł, a potem zerwał się na równe nogi i skłonił nisko.

– Ekscelencjo, proszę o wybaczenie...

– Wybaczone – chłodno odpowiedział Erquicia. – A teraz wypłać temu dobremu człowiekowi należne pieniądze, bo śpieszno nam w drogę.

– Tak, oczywiście, już... – wymamrotał tamten, drżącymi rękami otwierając niewielką szkatułę, którą wyciągnął spod biura. – Proszę wybaczenia... Archiwum spłonęło... Różni się tu pojawiają po pieniądze... Bardzo różni... Bez gwarancji... Ale oczywiście słowo ekscelencji... Już sprawdzam... Reis... Floren nagrody, proszę, już... Friedrich! Zanotuj, że panu Joachimowi... Przepraszam, jak miano? Herzbruderowi wypłaca się florena... nie, dwa floreny nagrody za przywrócenie porządku na szlaku do Norymbergi... Proszę, a oto pieniądze...

– Dziękujemy – odparł rozbawiony nieco Hiszpan, którego zawsze szalenie bawiły oznaki paniki przejawiane przez osoby, którym przedstawiał się jako inkwizytor. – Z Bogiem, księżu intendencie, z Bogiem.

– Czy może ekscelencja czegoś potrzebuje? Noclegu? Powiadomię może jego ekscelencję biskupa, że ekscelencja...

– Nie trzeba. Jesteśmy przejazdem. Z Bogiem.

– I z Duchem Świętym!

Gdy tylko opuścili komnatę, Erquicia skonstatował w duchu, że cała ta scena nie była warta tych dwóch florenów, ale Herzbruder zdawał się uważać inaczej. Zaraz za progiem jedną złotą monetę włożył do sakiewki, zaciągając ją na trzy węzłki, a drugą wsunął do cholewy buta. Gdy Hiszpan przypomniał sobie biedną chatę strzelczego, zrobiło mu się trochę wstyd. Dla jego towarzysza była to równowartość ćwierćrocznych dochodów. Co najmniej.

Dopiero po zabezpieczeniu pieniędzy Herzbruder popatrzył na niego uważnie stalowym, przenikliwym wzrokiem.

– No. – Pogładził nerwowo jasne wąsy. – Ale o tym, że waść jesteś śledczym kolegium, to nie uznałeś za stosowne wspomnieć. A czary rzucacie... Waść mi się widzisz coraz bardziej podejrzaną personą – dodał prostolinijnie.

– To nie są czary. I mów ciszej. Ściany mają uszy. Chodźmy.

Kwadrans później, gdy zjechali już ze wzgórza zamkowego, strzelec nadal trzymał się lekko z tyłu i się nie odzywał, ale zarazem nie spuszczał z Erquicii oka. Zakonnik czuł, że sytuacja sprzed chwili postawiła między nimi barierę, która mogła sprawić, że Herzbruder zrejteruje – nie bez powodu wszyscy bali się inkwizycji, a heretyk miał ku temu niezłe powody. Dominikanin uznał, że musi wyjaśnić sprawę, choćby pobieżnie.

– Słuchaj, Herzbruder – powiedział obcesowo. – Nie szyj we mnie oczami jak do zwierza w lesie, bo nie jestem jeleniem ani dzikiem. Ale żaden też ze mnie wilk czy niedźwiedź. Nie musisz się bać, nie jestem inkwizytorem w czynnej służbie, w moim wypadku to tytuł... poboczny. Nie zawlokę cię przed kolegium, nie wsadzę w żelazną dziewicę, pięt ci nie przypiekę, w ogóle nic ci nie zrobię i dopilnuję, aby nikt inny nie miał na to ochoty ani sposobności. Noszę ze sobą tę pieczęć, bo ułatwia wiele spraw, ale zauważyłeś chyba, że ściganie heretyków i czarowników jest bardzo nisko na mojej liście priorytetów.

– I to właśnie sprawia – nadął się blondyn – że z waści taki dziwotwór, którego nie wiadomo, czy się słuchać, czy w pysk plunąć i odejść. Ale niech będzie, że na razie będę się waści trzymał, boś mi nic złego waść nie zrobił, a po prawdzie, to i swoich w prawie zarobionych pieniędzy bym bez waści nie dostał. A skoro przy tym jesteśmy, to waści się floren należy, chociaż się nie upomniał.

– Obejdzie się.

– Jak sobie waść chcesz. – Gajowemu najwyraźniej niespecjalnie zależało na tym, żeby się pozbyć połowy zarobionej kwoty. – Dokąd teraz?

– Tam, dokąd zmierzamy od początku. Na uniwersytet.

Gdy przekroczyli most, od razu znaleźli się w centrum miasta i Erquicia w jednej chwili źle się poczuł. Charyzmat dominikanów opierał się na posłaniu, prawdzie i kontemplacji. To pierwsze kojarzyło się zakonnikowi z bielą, drugie ze światłem, a trzecie z przestrzenią. Dlatego dobrze się czuł w okazałych, marmurowych budowlach, między szerokimi kolumnadami, w wielkich aulach z mnóstwem okien, gdzie na pustych podłogach roztaczało się spokojne, pogodne echo nieśpiesznych kroków. Ewentualnie w jasnych, rozbrzmiewających milionem tajemniczych głosów lasach Batawii lub Filipin. Był głęboko przekonany, że właśnie w takich miejscach najłatwiej złączyć się z Bogiem; że kontemplacja jest najskuteczniejsza, gdy ma dużo miejsca, gdy człowiek ma przestrzeń, aby myśleć i skupić się na tym, co naprawdę ważne: na wierze. Dlatego nie znosił niemieckich miast.

Architektura Würzburga, Tybingi, Augsburga czy Norymbergi doprowadzała go do ataków klaustrofobii. Przysadziste, zdobne krzyżującymi się balami fachwerków kamienice z nadbudówkami zdawały się zwisać trawersem nad każdą uliczką, odbierając przechodniom bezcenne światło słońca. Dróżki między budynkami były miejscami tak wąskie, że trudno było wjechać w nie konno, a już rynek, maleńki plac z fontanienką, zastawiony straganami tak gęsto, że należało niemal wciągać brzuch, żeby przejść, nieustannie w dodatku zatłoczony ciżbą kupców i kupujących – ten rynek był kuriozum, które hiszpańskiemu dominikaninowi trudno było znieść. Starał się jednak, aby ten przytłaczający klimat nie odbierał mu pogody ducha. Co nie zmieniało faktu, że niezależnie od nastroju postarał się, aby jak najszybciej wydostali się z tłumu i stanęli przed bramą uniwersytetu.

Od razu wiedział, że coś jest nie tak. Budynek wyglądał na nieuszkodzony, a chociaż mógł się spodziewać, że uczelnia nie działa jak w czasach sprzed oblężenia, intuicja podpowiadała mu, że ziejący pustką gmach oznacza coś więcej niż kiepski stan akademii. Przed bramą nie stała straż rektorska, stajnie zaś były zamknięte. Już wcześniej zauważył, że w mieście nie widać dowodzących żaków, którzy zazwyczaj generowali jeszcze większy tłok na ulicach. Poprosił Herzbrudera, żeby ten został z końmi i wkroczył w szeroką, na wpół uchyloną bramę.

Na środku dziedzińca stało na baczność dwóch mężczyzn, ubranych skromnie w czarne spodnie, proste buty i kamizele bez żadnych zdobień. Z daleka można było ich wziąć za drewniane kukły. Z bliska obaj wyglądali na bardzo młodych, choć zmarszczki pod oczami tego, który stał po lewej, mogły wskazywać na to, że po prostu dobrze się starzał, a mógł mieć i czterdzieści lat. To właśnie ten odezwał się pierwszy, gdy tylko Hiszpan się zbliżył.

– Ksiądz ojciec prowincjał Ordo Fratrum Praedicatorum Dominik Ibáñez de Erquicia Pérez de Lete?

Dominikanin stęzał. Jego pełnego nazwiska i tytułatury z całą pewnością nie znał nikt w całych Niemczech. I raczej znać nie powinien.

– Owszem. Z kim mam przyjemność? – odparł ostrożnie.

– Jest ojciec oczekiwany.

– Przez kogo?

– Proszę za nami – odpowiedział tajemniczy jegomość, ignorując jego pytanie. Słońce mignęło w jego szpakowatej brodzie, gdy się odwracał.

Erquicia, nie widząc innego wyjścia, ruszył za czarno odzianymi mężczyznami. Nie minęli po drodze nikogo: ani jednego profesora, żaka czy ciecia. Zaprowadzono go przed okazałe drzwi z rzeźbionego dębu, wypolerowane do czysta, w przeciwieństwie do reszty korytarza, która sprawiała raczej opłakane wrażenie. Gdy tylko dotarli na miejsce, mężczyźni skłonili się i odeszli, a raczej odmaszerowali, pozostawiając go przed wrotami. W kiepskim świetle z pobliskiego okna Hiszpan zauważył, że płaskorzeźba przedstawia nowotestamentową historię faryzeusza i celnika. Czyniło to z drzwi obiekt dość ciekawy, ponieważ motyw ten nie był zbyt często wykorzystywany w zdobnictwie. Erquicia nie poświęcił się jednak kontemplacji ornamentyki, a wiedziony niepokojem i ciekawością grzecznie zapukał do drzwi i wszedł do pomieszczenia.

Pokój okazał się dawnym gabinetem profesorskim albo i nawet rektorskim. Ściany zastawione były aż do sufitu regałami, regały zaś – inkunabułami i książkami. Pod wysokim, ozdobnie szklonym oknem niewielkiej komnaty stało biurko, stereotypowo zasłane papierami, obok zaś wielki wenecki globus w drewnianej oprawie. Przy kominku, w którym wesoło huczały wysokie płomienie, ustawiono dwa luksusowe krzesła, obite zielonym materiałem i wykańczone złotem. Na jednym z nich siedział starszy, łysiejący mężczyzna z okazałą, siwiejącą brodą, skromnie ubrany w czerń. Na dźwięk wchodzącego zakonnika oderwał się od lektury, w której był pogrążony, i wskazał swojemu gościowi drugie krzesło.

Erquicia zdjął płaszcz, ułożył go na stojącym z boku zydłu i posłusznie usiadł, spotkanie bowiem zapowiadało się na równie zaskakujące, co intrygujące. Gospodarz wskazał ręką na stojący na inkrustowanym stoliku puchar i karafkę z winem, pytając podnosząc brew.

– Dziękuję, nie piję wina – wychrypiał Erquicia, któremu w istocie chciało się pić.

– W takim razie podamy wodę – odparł tamten głębokim, dźwięcznym głosem i zadzwonił stojącym obok karafki dzwonkiem.

Do sali bezszelestnie i nie wiadomo skąd wsunął się służący, który zabrał wino i odszedł. Dopiero wtedy brodacz odłożył księgę, którą wcześniej wertował, złożył palce pod brodą i powiedział:

– Nazywam się Johann Andreae. Być może moje nazwisko jest ojcu znane.

– W istocie. Ale czy nie powinien pan być w swojej katedrze, w Tybindze, profesorze?

– Prawdopodobnie powinienem. Najwyraźniej jednak moje stanowisko wakuje. Może ojciec byłby chętny je przejąć? – Uśmiechnął się pod nosem. – Widzę, że jest ojciec ranny. Czy może trzeba ojcu medyka?

– Dziękuję, to drobiazg. Domyślam się, że pan wie, kim jestem i jak się nazywam, co każe mi zapytać: jaki jest cel tego spotkania?

Służący wrócił. Gdy nalewał wodę do kielicha, Erquicia miał okazję przyjrzeć się Andreaemu. Miał długi nos, wąskie usta, nienaturalnie wysokie wskutek łysienia czoło i niesamowicie brązowe oczy, ciemne aż do pierwszych zwiastunów czerni. Trudno było z tej twarzy wyczytać coś poza uprzejmością i nienaturalnym spokojem.

– Powodów mógłbym wymienić kilka – podjął profesor, gdy lokaj odszedł – jednak zacznę od najprostszego i zarazem najbardziej zrozumiałego. Ciekawość. Widzi ojciec, osiem lat temu nie umknęło mi bynajmniej, że wszyscy dominikanie gdzieś zniknęli, a rok później pojawili się znowu. Nie umknęło mi też, że większość lokalnych zakonów i konwentów waszego bractwa zostało przekształconych w zwykłe kościoły albo zgromadzenia benedyktynów. Ba! Nie umknęło mi, że nagle przestaliście ścigać czarownice i nawracać biednych heretyków, a zaczęliście podejmować... inne, nie mniej ciekawe aktywności. Co mi natomiast umknęło, to moment, w którym ostatni dominikanin zniknął z mojego zasięgu, bowiem, jak ojciec pewnie wie, we Frankonii i Szwabii w zasadzie nie ma braci kaznodziejów. Nie może się więc ojciec dziwić, że gdy nadarzyła się w końcu okazja do rozmowy z jednym z was, i to od razu tak wysoko postawionym, nie mogłem się oprzeć.

– Po prawdzie to mógłbym się dziwić i nawet się trochę dziwić. Szczególnie że jeden z naszych klasztorów znajduje się dwa dni drogi stąd, w Moguncji, nie wspominając o tym, że mógł profesor napisać list do któregoś z ordynariuszy albo i samego generała Secchiego, nie wątpię, że byłby z tego powodu ukontentowany. Skoro jednak już się tutaj znaleźliśmy, moja kolej na bycie ciekawym: o czym profesor chciałby tak pilnie porozmawiać?

– Och – zachnął się tamten, wykonując teatralny gest dłonią. – O tym, o czym mogą rozmawiać teologowie, rzecz jasna: o zbawieniu, herezjach, świetle wiekuistym...

– Obawiam się, że w żadnym z tych tematów nie jestem dla profesora partnerem do rozmowy.

– Żartuje ojciec?! – wybuchnął udawanym zdumieniem Andreae. – Ordynariusz zakonu dominikanów nie jest partnerem do rozmowy o teologii?! A to ci dopiero, ha ha! Jesteście wszak zgromadzeniem kaznodziejów, czy nie? Czy papież Innocenty nie nakazał wam czasem nawracać niewiernych w niekończących się dysputach? Czy nie to jest sensem istnienia bractwa?

– W istocie, jest. Ja jednak nie dysponuję ani wiedzą, ani zdolnościami retorycznymi, które pozwoliłyby mi stanąć w szranki z panem profesorem.

– Pomijając fakt, że od paru lat mało prowadzicie dyskusji i nawróceń. Powiedziałbym nawet, że w ogóle.

– To w ogóle nie leży w zakresie moich kompetencji – uciał Erquicia, coraz bardziej zaniepokojony. – Nie wspominając o tym, że cel mojej wizyty na uniwersytecie jest zupełnie inny.

– A jaki to cel, jeśli można wiedzieć?

– Chciałem skorzystać z tutejszej biblioteki.

– Och! Praca, badania, rękopisy i oryginały... Zostawmy to na razie. Tymczasem będę jednak wdzięczny, jeśli ojciec zechce zabawić mnie rozmową. Nie wątpię, że będzie ciekawa i owocna, nawet jeżeli ojciec sądzi inaczej.

– Jeżeli profesor nalega. – Erquicia skinął głową i pociągnął łyk wody. Nie miał pojęcia, co się właściwie dzieje.

– A więc – Andreae zatarł ręce – co ojciec sądzi o gnozie?

Hiszpan miał okazję poudawać, że się zastanawia, a jednocześnie przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o Johannie Valentinie Andreaem. Nie było tego wiele. Luterkański profesor teologii z uniwersytetu w Tybindze, autor paru dosyć specyficznych prac na temat związków wiary z poznaniem, tyle. I dobrze, bo nie wypadało już dłużej przeciągać milczenia.

– Czyż nie uczynił Bóg głupstwem mądrości świata? – zacytował Pismo.

– Och, zachowawcza, rozczarowująca odpowiedź – odparł profesor. Przecież można inaczej: „Badajcie, co jest miłe Panu” i tak dalej... Nie będziemy się chyba przerzucać cytatami z Biblii?

Erquicia chrząknął i pokręcił się na krześle. Andreae mu się nie podobał, opustoszały uniwersytet mu się nie podobał i cała ta rozmowa też mu się nie podobała. Niemal czuł, jak z rany pod opatrunkiem na łupiącej niemiłosiernie głowie sączy się krew, wciąż był osłabiony. Pojął jednak, że jego rozmówca nie odpuści, więc z braku lepszego wyjścia podjął wątek.

– Niewiele sądzę. Herezje gnostyckie zostały potępione wieki temu. Dlaczego miałbym coś o nich sądzić poza tym, że zakazał ich święty ojciec Kościół?

– Być może nie do końca się zrozumieliśmy. Nie pytam o manicheizm czy walentyńianizm, tylko o ogólną koncepcję: co ojciec sądzi o pomysle, że wiedza, żelazna, racjonalna wiedza może się stać elementem albo i podstawą wiary?

– Takie podejście niesie za sobą wiele zagrożeń.

– Na przykład?

Erquicię zaczynały męczyć te podchody.

– Na przykład takie, że przesadna wiara w potęgę nauki łatwo może doprowadzić do upadku wiary w potęgę Bożą. Połączenie jednego z drugim jest teoretycznie możliwe, jednak niesie ze sobą zagrożenie w postaci pokus szatańskich, rzecz jasna. Niektórych tajemnic lepiej nie zgłębiać...

– Czyż nie mówił Święty Augustyn, że jeżeli nauka jest zła, przestaje być nauką? Czy przy odrobinie niezbędnej rozwagi takie podejście nie byłoby sensowne? Skoro Bóg objawił nam świat w całej jego doskonałości, dlaczegoż badanie świata nie miałyby być wyrazem badania bożej woli?

– Wola Boga objawia się nie poprzez świat, a przez Pismo i Święty Kościół.

– Święty Kościół! Święty Kościół składa się z ludzi, a ludzie błędzą i grzeszą. To jednak płaszczyzna, na której z całą pewnością się nie porozumiemy, jak to luteranin z katolikiem. Wracając jednak do wiedzy, naprawdę nie sądzi ojciec, że poprzez rozwój mądrości, pojętej jako rozumienie pewnych aspektów świata materialnego, może dojść również do rozwoju duchowego? Czy zyskując wiedzę o dziele Bożym, a tym samym i o człowieku, nie doprowadzamy do rozkwitu wiary? Choćby dzięki zachwytowi i afirmacji doskonałości stworzenia?

– Zgodzi się chyba profesor, że zło wynika nie z Boga, ale z wolnej woli człowieka, niezależnie od tego, jakie miałyby być jej źródło. Jeżeli tak, nikt nie zagwarantuje, że człowiek w swoim natrętnym dążeniu do poznania nie wkroczy w rejony, w które zapędzać się nie powinien. Dzieło stworzenia być może jest doskonałe, ale ludzie skażeni grzechem pierwotnym z pewnością nie są, a tu otwiera się przestrzeń, którą zasiedlić może szatan. Mówi profesor, że poprzez zagłębienie się w istotę człowieka można zbliżyć się do istoty Boga. Ja sądzę, że zgłębianie istoty człowieka to tak naprawdę zgłębianie grzechu, z którego niewiele dobrego może wyniknąć. Należy więc dążyć do poznania Boga, a Bóg jest poznawalny tylko poprzez wiarę. Nie wiedzę, ale wiarę. Prawdziwą i niezłomną.

– A więc nie wierzy ojciec w żaden sposób, że natura, jakkolwiek byśmy ją pojmowali, może być również Bożym objawieniem?

– To nie jest kwestia wiary, to prostu fakt.

– I naprawdę pewne... wydarzenia i zjawiska, które ostatnimi czasy stają się coraz powszechniejsze na tym łez padole, nie dają ojcu do myślenia? Nie



sprawiają, że natura jako dzieło Boże staje się dużo ciekawszym przedmiotem badań niż niezgłębiona natura boskości?

Erquicia zjeżył się jak borsuk, na którego poszczuto psy.

– Nie, nie sędzę – odparł, ostrożnie dobierając słowa. – Nie wiem też, o jakich zjawiskach profesor mówi. Bo chyba nie o reformacji czy wojnie?

– Nie, nie, oczywiście, że nie. Trudno chyba było natomiast nie zauważyć, szczególnie zakonowi kaznodziejów, *Domini canes*, będącemu na bieżąco z nowinkami, że nastąpił pewien... zwrot, nazwijmy to, alchemiczny.

Zapadła kłopotliwa, ropiejąca cisza, rezonująca jak dzwon w miękkim od ciepła powietrzu. Trwała dłuższą chwilę.

– Nie mam pojęcia, o czym profesor mówi – rzekł w końcu Erquicia, a jego głos zabrzmiał ochryple i niepewnie.

Andreae westchnął.

– Szkoda, naprawdę szkoda. Myślę, że moglibyśmy się bardzo wiele od siebie nauczyć, ojciec. Szkoda, że ojciec tego nie dostrzega lub dostrzec nie chce. No, dobrze. – Zatarł ręce. – My tu dysputujemy, a czas bieży. Nie ukrywam, że cieszę się z wizyty ojca nie tylko z powodu okazji do rozmowy.

– Doprawdy?

– Doprawdy. Słusznie ojciec zauważył, że skontaktowanie się z wami nie jest skomplikowane, biorąc pod uwagę niewielką odległość stąd do Moguncji. O czym jednak ojciec nie wspomniał, to że bazylika Świętego Dominika nie jest już bazyliką, a stała się twierdzą, podobnie jak całe miasto, do którego nikogo ze swoich ludzi nie wyślę. Wyślę za to ojca. Z posłaniem do samego Serafina Secchi.

– Nie jestem chłopcem na posyłki – odparł chłodno zakonnik.

– Nie, nie jest ojciec i ani mi w głowie ojca jako takiego traktować – odpowiedział mu z kpiącym uśmiechem, jakby chciał mu udowodnić, że tak naprawdę jest wprost przeciwnie. – Ale posłanie przekażesz i tak. Powiedz więc swojemu generałowi, co następuje: zapraszam do Würzburga celem szczerzej, otwartej rozmowy. I wy, i my możemy wiele się nauczyć od siebie nawzajem. W jakim zakresie, tego już się generał musi domyślić, skoro ojciec zdecydował się nabrać wody w usta. Proszę również podkreślić, że czas gra tu zasadniczą rolę. Na znak dobrej woli przesyłam tę oto błyskotkę. – Położył na stoliku wydobytą z kieszeni kamizeli niewielką, zgniłozieloną bryłkę minerału o dziwnej, jakby pomiętej strukturze. – To wszystko.

– Profesor chyba próbuje mnie obrazić?

– Nie. – Andreae uśmiechnął się smutno. – Próbuję czemuś zapobiec. A ponieważ ojciec nie zdecydował się grać ze mną w otwarte karty, również i ja nie wyłożę swoich asów.

– Nie przekażę tych słów.

– Myślę, że ojciec przekaze. Choćby z uwagi na to, że same w sobie są już w pewnym sensie informacją wywiadowczą. No cóż, to wszystko, o czym chciałem z ojcem porozmawiać. Nie zatrzymuję dłużej.

– Przypominam, że przybyłem tutaj, aby skorzystać z biblioteki.

– Ach, racja! No cóż, obawiam się, że w obliczu takiego, a nie innego kierunku, jaki przybrała nasza rozmowa, nie będzie to możliwe.

– Mimo to z niej skorzystam – warknął Erquicia, już solidnie przez Andreaego zdenerwowany.

– Może ojciec oczywiście spróbować. – Profesor uśmiechnął się uprzejmie, sięgnął po odłożoną wcześniej książkę, otworzył ją i wrócił do lektury. – Do widzenia – dodał, nie podnosząc wzroku.

Dominikanin, wściekły jak diabli, wyszedł z pokoju. Początkowo rozmowa z Andreaem była dla niego po prostu irytująca, traktował ją jako konieczną uprzejmostkę, która zaprowadzi go do biblioteki. Z każdą kolejną aluzją jednak dyskusja robiła się coraz bardziej niebezpieczna, aby pod koniec, gdy zredukowano jego status do pośledniego gońca, doprowadzić go do białej gorączki.

Nie. Nie jesteś wielkim Dominikiem Erquicią, wspaniałym rycerzem na białym koniu, upomniał się w myślach. Nie dano ci wyjątkowej misji. Jeżeli Bóg raczył obdarzyć cię zadaniem kuriera, będziesz wykonywał zadanie kuriera. Jeżeli każe ci dokonać rzeczy wielkich, dokonasz ich; ale jeśli każe nosić wodę, będziesz nosiwodą.

Tętno wracało do zwykłego rytmu. Oczywiście zamierzał zrelacjonować przełożonym całą rozmowę i to bardzo dokładnie. Padające w niej półsłówka i aluzje były szalenie niepokojące. Wynikało z nich, że Andreae nie tylko zdaje sobie sprawę z istnienia precyzjów, lecz także ma na ich temat całkiem konkretne informacje i przeczuwa ich naturę. Sugestia, że może wiedzieć o tym darze Bożym coś, czego nie wie zakon kaznodziejski, była bardziej niż niepokojąca, była groźna: nie bez powodu Erquicia jeździł po całych Niemczech, tak samo jak jego odpowiednicy we Francji, w Hiszpanii, Włoszech, Grecji, nawet Polsce czy Skandynawii. A że przypadkiem było mu po drodze do Moguncji, być może w istocie było to zarządzenie Boże?

Ruszył zdecydowanym krokiem na poszukiwanie biblioteki – zamierzał tak czy inaczej załatwić to, po co przyjechał. Niestety, za pierwszym załomem korytarza przywitało go dwóch znanych mu już, czarno ubranych jegomości.

– Mamy przyjemność eskortować ojca do wyjścia.

– Niepotrzebna mi eskorta – odburknął dominikanin. – Wskażcie mi lepiej drogę do biblioteki.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – głucho zadudnił szpakowaty. Głęboki bas wibrował w kamiennym korytarzu.

– Dlaczego?

– Rozkaz profesora Andreae.

– A jeżeli mu się nie podporządkuję?

– Wyprowadzimy ojca siłą.

– Chodźmy więc. Nie będę się rzucał – odparł Erquicia, bo w całej tej sytuacji wyczuwał coś niepokojącego, jakąś delikatną, przykrą rysę na normalności, która kazała mu się mieć na baczności.

Gdy wyszedł z budynku, już przez nikogo nie niepokojony, Herzbruder, który zdążył sobie uciąć drzemkę przy koniach, zerwał się na równe nogi.

– Chryste Panie, waść ducha na tym uniwersytecie zobaczyłeś?

Doświadczenia ostatniej godziny musiały najwyraźniej zostawić ślad na twarzy zakonnika.

– Gorzej niż ducha – skrzywił się. – Jedziemy.

Strzelec nie zadawał zbędnych pytań. Wskoczyli na konie. Erquicia skierował się w stronę zachodniej bramy.

Herzbruder westchnął.

– Przyznam waści, że najchętniej to bym konia chwostem naprzód obrócił i wrócił do swojej chaty. Bo coś czuję, że waść mi wcale nie odpowiesz na pytania, które chciałbym zadać. Ale bez waści nie trafię do nikogo, kto by odpowiedział. Jedźmy więc.

– Jedźmy.

Jedźmy, pomyślał Erquicia. Do Moguncji, największego bastionu dominikanów na północ od Alp, w którym pozbędzie się zbędnego balastu w postaci strzelczego, uzyska odpowiedzi na parę pytań, a potem ruszy robić to, co mu zlecono – szukać aramejskich manuskryptów, co jak dotąd szło mu wyjątkowo kiepsko. O ile, oczywiście, po drodze nie nastąpią kolejne nieprzewidziane okoliczności.

W kieszeni niepokojąco ciążył mu kryształek, który otrzymał od tajemniczego dzierżawcy Uniwersytetu w Würzburgu.

## ROZDZIAŁ VIII

Alarm okazał się częściowo fałszywy: spotkany przez Ingemara oddział nie należał na szczęście do głównych sił żadnej z pustoszących Niemcy armii. Był to daleki podjazd saskich szwoleżerów, poszukujący spyży dla koni. Nie zmieniało to jednak faktu, że nie mogli zostać na gościńcu do Würzburga. Podjazdów mogło być więcej, a w dodatku, skoro zapuszczały się tak daleko na zachód, armia Gustawa Adolfa i Jana Jerzego mogła wyruszyć w każdej chwili, o ile już nie wyruszyła. Należało zacząć kluczyć.

Podróżujący niezwłocznie skręcili w lasy. Nie oddalili się jeszcze za bardzo od Nördlingen, więc Jasny znał teren jak własną kieszeń i bez problemów wprowadzał ich na wąskie, leśne dróżki, omijające najgorsze przeszkody i wydeptane przez nieskończone rzesze miejscowych nie gorzej niż gościńce. Również drugi nocleg, tym razem w opuszczonej chacie, którą znaleźli w lesie, przebiegł spokojnie. Katarzyna cieszyła się ze schronienia: pierwszej nocy na gołej ziemi zmarzła tak bardzo, że miała wrażenie, jakby nigdy już nie miało jej być ciepło. Gdy całą grupą ruszyli w drogę następnego dnia, humory im dopisywały. Skryci w gęstwinach czuli się bezpieczniej niż na szerokiej drodze.

Szybko zorientowali się, że ich przewodnik, wbrew słowom jego ojca, nie jest głupi, wprost przeciwnie, przejawiał przenikliwą inteligencję i zdolność kojarzenia faktów. Kłopot w tym, że charakteryzowała go również skłonność do samodzielnych i często bardzo progresywnych przemyśleń, połączona z niepospolitym gadulstwem, co – jak można się było domyślić – niejednokrotnie musiało pakować go w kłopoty. Poza tym Jasny zadawał trafne pytania, błyskawicznie dodając dwa do dwóch i wyciągając poprawne wnioski z odpowiedzi. Niepokoiło to Schenka, który nie chciał dzielić się z kmieciem szczegółami dotyczącymi ich podróży, a obawiał się, że któryś z chłopaków może coś chlapanąć. Zazwyczaj jednak dociekliwość Jasnego prowadziła jedynie do barwnych dyskusji z wszystkimi po kolei członkami kompanii. Umilały one podróż dużo skuteczniej niż niekończące się targowanie o nic.

Gdy mijali stos rozrzuconych, potężnych głazów, który nie wiadomo skąd się wzięł w sosnowo-dębowym lesie, Euwe, jak miał w zwyczaju, dłużą chwilę lustrował kamienie, mrużąc pod nosem:

– Ciekawe, ciekawe!

W końcu rzucił sentencjonalnie:

– Niemcy są arcyciekawe, jeśli chodzi o formacje terenu. Szkoda, że nie zabawiliśmy dłużej w Riesie.

Na to natychmiast odezwał się Jasny.

– A jaśnie pan cały czas o tym riesie i riesie, a ja ciekawym, cóż to, ten ries?

– Nie wiesz? – zdziwił się Holender. – Toż żyjesz całe życie w Riesie!

– A co jaśnie pan bajasz, ja spod Nördlingen jestem.

– No właśnie. Miasto Nördlingen leży w niecce, tak? Nie mogłeś nie zauważyć, że jest otoczone nagle urywającymi się wzgórzami, leży w depresji.

– Ano, zauważyć, tom zauważył, choć o żadnej dyspersji nie wiem. Ale to nie żaden Ries, tylko dziura.

– Jak to dziura? – zapytał Euwe z oburzeniem.

– No dziura. Wszyscy tak mówią, ja tak mówię, ojciec tak mówi, wujo Brzymucha też tak mówił, ba, nawet matula tak gada, bo dziura to dziura.

– Nie żadna dziura, tylko Ries.

– Dziura. Jaśnie pan nie wiesz, naprawdę? Dziura jest dziura. A powstała tak: dawno temu, gdy w Niemczech całych nie było prawie ludzi, a ino jelonki po lasach biegały, przyszło na miejsce dwóch olbrzymów. Jeden chciał iść na wschód, a drugi na zachód, ale każdy chciał iść pierwszy, a tak byli wielcy, że się zmieścić w widłach rzeki nie mogli, więc któryś musiał przepuścić drugiego, bo nie chcieli zmoczyć chodaków. Kłócili się i kłócili, aż z wściekłości któryś uderzył w ziemię z całej siły i bach, tak powstała dziura.

– To jakaś piramidalna bzdura – odparł Euwe po chwili milczenia.

– Tak było, jak amen w pacierzu! Matula mi w kołysce opowiadała. A i wujo Cholewka wspominał o tym po gorzałce.

– Twój wujek nie miał czasem na imię Brzymucha?

– A to inny. Jaśnie pan wujów nie miał?

– Rzeka! – Krzyk nadjeżdżającego z naprzeciwka Ingemara przerwał fascynującą dla obu stron rozmowę.

Szwed podjechał do nich kłusem.

– Rzeka – powtórzył.

– Ano, rzeka, co się waść dziwisz, rzek u waści w Gotlandii ni ma? Men się nazywa, może się waści o uszy obilo.

– Dowcipnyś, kmiociu – warknęła Ingemar. – Ja się nie pytam, co to za rzeka, tylko jakim cudem nad nią jesteście?

– Ano doszliśmy, a jaśnie panienska i jaśnie pan to nawet dojechali. Panie Schenk, waść coś powie swojemu druhowi, bo się mnie uczeplił.

– Tyle, że Szwed ma rację – rzekł Schenk, podchodząc do rozmówców. Kolumna stanęła. – Co robimy nad Menem, skoro Würzburga nie minęliśmy?

– Kiedy minęliśmy. Będzie koło południa. A potem odbiliśmy na zachód, bo waszmościowie przez las słusznie chcieli. Tera ino przekroczyć: w Zellingen, jeśli wracamy na gościniec, albo w Gemünden, jeśli zostajemy w lesie. Ale jeżeli jaśnie panienska chce do Würzburga na zakupy, to można i do Würzburga, tera to ino kilka mil.

– Prowadź zatem do Gemünden – powiedział uspokojony Schenk i wrócił na swoje miejsce u boku Katarzyny.

– Cięty jesteś na chłopca – zauważyła, obserwując kłótnię, która wybuchła między Jasnym a Iskrą. Spierali się o użycie cepa bojowego („Po cepie to i zbierać nie ma czego, proszę jaśnie pana”, próbował przekonać najemnika Jasny, na co ten odparł: „Tylko że od cepa uskoczyć – to rzecz prosta i dla zawalidrogi! A sztych miecza zawsze celny!”).

– Nie jestem. Jestem tylko ostrożny.

– Skąd ci się to wzięło?

– A jak sądzisz? Mam dwadzieścia cztery wiosny na karku. Całe moje życie trwa pieprzona wojna.

– Moje też. Ale wydaje mi się, że masz lekką paranoję.

– Dzięki tej paranoi nadal żyję.

– A Krauze nie?

– Odczep się od Krauzego.

Zapadła chwila milczenia.

– Krauze przygarnął mnie z rynsztoka, kiedy uciekłem z brunszwickiego wojska pod Höchst. Miałem czternaście lat, młodszy byłem niż te goliwasy na tyłach. Krauze był dla mnie... no, może nie jak ojciec, ale jednak wychował mnie i pomógł wyżyć, kiedy było źle. Po dziesięciu latach w jednej hanzie to nie takie łatwe, stracić kompana.

– Wiem.

Schenkowi nagle zrobiło się głupio. Uświadomił sobie, już po raz wtóry, że dziewczyna dopiero co straciła ojca, dom, większość rodziny oraz dobytek – i to w ciągu jednej nocy. On miał chociaż to szczęście, że nie miał chałupy, którą mogliby mu spalić.

– Słuchaj, jedno mi nie daje spokoju. Skąd ty umiesz czytać i pisać? – zapytał, żeby zmienić temat.

Katarzyna niespodziewanie się zaczerwieniła i rozejrzała niespokojnie.

– A nie powiesz Euwemu?

– Jeszcze by tego brakowało.

– Sama się nauczyłam. To znaczy... zawsze umiałam.

– Słucham?

– Naprawdę. Nikt nigdy nie uczył mnie liter, po prostu od małego je znałam; jak miałam parę latek, umiałam już czytać napisy, nawet jeśli nie rozumiałam słów.

– Eee...

– Mówię prawdę. Nikt nie wie, jak to się stało.

– Dziwna z ciebie dziewczyna.

– Za to z ciebie porządny chłop. – Uśmiechnęła się do niego z wysokości końskiego grzbietu.

Trochę to Schenka zmieszało, więc zakończył rozmowę, wracając na front kolumny.

W czasie podróży Katarzyna miała mnóstwo czasu na przemyślenia. Jeżeli akurat nikt jej nie zgadywał, pogrążała się w rozważaniach na temat swojej sytuacji – w przeciwnym razie myślałaby tylko o niewygodnym siodle. Obrany kierunek był dobry: zmierzali na północ, wkraczali już powoli na ziemie protestanckie, a po przekroczeniu Menu otwierały się przed nią zupełnie nowe perspektywy. Niezależnie od tego Lejda przestawała się jej wydawać tak straszna. Tajemnicze miny Euwego drażniły ją, więc odpuściła sobie dociekanie, czego właściwie chce od niej kalwiński uniwersytet, ale z drugiej strony – jaka to różnica? Tak czy inaczej nie miała gdzie się podziać.

Przez większość czasu trudno jej było określić, jak się czuje. Chwilami zalewała ją fala ekscytacji spowodowana nowymi doznaniem, wielką przygodą, której się nie spodziewała – była przeznaczona na żonę szlachcica i chyba tylko wojna oraz przejawiane przez Katarzynę symptomy uchroniły ją przed małżeństwem. Nie sądziła, że uda się kiedykolwiek dalej niż do Norymbergi lub Wirtembergii, tymczasem jechała na drugi koniec kraju, ba, za granicę! W dodatku w może nie doborowym, ale z pewnością ciekawym towarzystwie.

Chwile podniecenia jednak były rzadkie. Przez większość czasu była po prostu zmęczona podróżą w niewygodnym siodle, na co nakładały się ponure myśli o ojcu, siostrach i utraconym domu. W nocy, gdy nikt nie patrzył, kilkakrotnie się popłakała. Nie marzyła wówczas o niczym innym, jak żeby cała ta historia okazała się tylko snem, z którego obudzi się w swoim łóżu, aby następnie ubrać się z pomocą służącej i zejść na dół na kolejne nudne śniadanie, w trakcie którego Daniel von Besserer obwieści jej w końcu, za kogo postanowił ją wydać.

Kolejną zupełnie naturalną reakcją była złość. Gdy myślała o tym, jak bezlitośnie ograbiono ją ze słodkiej rutyny, wzbierała w niej wściekłość granicząca z furją. Kilkakrotnie przyłapała się już na rozmyślaniu, co zrobiłaby z osobami, które są za to odpowiedzialne – przede wszystkim z wysokim blond dominikaninem. Zwłaszcza w tych trudnych do określenia chwilach, gdy myśl ludzka błądzi pozornie bez celu i sensu, przychodziły jej natrętne myśli

o zemście. Czy nie tego wymagał honor jej rodu? Teoretycznie dobrego imienia rodziny powinni pilnować mężczyźni, ale jej bracia byli Bóg wie gdzie, o ile jeszcze żyli. Wtedy z przypominała sobie, że zemsta jest grzechem, i szybko znowa modliła się, prosząc o cierpliwość. Niestety, niewiele to dawało.

Ta emocjonalna sinusoida była być może bardziej męcząca niż sama podróż. Dlatego dziewczyna ceniła sobie wszelkie metody dystrykcji, a więc przede wszystkim rozmowy z towarzyszami. Najczęściej ciągnęła za język Euwego, który mimo napuszonych min i pozornej tajemniczości był tak naiwny, że bez najmniejszych problemów zdradzał Katarzynie mnóstwo drobnych elementów swojej wiedzy. Dziewczyna tymczasem pomalutką łączyła te strzępki informacji w jedną całość.

– Więc pan, panie Euwe, byłby zdolny do wyczyniania takich cudów jak zakonnik, przed którymi staramy się uciec?

– Hmm...? Ja? Nie, nie. Ja się zajmuję reagentyką. Nie mam w ogóle talentu do eteromancji.

– Reagentyką?

– Tak, badam reagenty i ich potencjalny wpływ na efekty eteryczne. To najbardziej powiązana z alchemią dziedzina eteromancji, wypływa prosto z *transmutatio metallorum*, i co za tym idzie, zakłada niewiele badań terenowych, a więcej siedzenia w pracowni i studiów nad naturą żywiołów.

Katarzyna zaczynała pomalutką rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi: po spełnieniu jakichś określonych warunków, które były dla niej wciąż niejasne, zakonnik – a także ona sama – mogli dokonywać aktów, które wyglądały jak czary, choć według Euwego czarami nie były. Subtelność tej różnicy również jej umykała – magia to magia. Gdy jednak próbowała uzyskać od Holendra mniej szczegółowe, a bardziej zrozumiałe informacje, nabierał wody w usta. Gdy jednak przypominała sobie historię swojego życia, wszystko zaczynało nabierać coraz większego sensu.

Najgorsze były momenty, w których czuła, że zaczyna się bać samej siebie. Od dziecka wpajano jej, że czary są dziełem szatana, że czarownicy są na wieki przeklęci, że przewidziano dla nich specjalne miejsce w piekle. Nie czuła się grzeszna ani nieczysta, raczej zagubiona. W chwilach, gdy rozważała kwestię swojego zbawienia, najgorliwiej się modliła. Nie wiedziała, czy jest złem wcielonym, ale bardzo nie chciała nim być.

Podróżni dotarli do Gemünden późnym popołudniem – niemalże o zmierzchu. Schenk, oceniając stan załogi, zasobność kompanijnej kasy oraz tempo podróży, zdecydował, że tę noc spędzą w gospodzie. Obwieszczenie tego faktu zostało przyjęte przez wszystkich chóralnym pomrukiem zadowolenia i spowodowało gwałtowne przyspieszenie kroku. Most przekroczyli bez najmniejszych



problemów – był niepilnowany. Obudziło to w młodym najemniku pewne podejrzenia, jednak się nie odezwał, gdyż wziął sobie do serca słowa Katarzyny o paranoi.

W niewielkim kilkusetosobowym miasteczku, malowniczo umiejscowionym w zakolu Menu, nad którym górował prastary zamek Scherenburg, aktualnie zajęty przez szwedzką załogę, towarzystwo spotkała niemiła niespodzianka: trwało polowanie na czarownice. Na małym placu rynkowym, pod ratuszem, zgromadziła się rozentuzjasmowana tłuszcza biednych mieszczan i okolicznych chłopów, którzy przyszli obserwować proces. Wszystko wskazywało na to, że była to spontaniczna akcja oddolna, nigdzie bowiem nie było widać przedstawiciela wyższego duchowieństwa luterańskiego. Sędziami byli najwyraźniej co bogatsi mieszczanie, rozpoznawalny po łańcuchu burmistrz oraz proboszcz, niebędący chyba nawet nikim ważnym, bo siedział z boku i nie odzywał się.

Gdy podróżni wkroczyli na rynek, natychmiast przykuli uwagę wszystkich zgromadzonych. Nie dlatego jednak, że byli uzbrojeni i obcy – najwięcej złowrogich pomruków rozległo się na widok Katarzyny, która jechała konno, co większości biedoty kazało przypuszczać, że mogła być czarownicą. Schenk natychmiast kazał jej zsiąść z konia i po chwili uwaga tłumu znów skupiła się na procesie oraz szynkarzu, który za półtorak rozsprzedawał wśród motłochu garnce piwa. Pijaństwo zagęszczało i tak ciężką atmosferę.

Trwało właśnie przesłuchanie młodego chłopaka, zgodnie z zasadami ordaliów przywiązanego do sosnowej deski. Dzieciak mógł mieć najwyżej szesnaście lat, był śmiertelnie przerażony, a jego chude ciało nosiło ślady pierwszych tortur – widocznie proces trwał już jakiś czas. Oskarżony wodził błędnymi oczami po znajomych twarzach, co chwila wznosił je do nieba, charcząc niewyraźne słowa modlitwy, a zapytany o cokolwiek przez burmistrza skwapliwie potwierdzał wszystko, o co go oskarżano. Najwyraźniej zdecydowany był zakończyć sprawę jak najszybciej, aby nie trafić znów na katowski stół. Po każdym kolejnym przyznaniu się do straszliwych czynów, jakie mu zarzucano – to jest paktów z diabłem, czarowania bydła, aby umierało, wysuszenia studni, zawalenia fragmentu muru miejskiego oraz spędzania cięż u młodych niewiast – przez tłum przechodziła fala wzburzenia, potęgowana gniewnymi okrzykami.

– Panie – szepnął Jasny do Schenka. – Niedobrze tu być w taki czas. Wiejmy co rychlej, nocleg noclegiem, ale lepiej świerknąć w igliwiu, niż iść na męki. Obcyśmy, a ludzie pijani.

Najemnik poważnie kiwnął głową. Dał znak ręką i zaczęli powoli się wycofywać. Niestety, zabrnęli trochę za daleko w tłum, który zawarł się za nimi jak żywa ściana. Im bardziej próbowali się wydostać, tym bardziej przykuwali

uwagę. W końcu Sójka i Iskra zmuszeni byli niedelikatnie użyć łokci, co sprawiło, że wokół nich rozległy się gniewne szepty:

– Kto oni?! Przyszli zakłócić proces! Może papiści albo też czarownicy!

Motłoch zaczął naciskać. Schenk i Sójka zasłonili Katarzynę. Dziewczyna prawie nic nie widziała zza ich szerokich pleców; słyszała jednak, że coraz więcej ludzi wznosi buntownicze okrzyki. Jej obrońcy zostali zmuszeni do cofania się krok po kroku, w końcu zaczęli przyciskać ją kamizelami. W ich stronę poleciał pusty garniec po piwie, a potem ogryzek jabłka.

– Kurwa. Iskra, odpalaj lonty.

Najemnik posłusznie schował się pod końskim brzuchem i zaczął krzesać ogień. Zanim jednak zdążył zapalić choćby jeden lont, tłum nagle się zatrzymał i zafalował niespokojnie.

– Ludzie! – Katarzyna usłyszała donośny głos, który wydał jej się znajomy. – W imieniu Świętego Oficjum Kościoła, w tej chwili rozejdźcie się do domów!

– Bezbożni papiści! – rozdarł się ktoś z sądzących. – Myślicie, że wolno wam ot, tak, wjechać sobie do bogoboj...

Głośny, wyraźny trzask karabinu skałkowego przerwał gniewną perorę, a motłoch wrzasnął jednym głosem i w panice ruszył do ucieczki. Mieszczanie i chłopcy pociągnęli podróżników za sobą, Iskra wpadł na Katarzynę, tak że w pierwszej chwili straciła dech i pociemniało jej w oczach. Zaraz jednak poczuła, że ktoś ciągnie ją w górę, na konia; przytomnie chwyciła puślisko i w sekundzie znalazła się na grzbiecie obok Schenka. Gdy odzyskała wzrok, w słabym świetle dogasającego dnia zobaczyła grupę dominikanów z Thalfingen, która wjechawszy na rynek z bocznej uliczki, z kopyta ruszyła w tłum, zupełnie nie przejmując się tym, że podkowy ich rumaków depczą po ludziach.

– Kompania! Pościg! W nooogiii! – wrzasnął Schenk przeraźliwie i spiął konia piętami.

Wybuchł kompletny chaos. Spanikowany tłum usiłował się wydostać z ciasnego placu, przewracając puste stragany i podwyższenie, na którym siedzieli sędziowie. Z kolei z bocznych ulic ciągnęli strażnicy miejscy i część szwedzkiej załogi zamku, oddelegowana do przywrócenia porządku. Na oczach Katarzyny plac zmienił się w szaloną plątaninę rąk, nóg, wykrzywionych strachem twarzy i załzawionych oczu. Koń szarpał i rwał, co chwila utykając w tłumie, Schenk siekł na prawo i lewo wyciągniętym nie wiadomo kiedy mieczem, starając się dosłownie wyrąbać im przejście. Dziewczyna trzymała się go z całych sił, usiłując nie spaść z siodła. Poczwała narastającą falę paniki. Kilka razy ktoś chwycił ją za nogę, ale gdy się szarpała, chwyt ustępował. Jak przez mgłę dostrzegła na drugim końcu placu Tilenheima z twarzą wykrzywioną odrazą i wściekłością, próbującego przedrzeć się przez tłuszcę.

Schenk i Katarzyna uciekli pierwsi. Mieli sporo szczęścia, ponieważ nadciągający z zamku Szwedzi akurat obok nich zdecydowali się oddać salwę do tłumu, na sekundę otwierając im drogę w boczną ulicę. Oprócz dowódcy i dziewczyny z ciżby wyszli Ingemar na siwku, Jasny na swoim mule oraz Sójka.

– Wiejcie, konno będziecie szybsi, ja zbiorę resztę! – zawołał szpakowaty najemnik. W rękach trzymał rapier i lewak splamione krwią. – Schenk, gdzie zbiórka?

– Birstein! Birstein! – zapiszczała Katarzyna zza pleców mężczyzny.

– Co?! Kurwa, czemu akurat Bir...

– Wiem, co mówię!

Schenk spojrział na plac – dominikanom udało się już zebrać w kupę i parli przez tłum w ich stronę. Nie było chwili do stracenia.

– Sójka, Birstein! Ingemar, spinaj konia i w nogi! A ty gdzie, sieroto?! – krzyknął, widząc Jasnego kierującego muła w tę samą stronę. – Twoja szkapa nie wyrobi, w galop idziemy!

Nie czekając na reakcję, odwrócił konia, znów uderzył go piętami i pognali przez ciemne miasto.

Klacz, obciążona dwiema osobami, galopowała z trudem, a mimo to wiatr świszczał w uszach. Katarzyna z całych sił trzymała się kamizeli najemnika. Za sobą słyszała regularny chód siwka Ingemara. Sądząc po odgłosach, muł Jasnego wcale nie miał problemów z nadążeniem za nimi.

Jechali dłuższą chwilę. Szybko minęli zabudowania, przekroczyli niepilnowaną bramę i ruszyli na północ. Zatrzymali się na moment dopiero na rozstajach.

– Jasny, którądy?

– W lewo!

Wjechali w lasy. Zrobiło się już zupełnie ciemno. Gdy po półgodzinie przeszli do kłusu, wszyscy odetchnęli z ulgą – żadne z nich nie mogło wygodnie galopować. W wąskiej przestrzeni między Schenkiem a łękiem siodła szybki chód był dla dziewczyny nieznośny, co chwila się zsuwała, raz musieli się zatrzymać, aby nie spadła. Całe uda i pośladki miała obolałe. Schenk też nie najlepiej zniósł jazdę, strzemiona były dla niego za krótkie, a z powodu Katarzyny nie mógł przejść w półsiad. Z kolei Ingemar nie miał siodła. Paradoksalnie najlepiej galop zniósł wzgardzony przez najemnika muł Jasnego.

Jechali gościńcem między czarnymi zarysami drzew. Dopiero gdy na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, Katarzyna poczuła, że puls się jej uspokaja. Nagle Ingemar przystanął.

– Schenk, słuchaj! Idą!

Faktycznie, za nimi rozlegał się stłumiony tętent konia w pościgu. Schenk zaklął głośno.

– Jasny, gdzie tu skręcić?

– Nie skręcimy, panie! Chyba żeby konie zostawić!

Najemnik zaklął znowu i przyśpieszył. W niemal tej samej chwili jednak zorientował się, że nie ma szansy na ucieczkę – konie były słabe, zmęczone, żaden z nich nie mógł jechać szybko, pościg zaś szedł cwałem.

– Ja pierdołę. Stójcie!

Zatrzymali się na środku drogi.

– Ingemar, ile koni?

Chwila nasłuchiwania.

– Jeden! Jeden tylko.

– Dobra. Ładuj pistolety, zastrzelimy go.

Mieli jakąś minutę. Błyskawicznie zsunęli się z końskich grzbietów i cofnęli parę kroków, żeby nie zdradził ich nagle urwany trop. Katarzyna przywiązała zwierzęta do drzewa, schowali się za pniami. Jasny ukrył się za największym dębem, jaki znalazł, i modlił się z twarzą wykrzywioną strachem. Szwed i Niemiec załadowali skałkowe pistolety.

Jeździec pojawił się po kilkudziesięciu sekundach. Na widok urywającego się śladu stanął jak wryty, ściągając cugle; koń zatańczył. Ingemar wykorzystał okazję i wypadł na drogę. Schenk chciał zrobić to samo, ale jego broń się zacięła. Szwed z kilku kroków wypalił do konnego z pistoletu. Rozległ się huk, dominikanin zachwiał się w siodle, ale nie spadł. Napastnik sapnął ze zdumienia – takiego strzału nie miał prawa wytrzymać żaden pancierz. Tymczasem zakonnik uderzył konia ostrogami i ruszył na strzelca, zamierzając go stratować. Ingemar uskoczył i z całej siły uchwycił się nogi tamtego, usiłując ściągnąć go z grzbietu. Zakonnik przez chwilę próbował sięgnąć do pasa, jednak zwierzę tańczyło i prychało, co utrudniało jeźdźcowi ruchy. Schenk w końcu odblokował wadliwy pistolet i klnąc, wyskoczył na gościniec. Dostrzegłszy go, dominikanin wyszarpnął z pochwy wąski miecz i ciął Ingemara na odlew, próbując pozbyć się natręta. Trafił w ramię. Za późno. Drugi najemnik, unikając kopyt podnieconego walką konia, strzelił mu prosto w twarz.

Zakonnik spadł z grzbietu i zawisnął z nogą w strzemieniu. Schenk szybko chwycił konia za uzdę, uspokajając rozemocjonowane zwierzę. Ingemar usiadł na ziemi, trzymając się za ramię i dysząc ciężko.

– Co z tobą?

– Przeżyję. Bierzcie tego konia i rysią, ten jechał przecież na szpicy, zaraz zjawią się następni.

– A ty?

- Idę w las.
- A siwek? – zapytała Katarzyna, wychodząc z Jasnym zza drzew.
- Pieprzyć siwka!

Nie zwlekając, dziewczyna, Szwed i Niemiec przystąpili do krótkich oględzin zabitego właśnie zakonnika. Z jego twarzy nie zostało w zasadzie nic, podobnie jak z czerepu. Zachlapany krwią kirys powleczony był białą opończą z dominikańskim, czarno-białym krzyżem. Poza nawet niezarysowanym od kuli, ale zakrwawionym kirysem, powleczonym białą opończą z dominikańskim czarno-białym krzyżem, i lamelowanymi naramiennikami nie nosił zbroi. Zabrali mu skałkowy pistolet – poza tym nie miał przy sobie nic wartościowego. Katarzyna, zdecydowana się uzbroić niezależnie od wszystkich obyczajowych przeszkód, mimo protestów Schenka odpięła trupowi pas z pochwą i zabrała zakrwawiony rapier. Ekwipunek był dla niej o wiele za duży, jednak jakoś udało jej się zaczepić go na biodrach. Chociaż broń obijała się o nogi dziewczyny, a chwilami nawet zaczepiała o ziemię, jej dotyk był dla Katarzyny przyjemny, a świadomość posiadania dawała względne poczucie siły. Na przeszukiwanie juków nie było już czasu.

Ingemar, nie zwlekając, byle jak obandażował ranę na ramieniu, pomógł Jasnemu wrzucić trupa do rowu i ruszył między drzewa, pożegnawszy resztę uniesieniem dłoni. Chłopski przewodnik wskoczył na muła, kompletnie nieprzejętego całą sytuacją, Schenk wraz z Katarzyną wsiedli zaś na karego konia zakonnika. Przymusowy postój nie trwał łącznie nawet czterech minut.

Ciepłokrwisty, czarny jak antracyt ogier okazał się istną machiną. Był doskonale odżywiony, świetnie wyszkolony i mimo podwójnego obciążenia szedł jak burza. Najemnik był absolutnie pewny, że nigdy nie jechał i prawdopodobnie nigdy już nie będzie jechać na koniu tej klasy – takie zwierzę potrafiło kosztować tyle co mała wieś. Niestety, nie sposób było wykorzystać w pełni jego możliwości. Po pierwsze, usadzona bokiem Katarzyna z najwyższym trudem trzymała się w siodle cwałującego rumaka. Po drugie, muł Jasnego nie mógł dotrzymać mu kroku. Nie minęło kilkanaście minut, wypełnionych jękiem zimnego wiatru w gałęziach drzew, gdy za nimi rozległ się miarowy tętent pogoni.

Huk kopyt narastał. Pościg minął Jasnego, nawet nie zwalniając – najwyraźniej jeźdźcom zależało tylko na dziewczynie. Holsztyński ogier miarowo wybijał cztery takty, powietrze świszczało w uszach, zakonnicy zbliżali się coraz bardziej – w czasie rzadkich rzutów oka za siebie Schenk widział już ich twarze, zacięte i zdeterminowane. Dominikanie ścigali ich zawzięcie, w całkowitej ciszy, bez żadnych komend ani okrzyków, przywołując na myśl milczące upiory. Najemnik mimowolnie przyśpieszył.

– Schenk, spadam! – zapiszczała Katarzyna.

Młodzian nie zdążył zareagować. Nagle z prawej strony oddalonego o kilkadziesiąt kroków skrzyżowania traktów wypadła grupa konnych w kłusie – tętent konia zagłuszył ją wcześniej, więc zaskoczenie było kompletne. Aby uniknąć zderzenia, najemnik gwałtownie ściągnął wodze, ogier zatańczył, ledwo trzymająca się siodła Katarzyna spadła, cudem unikając rozgniecenia kopytami, a zanim ktokolwiek zdążył otworzyć usta, rozpędzone rumaki dominikanów wpadły na nich od boku. Ostatnim widokiem, który dziewczyna zarejestrowała, była zdumiona twarz wiodącego żołnierzy kaprała, który nie spodziewał się tak niecodziennej kawalkady na ogarniętym cichą nocą gościńcu do Giessen.

– Papiści! Szwoleżery, bić! – rozległ się wysoki głos kaprała, przebijając się przez jęki pierwszych rannych, szcęk wyciąganej broni, rżenie podnieconych koni i okrzyki kawalerzystów.

Dominikanie i niezidentyfikowani żołnierze rzucili się sobie do gardeł niczym wściekłe psy.

Schenk natychmiast zeskoczył ze spanikowanego ogiera, chwycił oszołomioną Katarzynę pod pachy i wyciągnął nagle powstałego pola bitwy.

– Nic nie złamałaś?! – przekrzyczał tumult.

Katarzyna pokręciła niepewnie głową.

– To chodu! – wrzasnął.

Poderwali się na równe nogi i zaczęli uciekać między drzewa. Zabranym wcześniej miecz tylko przeszkadzał Katarzynie w biegu, więc odrzuciła go w krzaki. Zanim zdążyli się oddalić o choćby ćwierć mili, odgłosy bitwy dobiegły końca. Las był rzadki, przetykany niewielkimi sosenkami, więc szybko się zorientowali, że ktokolwiek zwycięży w potyczce, rzuci się w pościg konno.

Dopadli ich w końcu na niewielkiej polanie, zachodząc z dwóch stron. Pięciu dominikanów na ogromnych bojowych rumakach, idących równo jak na paradzie, spychało ich pod omszały głaz na środku przesieki. Wszyscy byli brudni od krwi, niektórzy ranni. Schenk schował za sobą Katarzynę i wyciągnął miecz, mocno zaciskając zęby. Po chwili zorientował się, że nie ma już gdzie się cofać. Jeźdźcy zatrzymali się jak na komendę.

– Ty jesteś Gottfried Schenk, prawda? – To był Tilenheim. Z trudem poznali go bez habitu, w zbroi, ze spoconą twarzą umazaną krwią i pyłem, pokrytą kilkudniowym zarostem.

Schenk nie uznał za stosowne odpowiadać. Dominikanin zsiadł z konia, stanął w bezpiecznej odległości kilku kroków i otarł twarz wierzchem rękawicy, jakby próbował odwlec podjęcie jakiejś decyzji.

– Sprawileś nam mnóstwo kłopotów. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak dużo. Ale dam ci szansę: odstąp dziewczynę, a puścimy cię wolno.

Schenk milczał. Katarzyna zaczęła się bać, że odda ją bez walki.

– Dlaczego miałbym? – odezwał się w końcu drżącym głosem najemnik. Mimo starań nie potrafił nad nim zapanować.

– Bo się nas boisz, słusznie zresztą – odparł bez zastanowienia Tilenheim, grzebiąc po kieszeniach, jakby czegoś szukał. – Bo jest niebezpieczna, bo jest dla ciebie ciężarem, od którego cię uwolnimy. Wiem, że obiecano wam zapłatę. Nie otrzymacie jej, ale za to ujdiesz z życiem. Będziesz mógł sobie umrzeć, jak uznasz za stosowne, albo żyć, jak podpowie ci sumienie; nie interesuje mnie to, bo nigdy się nie spotkamy.

– Co chcecie z nią zrobić?

– To już nie twoja sprawa. Ani plany, ani zamierzenia zakonu nie powinny cię interesować, jeżeli tylko masz trochę...

– Panie! Tutaj! Tu są! – Usłyszeli nagle donośny głos. To był Jasny.

Schenska nie zawiodło doświadczenie. Potyczka na skrzyżowaniu trwała zbyt krótko, aby mogła skończyć się śmiercią wszystkich zbrojnych, najemnik liczył więc na to, że chwilę po zakonnikach zjawi się pościg. Nie rozczarował się. Na polanę, przywiedziona przez niezawodnego przewodnika, wpadła grupa konnych, tych samych, którzy związali walką pościg na gościńcu, a teraz w dodatku pałających żądzą mordy. Tym razem jednak dominikanie byli przygotowani.

Rozpętało się piekło. Jeden ze szwoleżerów został dosłownie zmieciony z konia, choć nic go nie uderzyło; drugi zaczął krzyczeć w niebogłosey i z twarzą wykrzywioną w paroksyzmie cierpienia zsunął się z siodła; na trzecim ubranie stanęło w ogniu, więc również podniósł wrzask, tworząc upiorny dwugłos z poprzednim. Było ich jednak wielu. Padły strzały, jeden z zakonników dostał w ramię, zachwiał się w koniu. Zanim reszta zareagowała, starcie przeszło do etapu walki wręcz.

Tilenheim zaklął, zupełnie nie po duchownemu, i zdecydowanym krokiem, wyciągając wąski miecz, ruszył ku dziewczynie. Schenk uniósł broń. Dominikanin wypuścił z lewej dłoni jakiś proszek i mruczając coś do siebie, uderzył. Najemnik intuicyjnie uskoczył, zamiast się zastawić. Słusznie: klinga duchownego nabrała takiego rozpędu, że rozplątałaby go na pół. Schenk zaczął bać się jeszcze bardziej.

Wymienili kilka ciosów. Zakonnik był szybszy, silniejszy i wyższy od niego. Schenk miałby z nim problemy w pojedynku nawet w normalnych okolicznościach – to zaś nie była zwykła walka. Jego przeciwnik, bez przerwy mamrocząc coś pod nosem, operował ostrzem, jakby ważyło tyle co patyk i zadawał przy tym nienaturalnie silne ciosy, mogące w każdej chwili albo skruszyć klingę najemnika, albo złamać mu rękę w zastawie. Dwukrotnie w ciągu kilkunastu sekund potwornie rozpędzona klinga minęła Schenka o włos.

Najemnik kątem oka zauważył Jasnego stojącego na skraju polany.

– Ratusz dziewczynę! – wrzasnął, nacierając na Tilenheima.

Gdy skulona pod głazem, przestraszona, poobijana Katarzyna usłyszała te słowa, coś w niej pękło.

Odstąp dziewczynę, dajcie dziewczynę, co z dziewczyną, uwaga na dziewczynę, dziewczyna nie zdąży, dziewczyna nie da rady, dziewczyna to same kłopoty, dziewczyna nie musi wiedzieć, dla dziewczyny nie musi być siodła, broni, dziewczynie nie trzeba mówić, co się dzieje i dokąd jedziemy, dziewczynę trzeba ratować. Nie chciała już być ratowana. Miała dość.

Poczuła, jak wzbiera w niej furia. Taką wściekłość czuła tylko kilka razy w życiu. Popatrzyła na zniechęconego dominikanina, który kilka kroków od niej wciągnął Schenka w kolejny młynek i powoli szykował się do zakończenia pojedynku. Na plecy najemnika, który targał ją przez pół Niemiec jak worek kartofli. Przypomniał jej się Euwe ze swoimi przemądrzałymi minami i przekonaniem, że jest najważniejszym człowiekiem na świecie. Jej ojciec i bracia, przez całe życie decydujący za nią, co ma robić, jak się ubierać, jeść i myśleć.

A potem po prostu pozwoliła tej wściekłości odejść.

Wtem rozległ się potworny grzmot, który przetoczył się po lesie, podrywając do lotu stada wron. Wszystkich obecnych na polanie uderzyła masa powietrza, która rzuciła ich na kolana, plecy i boki, odbierając zmysły i przytomność. Konie stanęły dęba i uciekły.

Katarzynę obudziło miękkie, mokre ciepło na policzku. Otworzyła oczy i przekonała się, że po twarzy liże ją siwy ogierek, którego złapali za Menem. Zimnokrwiste zwierzę najwyraźniej podążało za nimi przez cały czas, nie mogąc pogodzić się z porzuceniem przy drodze. Chwyciła konia za grzywę i dała się podnieść, bo nie ufała własnym drżącym nogom.

Oświetlona księżycem i gwiazdami polana przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz. Wszędzie leżeli powaleni wybuchem zakonnicy i szwoleżerowie, przemieszani z makabrycznie okaleczonymi trupami tych, którzy zdążyli wcześniej zginąć. Kilka co wierniejszych koni kręciło się niespokojnie na skraju przesieki; wyraźnie bały się podejść bliżej do swoich jeźdźców. Katarzyna zobaczyła leżącego bez ducha Schenka. Przyklękła przy nim i uderzyła go kilka razy w policzek. Zaczął się budzić. W ręku nadal ścisnął rękojeść miecza. Rozejrzył się nieprzytomnie.

– Co się...

– Cicho. Weź Jasnego i uciekajmy jak najszybciej. Nie wiem, kiedy oni się ockną.



Oszołomiony najemnik, zrozumiawszy, że to nie jest odpowiednia chwila na zadawanie pytań, ocucił przewodnika niedelikatnym kopniakiem. Gdy ten wstał, natychmiast przeżegnał się i rzucił na kolana.

– Święta Panienko, łaskiś pełna...

– Opamiętaj się, człowieku! – rzucił poirytowany Schenk. – Bierz muła i jedziemy.

Sam wybrał jednego z koni zakonników, podobnej klasy, co poprzedniego, choć tym razem gniadego z białą strzałką. Gdy wrócił do Katarzyny, zobaczył, że ta głaszcze siwka po szyi.

– Zostaw tę chabetę i bierz któregoś z tych. – Wskazał na pozostałe konie kawaleryjskie. – Nie ma czasu.

– Nie, nie zostawimy go – odpowiedziała spokojnie Katarzyna.

Z pochwy przy pasie jednego z leżących żołnierzy wyciągnęła długi nóż. Bez słowa oberznęła nim suknię nieco powyżej kolan, odsłaniając młode, silne łydki. Najemnik i chłop patrzyli na nią oszołomieni i przerażeni.

– Czyś ty osza...

– Cicho. Pomóż mi – poleciła Schenkowi dziewczyna, stając po prawej stronie konia.

Najemnik podstawił splecione ręce. Katarzyna niezgrabnie wskoczyła na konia po męsku i ścisnęła go nieskrępowanymi już kolanami. Chwyciła srebrną grzywę.

– Jedziemy – zakomenderowała i ruszyła w stronę traktu.

Jej towarzysze posłusznie powlekli się za nią.

## ROZDZIAŁ IX

Erquicia natychmiast zorientował się, że coś jest nie tak. Oczywiście rozpoznał znajome uczucie lepkich mdłości, towarzyszące *praeciosum vocans*, jednak potem było zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Poczłł dreszcze na całym cieie, zachwiał się w siodle i rozbił na kawałki, zniknął; uszy zapchała mu przerażająca cisza i zapadł się w ciemność.

Nie miał ciała; nie miał też duszy – czuł tylko swój niejasny cień, istnienie pozbawione jakiegokolwiek sensu. Wtem oślepiło go światło i mimo że nie miał oczu, wyraźnie widział szare pole pokryte zaschniętą po zimie trawą. Choć nikt mu o tym nie powiedział, doskonale zdawał sobie sprawę, że obszar ten znajduje się na zachód od małego miasteczka Herbstein, w miejscu, w którym tysiące lat temu zamieszkał człowiek nazywający siebie Odo, od którego wziął początki ród, o którym zapomniano, a który w istocie był początkiem osiedla. Na zbitym gruncie trwała bitwa – żołnierze byli tam, chociaż ich nie było, bardziej wyczuwalni niż widoczni; powidoki istot, które dwudziestego siódmego marca tysiąc sześćset trzydziestego trzeciego roku, dokładnie za trzy dni, stracą w tym miejscu życie lub go nie stracą. Był wszystkimi tymi istotami i żadną z nich; znał historię każdego żołnierza i nie znał jej. Przed oczami przelatywały mu miliony scen z żywotów obcych mu ludzi. Było ich tak wiele, że zaczął krzyczeć, a raczej wydawało mu się, że krzyczy, bo przecież nie miał ciała. Dotarło do niego, że poza zabitymi i zabijającymi na polu jest też on i jego towarzysze, których wszystkie grzechy wtłoczono mu w jaźń na podobieństwo ciosu zadanego młotem, oraz coś jeszcze – zupełnie nieuchwytnego – coś, czego nie rozumiał, mimo że przez ten czas wizji, nieskończenie krótki i długi zarazem, pojmował przecież wszystko...

Obudził się ziemi. Klęczał nad nim jakiś człowiek, blady jak ściana, i klepał go po policzku. Za jego plecami stały konie.

– Żyjesz waść?! Obudź się!

Erquicia wymamrotał coś, obrócił się na bok i w gwałtownym spazmie wyrzygał wszystko, co miał w żołądku. Kręciło mu się w głowie, przez dłuższą chwilę nie rozumiał ani gdzie jest i co się z nim dzieje, ani – co było dla niego przerażające – kim właściwie jest. Najpierw wróciła modlitwa. Wraz ze słowami *Ojcze nasz* zjawiło się też jego miano.

Dominik Ibáñez. Przebłysk: kobieta stojąca nad kołyską, w której głowie kłębiło się pytanie, jak nazwać swoje dziecko, może Amarigo, szkoda, że jego ojciec jest taką szują, szmer bólu w podbitym oku własnej matki, następnie znów ból, głębokie, silne ukłucie w głębi czaszki, przez chwilę nic, potem: wrona.

Zwykła wrona, siedząca na rosnącej nieopodal jabłoni. Niebo upstrzone rzadkimi chmurami. Pole przy trakcie do Moguncji. Zbita, zaniedbana powierzchnia drogi. Rzeńskie marcowe powietrze. Rzeczywistość.

Zakonnik powoli podniósł się na łokciu. Herzbruder patrzył na niego z przerażeniem.

– W imię Ojca i Syna. – Przeżegnał się. – Prawie waść duszę ze mnie wypędziłeś!

– Co... co się stało? – wychrypiał dominikanin.

– Żebym to ja wiedział! Waść nagle wstrzymałeś konia i zacząłeś się trząść w siodle, jak nie przymierzając prosiak na mrozie, zacharczałeś, spadłeś na ziemię jak worek kartofli i dalej się trząsałeś... To waść mi powiedz, co się stało!

– Nie... jestem pewien. Daj mi wody.

Strzelec posłusznie podsunął towarzyszowi bukłak. Zimna woda, płynąca przez zaschnięte gardło Erquicii, wydała się mu zbawieniem, przywracała trzeźwość myślenia. Nie okłamał strzelczego: nie miał pojęcia, co się stało. Z trudem dochodził do siebie. Dotarło do niego, że to musiało być *praeciosum vocans* – nic innego.

Było to jedno z pierwszych opracowanych precyzjów o potwierdzonym i stuprocentowo pewnym działaniu. Używający go dominikanin mógł skontaktować się z każdą inną osobą, z którą związał się w dość skomplikowanym procesie alchemicznym, i przekazać jej dowolną informację na dowolną odległość. Sakramentowi wiązania, który dominikanie utrzymywali w najściślejszej tajemnicy, poddawany był każdy zakonnik awansujący w hierarchii kaznodziejów. Dzięki temu generał zakonu albo dowolny prowincjał czy ordynariusz w razie naglącej potrzeby mógł jednocześnie przekazać wszystkim innym ważne informacje. Precyzjum to stosowano rzadko i w ostateczności, ponieważ z odbiorem wiadomości wiązały się przykre dolegliwości: niektórzy, jak Erquicia, dostawali mdłości, inni mdleli, kolejni chwilowo tracili wzrok. A ponieważ nigdy nie wiadomo, w jakich okolicznościach odbiera informację drugi zakonnik, może się to skończyć różnie, także tragicznie, gdyby do transmisji doszło choćby w trakcie walki.

*Praeciosum vocans* każdy odczuwał nieco inaczej: w wypadku Erquicii było to nagłe doznanie przeświadczenia graniczącego z pewnością, tak jakby ktoś włożył mu coś do głowy. Inni odczuwali je jako grzmiący głos w głowie, kolejni – jako rodzaj snu na jawie, jeszcze inni w formie niepojętej intuicji. Wszystkie te

zjawiska spisane były w opasłym tomiszczu o wdzięcznym tytule *Essentia et phaenomena de vocantem praeciosum*, znajdującym się w zamkniętej części biblioteki zakonnej w Rzymie – Dominik znał je doskonale i z całą pewnością nie znalazłby w nim opisu tego, co właśnie przeżył.

To było coś więcej niż wizja. To była iluminacja w ostatecznej formie – informacja, którą usiłowano mu przekazać, objawiła się w całości swojej istoty, wraz z tysiącami zupełnie nieistotnych informacji pobocznych z nią związanych. Wir obrazów, dźwięków, niejasnych przeczuć i powidoków dotykał nadal szumiał mu w głowie. Wzdrygnął się. Tak czy inaczej, precyzjum zadziało: wiedział, co miał wiedzieć.

– Musimy jechać – powiedział, podnosząc się. Słabość opuszczała go z każdą chwilą. – I to szybko.

Herzbruder nie wydawał się przekonany jego ozdrowieniem. Bacznie obserwował Erquicię, gdy ten wskoczył na konia i ruszył na przełaj przez dzikie pole.

– W złą stronę waść ruszasz – odezwał się strzelec, zrównawszy się z zakonnikiem. Patrzył na niego z troską. – Trza nam na zachód, przez most.

– Nie jedziemy do Moguncji.

– Że jak?

– Nie jedziemy do Moguncji. Nastąpiła mała zmiana planów.

– A to po co ja mam z waścią jechać, jak nie do Moguncji, do zakonników, co rzekomo mi mieli jakieś rewelacje przedstawić?

– Tak czy inaczej ktoś ci rewelacje przedstawi. Tymczasem musimy jechać inną trasą. Najpierw na północ.

– Niech mnie diabli wezmą, jeśli miał kiedy bardziej płóczego towarzysza! – wybuchnął Herzbruder, aż jego koń zatańczył w miejscu. – Niech się waść zdecyduje! Raz jechać, raz nie jechać, raz czary, raz nieczary, tak do Moguncji, siak na północ, zarazy idzie dostać!

– Dostałem... wiadomość – spokojnie odparł Erquicia. – Nie pytaj jak, to skomplikowane, a ja nie mam siły ani prawa ci tego tłumaczyć. W Moguncji zastaniemy teraz co najwyżej kleryków, a nie potrzebujemy samego zakonu, tylko tego, kto w nim jest, a ten ktoś będzie na północy.

– Znowu waść bajasz – złościł się Herzbruder. – Dość mam tego, jeszcze jedna taka hucpa i obracam konia chwostem!

– To nie wiesz, że na wojnie sytuacja się zmienia?

– Wiem lepiej niż waszmość – sapnął leśniczy – i dlatego też wiem, że ktoś za nami jedzie, ot co!

– Jak to? – zaniepokoił się zakonnik, obracając konia w stronę towarzysza.

– Tak to! A dobry jest. Kiedy waść leżałeś jak długi, nie zauważył, że nagle stanęliśmy i się pokazał, na moment, ale zaraz uszedł w las popatrywać z ukrycia. I coś mi się widzi, że jak skręcimy, to i on skręci, jak amen w pacierzu. Nie dziwisz się chyba waść, że ta impreza coraz mniej mi się podoba!

– I naprawdę myślisz, że jeśli ktoś mnie śledzi, to pozwoli ci ot tak się ode mnie odłączyć i wrócić do chaty?

Herzbruder nachmurzył się – najwyraźniej o tym nie pomyślał.

– Nie podoba mi się to. Nic a nic. Jeżeli mam coś ze śledzeniem wspólnego, to to, żem śledczy, a nie śledzon. Musimy go zgubić, panie Hiszpan, albo zabić, bo ja spał z kimś za plecami nie będę!

– Co racja, to racja – mruknął w odpowiedzi zakonnik. – Najłatwiej będzie zająć go w nocy, jak będzie myślał, że popasamy... Jak wyglądał?

– A jak miał wyglądać? Co ja, sokół, że z pół mili mam ryj rozpoznać? Na czarno ubrany.

Nie wiedzieć czemu, Erquicii przypomnieli się słudzy Andreae z uniwersytetu. Jemu również sytuacja przestawała się podobać. Ale najważniejsze było to, że musiał koniecznie – koniecznie! – stawić się na polu pod Herbstein za trzy dni – i nic nie mogło go po drodze zatrzymać...

Zakonnik i strzelec, szybko ścinając pola, dotarli do traktu prowadzącego na północ. Jadąc nim, dyskutowali nerwowo na temat możliwych scenariuszy przechwycenia śledzącego ich tajemniczego jegomościa.

W mijanych wsiach patrzono na nich podejrzliwie zza płotków. Wszyscy czuli w powietrzu nadchodzący front, a oni nie wyglądali jak typowi podróżni. Mogli być szpiegami, szpiclami z podjazdu, cesarskimi albo szwedzkimi intendentami, którzy przyjechali zabrać ostatnią krowę – nikt nie miał powodu, aby im ufać, a i oni nie byli skłonni do nawiązywania jakichkolwiek kontaktów. Przemykali więc przez osiedla jak duchy.

Późnym popołudniem przebrodzili Men w Gemünden. Mieszkańcy wydawali się podnieceni. Po krótkiej indagacji na rynku jeźdźcy zorientowali się, że na wieczór zaplanowany jest sąd nad rzekomym czarownikiem. Wiedząc, jak wyglądają podobne „zabawy”, co rychlej opuścili miasto i ruszyli prosto na północ, ubitym, dobrym traktem, wyjeżdżonym przez szwedzkich poborców podatków. Zdążyli ustalić, że kiedy zatrzymają się na nocleg, postarają się zająć szpiega od tyłu – to mało finezyjne rozwiązanie wydawało się najprostsze i najszybsze, szczególnie że po historii z braćmi Reis obaj nabrali doświadczenia w skradaniu się. Tymczasem starali się wypatrzeć tajemniczego jegomościa, tak, aby nie zauważył, że są świadomi jego obecności. Prawdopodobnie gdyby zwracali równie baczną uwagę na to, co się dzieje przed nimi, nie wpadliby na patrol.

Patrol, który wjechał na dziedziniec z bocznej ścieżki prowadzącej w heski las i w ciągu kilkunastu sekund otoczył ich z hukiem kopyt i wrzaskami, zanim jeszcze dominikanin zdążył zakląć w myślach. Konie podróżnych szarpnęły się, stanęły i zanim ci zorientowali się, co się dzieje, dwóch arkebuzerów w pasiastych pludrach i granatowych kamizelach już trzymało ich wierzchowce za uzdy, a dwóch kolejnych ściągnęło jeźdźców na ziemię i odebrało im broń. Erquicia i Herzbruder stanęli przed sierżantem, najwyraźniej dowódcą podjazdu. Dominik zauważył na jego ryngrafie herb dynastii Heskiej. Pozostawało pytanie: której linii?

– Skąd i dokąd? – odezwał się oficer służbowym tonem. – Myto opłacone?

– Z Karlstadt do Fuldy... W interesach – odparł zakonnik. – Ten oto mój szurzy – wskazał ręką na strzelca – pragnie poznać swoją narzeczoną z kupieckiej rodziny...

Erquicia łągał bardziej dla sztuki, gdyż niespecjalnie liczył na to, że uda się z tego wykaraskać. Żołnierz miał wyraźny północny akcent, a więc był prawdopodobnie w służbie Wilhelma V. Gdyby pochodził z Darmstadt, zakonnik i inkwizytor w jednej osobie mógłby liczyć na minimum wyrozumiałości.

– Narzeczoną – parsknął podoficer. – Uważaj, bo uwierzę, że ta psia szczapa ma się żenić. – Zmierzył Herzbrudera pogardliwym spojrzeniem. Jeden z knechtów jak na komendę popchnął strzelca, reszta zarżała. – Myto, się pytam, czy opłacone? Podatek wojenny?

– Toż jesteśmy w Fuldzie! – sapnął z oburzeniem Herzbruder. Wyraźnie nie potrafił przyjąć stoickiej postawy towarzysza. – Jaką racją mamy płacić Hesom?!

– Fulda z łaski Jego Miłości Gustawa Adolfa, króla Szwecji, przynależy do księcia heskiego Wilhema, więc trzymaj pysk, przygłupie. Myto, rozumiem, niezapłacone. W takim razie albo płaciecie potrójnie, alboście aresztowani i porozmawiacie sobie z komendą w obozie.

Dominikanin nie miał już żadnych złudzeń. Sierżant ewidentnie liczył na łapówkę – i tylko pod tym warunkiem był gotów ich puścić. Mieli trochę gotówki, ale zdecydowanie za mało. Erquicia szybko policzył żołnierzy: dwóch, trzech, sześciu, trzynastu. Za dużo. Westchnął w duchu.

– Zapłacimy – podjął zupełnie bez przekonania ostatnią próbę. – W rezydenturze w Fuldzie...

– Zapłacicie – wydarł się podoficer, czerwieniejąc i opluwając zakonnika gęstą śliną – ale skórą na dupie, psie nasienie! Schauer, przeszukać!

Przetrzepywanie sakw nie zajęło dużo czasu – żołdacy błyskawicznie dokopali się do schowanej pieczęci inkwizytorskiej i tubusu z manuskrytem, który Erquicia wiozł ze sobą od Norymbergi.

– No to mogła – westchnął Dominik na tyle cicho, aby tylko Herzbruder go usłyszał. – Nadłożymy drogi.

– Nadłożymy drogi? Waść się módl, żeby nam tu łbów nie rozwalili – wyszeptał tamten, blady jak ściana.

– Ha! Pieczęcie! Papiery! Papistowscy szpiedzy! Już my wam damy do dupy, skurwysyny, aż iskry pójdą! Związać ich i jedziemy!

Mieli szczęście, że oddział najwyraźniej się śpieszył – żołdacy nie ciągnęli ich za końmi, tylko wsadzili ze związanymi rękami na własne wierzchowce, które prowadzili na postronkach. Szli szybkim tempem, sierżant chyba chciał dotrzeć do obozu przed nocą. Robiło się zimno. Erquicia spokojnie kontemplował sytuację, usiłując wymyślić sposób, jak mógłby się z tego wykaraskać. To, że sierżant-debil

nie rozpoznał znaku inkwizytorskiego, było szczęśliwą okolicznością, ale wystarczyłby ktoś bardziej ogarnięty, aby Dominik stanął na przedzie kolejki do katowskiej ławy. Tymczasem Herzbruder zachowywał się jak ktoś, kto jest funkcjonariuszem i wpadł w łapy innych funkcjonariuszy – czyli zupełnie nie rozumiał, co się działo.

Do obozu Hesów dotarli o zmroku. Tabor kończył się rozstawiać, wyprane namioty nie jechały jeszcze gównem i kapustą, żołnierze po zimie byli świeży, wypoczęci i chętni do walki.. Sierżanci musztrowali swoich podwładnych, podwładni grzecznie dawali się musztrować. Oddziały najemników i luźne hanzy, pouczone przez hersztów, pokornie siedziały przy ogniskach, wciąż trzeźwe, gotowe do ataku. Było to wojsko w najgorszym z perspektywy cywila stanie, wojsko karne, bitne i posłuszne, gotowe przeprowadzić każdą akcję z pełnym regulaminowej oschłości okrucieństwem. Dlatego też zresztą sierżant uczeplił się ich na gościńcu – jesienią, zbierając oszczędności na leże zimowe, zadowoliliby się byle fenigiem i puściłby ich dalej.

Aresztowanych poprowadzono do niewielkiego namiotu oficerskiego, gdzie zlustrował ich wystrojony i ufryzowany heski kapitan. Wysłuchał cierpliwie raportu sierżanta, pochwalił za czujność i nie poświęcając przybyłym ani jednego spojrzenia więcej, zakomenderował, żeby wsadzić zatrzymanych do turmy, a skonfiskowane dowody złożyć u kwatermistrza. Kopiając ich i popychając, żołnierze zabrali aresztantom wszystko, co mieli przy sobie, zostawiając tylko ubrania. Erquicia w ostatniej chwili przypomniał sobie o minerale, który otrzymał w Würzburgu, i ocalił go przed konfiskatą, ze zręcznością kieszonkowca przekładając z rąk do rąk. Nowo przybyłych, wraz z innymi zatrzymanymi, których było dopiero dwóch, wsadzono do ciasnej klatki najprawdopodobniej przeznaczonej niegdyś dla zwierząt.

Herzbruder w końcu się trochę otrząsnął. Szybko wypytał dwóch pozostałych nieszczęśników, którzy – jak się okazało – winni byli tylko tego, że stanęli na drodze kolumnie rajtarów, zbieżając na targ; w istocie nie mieli nic wspólnego ani z wojną, ani z polityką.

W tym czasie Erquicia, korzystając z ostatnich promieni światła dziennego, uważnie lustrował okolicę.

Obóz był dokładnie taki sam, jak każdy inny obóz wojskowy w czasie tej wojny – z tym, że nie tylko na pozór prezentował sobą widok wyjątkowo budujący dla zwolenników militarnej supremacji obozu północnego. Ich klatka umieszczona była niemal pośrodku, najbardziej na widoku; dokoła koncentrycznie umiejscowiono wozy i namioty, w których pokodem kładły się zmęczone ciury. Nieco dalej znajdowały się kotły, przy których właśnie wydawano żołdakom cienką zupę z twardym chlebem i kaszą, podoficerom i oficerom zaś – kawałki mięsiwa. W niewielkim oddaleniu stały namioty wyżej postawionych, w tym jeden wielki, zdobny, z heskim herbem nad wejściem – najwyraźniej goszczący głównodowodzącego.

– Panie Hiszpan – przemówił cicho Herzbruder. – W co myśmy się wpakowali? Co robimy?

– Uciekamy, oczywiście – wyszeptał spokojnie dominikanin. – Jak wiesz, mam pewne możliwości. Poczekamy, aż wszyscy posną, otworzę klatkę, znajdziemy swoje rzeczy i po prostu wyjedziemy. O ile nie wezmą nas wcześniej na przesłuchania...

– A jak wezmą?

– To trzymaj pysk, choćby ci pięty przypiekali, bo jeśli bąkniesz chociaż słowo o tym, co wiesz, to czeka cię dużo gorszy los. Dam ci znak, teraz odpocznij.

Herzbruder zbladł. Przeżegnał się i usiadł w kącie klatki. Erquicia nadal uważnie obserwował obóz. Udało mu się zlokalizować lokal kwatermistrzowski, gdzie musiały znajdować się ich rzeczy. Z końmi należało się pożegnać i brać jakiegokolwiek. Trzeba będzie zabrać komuś broń. Ale najważniejsze były oczywiście sakwojaż i tubus, może pieczęć, ale w gruncie rzeczy pal lichy pieczęć, dadzą mu nową...

Nie umknęło mu zamieszanie przy wielkim namiocie. Najpierw bardzo zaaferowany kapitan, który wcześniej ich zamknął, poprowadził do niego „ich” sierżanta. Następnie wyszedł i przyprowadził z kolei bogato ubranego jegomościa w szmelcowanej zbroi z ornamentami, najwyraźniej kogoś wysoko postawionego. Weszli do namiotu, ale wyszedł tylko ten szmelcowany – wraz z szalenie eleganckim arystokratą, ubranym po cywilnemu, choć na cywila nie wyglądał. Zerkali w stronę klatki, rozmawiając cicho. Erquicia momentalnie się spocił. Coś było nie tak – i chyba wiedział co.



Ten ubrany po cywilnemu skinął ręką na strażników z halabardami i w czterech podeszli do prowizorycznego więzienia.

– Hej! Których to zaaresztowano dzisiaj na gościńcu do Fuldy? – zapytał ten w szmelcowanej zbroi.

Dwaj obszarpani chłopci-zawalidrogci natychmiast wskazali palcami na zakonnika i strzelca. Strażnicy wywlekli ich z klatki i zaprowadzili do wielkiego namiotu. Szlachcice postępowali parę kroków za nimi.

Namiot w istocie wyglądał po królewsku. Poza ogromnym sztabowym stołem, na którym leżały mapy i książki, stało tu rozkładane łóżko, kilka pomniejszych przenośnych mebli i okazały stojak na srebrną, rytowaną zbroję zawieszoną wraz z kilkoma fragmentami bogato zdobionego pancerza.

Cywil kolejnym gestem wskazał miejsce pośrodku namiotu, gdzie strażnicy rzucili aresztantów na kolana, i stanął przed nimi w asyście szmelcowanego, trzymającego się dwa kroki z tyłu.

Patrzył na nich wysoki, nieco szpakowaty brunet około trzydziestki. Pociągłą twarz okalały ufryzowane loki do ramion i modna hiszpańska bródka z zakręconym do góry wąsem. Szerokie oczy znamionowały inteligencję, a wielki, rzymski nos – szlachetne pochodzenie. Jego ubiór zdradzał pochodzenie z najwyższych sfer – czarne, jedwabne pludry i kamizela przetykane były srebrem. Srebrne były też klamerki jego wysoko zapinanych butów.

– Wiecie, kim jestem?

– Na pewno nie papieżem – odparł bezczelnie Herzbruder, najwyraźniej odzyskawszy już zupełnie rezon. Jak spodziewał się Erquicia, dostał drzewcem halabardy w kręgosłup, jęknął i umilkł.

– Moje imię to Wilhelm, a pochodzę z dynastii heskiej. I tak się składa, mości panowie, że jestem z Bożej łaski władcą ziem, na których się właśnie znaleźliście. Otóż okazuje się, że moi sierżanci mówią o was niespotykane cuda: że jeden gada z hiszpańskim akcentem, a drugi jakby się urwał z najgorszej wiochy. Że z południa na północ, że w kieszeniach przedmioty nad wyraz podejrzane i godne zbadania, w tubusie papiery, a więc szpiegostwo, a przecież wiem, że ta chabeta von Tilly ruszył dwa dni temu spod Heidelbergu, więc wszystko składa się w nad wyraz interesującą całość, nie sądzicie?

Żaden z aresztowanych nie uznał za stosowne odpowiedzieć na tak retoryczne pytanie.

– Papiery okazały się nie żadnymi rozkazami ani planami – snuł swoją wypowiedź Wilhelm Heski, popisując się wyjątkową swadą i łatwością w doborze słów – ale aramejskim manuskrytem, którego sam, nie zamierzam kłamać, poszukiwałem, nad wyraz podejrzane przedmioty zaś imponującą kolekcją reagentów, które potrzebne są do inkantowania maleficioń. Ba! Mało

togo! W sakwach odnaleziono również glejt cesarski, uprawniający niejakiego Hidalga de Composito... to, jak mniemam, fałszywe nazwisko... do niezakłóconego przejazdu przez ziemie cesarskie, a także pieczęć, którą nietrudno było zidentyfikować jako pieczęć Świętego Oficjum. Z kolei przy drugim koniu nie znaleziono absolutnie nic poza jednym złotym florenem, strzelbą i paroma zgniłymi jabłkami, którymi właściciel najwyraźniej karmił to godne pożałowania i litości zwierzę. Wszystko wobec tego wskazuje, że jesteście jakimś bardzo interesującym towarzystwem, mości panowie, i chętnie posłucham teraz waszych wyjaśnień – zakończył, siadając na obitym aksamitem krześle, stojącym w rogu namiotu.

Milczeli. Landgrafowi udało się sformułować monolog tak, że aż zrobiło im się trochę głupio, że ma ich za tak „interesujące towarzystwo”, chociaż nie było po temu żadnych powodów. W związku z tym cisza zaczynała się niepokojąco przeciągać.

– Jak tam sobie chcecie. Co do ciebie, Hiszpanie, nie znam twojego miana, ale wiem dobrze, kim jesteś. Paru twoich braci bardzo mi się przysłużyło, zdradzając mi swoje sztuczki, nie do końca z własnej woli, a nawet bardzo wbrew własnej woli, ale jednak. Generale Geysa!

Szmalcowany zasalutował.

– Weźcie tego tu jegomościa i sześciu najlepszych żołnierzy. Wsadźcie go związanego do osobnej klatki albo przywiążcie do deski i niech pilnują go bez przerwy, tak, aby na sekundę nawet nie został sam. Ręce ma mieć skrępowane przed sobą i cały czas widoczne. Gdyby coś kombinował, dać mu po łbie. Nie karmić, nie pić, nie rozmawiać. Jutro się nim zajmę.

– Wedle rozkazu. Co z tym drugim?

Książę zmierzył Herzbrudera obojętnym spojrzeniem.

– Do klatki. Rano powiesić.

Herzbruder cicho wiznął, a następnie splunął na rozłożony w namiocie dywan.

– O jaśnie oświeconym wielem dobrego słyszał, żeś książę udzielny i prawy, a chrobry, ale widać tchórz i skurwysyn z każdego z tytułem w końcu wylezie.

Landgraf nie zwrócił na jego wypowiedź najmniejszej uwagi, machnął ręką i już prowadzono ich pod ramiona na zewnątrz. Strażnicy nie omieszkali wykonać rozkazów władcy co do joty – po dziesięciu minutach Erquicia siedział w osobnej klatce na świnie związany jak świnia właśnie, nie mogąc ruszyć nawet palcem. W trakcie krępowania, bynajmniej nie delikatnego, stracił resztki stoickiego spokoju, który dotąd prezentował. Burzyła się w nim zimna furia. Nie potrafił ani pogрузić się w modlitwie ani przemyśleć swojego położenia na spokojnie. Starł się sięgnąć rękami do czegokolwiek, co mogłoby służyć za

katalizator do rozniesienia strażników na strzępy – niestety, związali go aż za dobrze. Z bezsilnej wściekłości stracił resztki panowania nad sobą i zaczął próbować używać precyzjów bez katalizatorów, co oczywiście nie przynosiło skutku, a nawet pogarszało sytuację, bo denerwował się jeszcze bardziej.

Zaczął się uspokajać dopiero po ładnych parunastu minutach. Było mu wstyd tego ataku gniewu, ale nie miał czasu na skruchę. Musiał szybko wymyślić, jak się wydostać z klatki. Wiedział już, że będzie to nad wyraz trudne.

Herzbruder siedział o paręnaście kroków dalej, poza kręgiem światła z łuczyw strażników, którzy co chwila obrzucali go baczными spojrzeniami. W końcu dotarło do niego, że jedyne, co mógł zrobić w tej sytuacji, to się uspokoić i czekać na jej rozwój. Nie mogli go tu trzymać wiecznie, w końcu musiała się nadarzyć okazja do ucieczki. Po godzinie udało mu się nawet trochę przysnąć. Wiedział, że potrzebuje sił, ale budził go każdy szmer, a w dodatku co chwila zalewała go fala gorącego upokorzenia połączonego z wściekłością. W związku z tym przegapił moment, w którym ubrany w skromne szaty mężczyzna po raz pierwszy wyłonił się z mroku i błyskawicznym, precyzyjnym jak brzytwa *praeciosum sapiens* zdjął pierwszego strażnika. Zobaczył tylko, jak kolejni strażnicy przewracają się, mdleją, padają w drgawkach i zaczynają się dusić, ewidentnie pod wpływem znanych mu i nieznanym precyzjów. Po chwili było już po wszystkim, a sprawca całego zamieszania z niesłabnącą dokładnością i w absolutnej ciszy otwierał klatkę dominikanina.

– Kim jesteś? – zapytał Erquicia szeptem, wdzięczny Bogu i nieznanemu za ratunek.

– Dobrym duchem, powiedzmy. Kryształ masz? – odpowiedział pytaniem tamten, rozcinając więzy zakonika.

– Co? Jaki kryształ? – zapytał nieprzytomnie Hiszpan, bo zielonkawa bryłka w ogóle nie kojarzyła mu się z kryształem.

– Wiridium. Zielony kryształ, który dostałeś od profesora. Masz?

– Mam...

– No to pilnuj go jak oka w głowie i jak najszybciej uciekaj do Moguncji. Masz dotrzeć do Moguncji, rozumiesz?

Oszołomiony dominikanin pokiwał tylko głową.

– No to już, zmywaj się stąd.

– Ty nas śledziłeś, prawda?

– Oczywiście, że ja. A teraz już cię tu nie ma, to ważne! – pół krzyknął, pół szepnął nieznanemu, wyszedł z klatki i zniknął w mroku jak cień.

Erquicii nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wytarabanił się z ciasnego więzienia i rzucił w stronę, po której, jak pamiętał, znajdował się las, a więc najlepsze schronienie. Zatrzymał się jednak. Przypomniał sobie o Herzbruderze.

Szkoda mu się zrobiło leśniczego, nie powinien go zostawiać, szczególnie że coś mu obiecał. Cofnął się więc.

Bez problemów podkradł się do klatki, w której siedział strzelec. Była o wiele słabiej pilnowana niż ta, w której sam do niedawna siedział. Obszarpańcy z gościńca spali, Herzbruder nie. Przytomnie siedząc cicho, patrzył na Erquicię wielkimi oczami. Zakonnik zaczął szukać naokoło jakiegokolwiek kawałka stali, żeby rzucić precyzjum otwierające. Niestety, żadnego nie znalazł. Usiłował skorzystać z urwanej sprzączki od buta, ale najwyraźniej była żelazna. Podobnie jak sama krata. Wściekły, mamrotał słowa precyzjum, usiłując w pustych, przeszukanych kieszeniach znaleźć cokolwiek stalowego.

– *Aet patakh... Aet patakh... Aet patakh*, do cholery, *aet patakh...*

Gdy dotknął zielonej bryłki minerału, którą tajemniczy wyzwoliciel nazwał wiridium, zamek niespodziewanie nie tyle się otworzył, ile eksplodował. Ostre odłamki metalu sypnęły z przeraźliwym trzaskiem na wszystkie strony. Skaleczyły twarz i lewą rękę Erquicii, uderzyły też w Herzbrudera, szczęśliwie ustawionego bokiem. Większość rozgrzanego metalu poleciała na obszarpańców, którzy momentalnie się obudzili i zaczęli wrzeszczeć w niebogłosy.

– Aaaaa! Aaaaaaaaaaaaa! – rzeźił jeden.

– Straaaaaaż! Ratunkuuuuu! Mordująąąą! – wrzasnął drugi, najwyraźniej przekonany, że bolesne skaleczenia są skutkiem czyjegoś celowego działania.

Dominikanin nie miał czasu na myślenie, co właściwie się stało.

– Chodu, Herzbruder!

Rzucili się do panicznej ucieczki, nie starając się zachować ciszy, gdyż hałas i tak zaczynał wzmacniać się coraz bardziej – z każdej strony biegli ku nim zaalarmowani rumorem żołnierze, zewsząd rozlegały się ostrzegawcze wrzaski: „Alaaaarm! Alaaarm! Ataaak!”.

Zakonnik i strzelec pędzili w stronę lasu, potykając się. Po twarzy Erquicii ciekła krew. Dominik szybko połączył fakty i gdy zbliżyli się do wozów taboru, ścisnął w rękę wiridium i krzyknął słowo inicjujące *praeciosum incendens*. Efekt przerósł jego najśmielsze oczekiwania: cztery najbliższe wozy natychmiast zajęły się gigantycznymi płomieniami, fala gorąca aż osmaliła uciekinierom włosy. Przebiegli między nimi, zostawiając za sobą ścianę ognia.

Gdy byli już na samym skraju lasu, zakonnik poczuł nagle, jak coś z ogromną siłą odrywa go od ziemi i unosi na wysokość domu, gdzie, zszokowany, zastygł, nie mogąc ruszyć nawet palcem. Herzbruder stanął jak wryty, zaskoczony, nie wiedząc, co robić. Erquicia chciał krzyknąć, aby uciekał, ale nie mógł wydobyć głosu. Wtem coś z równie wielką siłą rzuciło go z powrotem na ziemię. Łupnął w zbitą ściółkę plecami, aż stracił dech w piersiach. Gdy go odzyskał i podniósł się na kolana, byli już otoczeni.

Między żołnierzami przecisnął się wściekły nie na żarty książę Wilhelm, w narzuconym na nocną koszulę oficerskim płaszczu.

– *Okiab'a!* – warknął.

Zakonnik jeszcze raz upadł na ziemię. Zdjął go taki paroksyzm bólu, jakiego nigdy w życiu wcześniej nie czuł. Miał wrażenie, że w jego ciało uderza jednocześnie kilkaset kijów. Wszystkie mięśnie momentalnie napięły się jak postronki, a nerwy zdawały się wrzeszczeć.

Wrażenie ustało tak szybko, jak się pojawiło. Po twarzy Erquicii ciekły łzy. Gdy przejrzał na oczy, zobaczył, że książę uważnie się przygląda trzymanemu przez dwóch żołdaków Herzbruderowi. W świetle łuczyw i pochodni twarze obu mężczyzn wydawały się upiorne. Za landgrafem stanął bardzo wysoki, bardzo chudy i bardzo przejęty blondyn, którego Erquicia wcześniej nie widział.

– Wasza książęca mość, co się stało?

– Wyobraź sobie, Mylius, że ten tutaj przybłąda nie reaguje na maleficia.

– Jak to: nie reaguje?

– Nie reaguje. Potraktowałem ich biczem i nawet nie drgnął.

– Nie wydaje mi się, aby...

– Nie jest możliwe, ale jednak się dzieje. Spróbuj sam.

Wysoki z powątpiewaniem sięgnął do sakwy i wydobył stamtąd wielkie pawie pióro. Jeśli Erquicia miał wątpliwą nadzieję, że wszystko, co nastąpiło na skraju lasu do tej pory, mu się przywidziało, to teraz nie mógł mieć już żadnych wątpliwości: blondyn usiłował rzucić na Herzbrudera *praeciosum sopiens*. Hesi władali precyzjami. Zakonnikowi włos zjeżył się na karku. Więc nie tylko Szwedzi...

– *Hlm. Hlm. Hlm. Hlm...* – mamrotał Mylius. – No faktycznie, nie działa – stwierdził, bezradnie opuszczając ręce.

– Ja wiem, że nie działa, alchemiku. Powiedz mi lepiej, jak to możliwe? Ty, brudasie, jakim cudem jesteś odporny na maleficia?

Herzbruder popatrzył na niego z nienawiścią. Na szyi miał głębokie rozcięcie po wybuchu zamka, włosy zmierzwione, przypalone wąsy – wyglądał makabrycznie

– A bodajbyś pękł, skurwysynu! Chuje złamane! Książęta! Zbóje, nie książęta! Najgorsza kurwa nie plunęłaby nawet na wasz widok, najgłupszy błazen w cielej skórze nie przystanąłby nad waszym ścierwem!

Książę westchnął i niemalże niezauważalnie skinął palcem. Herzbruder dostał w łeb od jednego z trzymających go knechtów i zawisł w ich ramionach.

Landgraf podszedł do Erquicii. Znów dał znak i kolejni gwardziści podnieśli go brutalnie na nogi. Książę zajrzał zakonnikowi głęboko w oczy.

– Chyba zaszło pewne nieporozumienie i wzięliście mnie za pospolitego idiotę, który lubi grzać dupą krzesło w sali tronowej. Otóż, mości zakonniku, tak nie

jest. Nie wiem, kim dokładnie jesteś ty i twój wsiowy towarzysz, ale wyciągnę to z was, mogę ci to zagwarantować. Tymczasem... Mylius! Jesteś za nich odpowiedzialny osobiście. Weź tylu ludzi, ilu potrzebujesz. Gdzie jest Geyso? A, tu. Ustal, jakim cudem uciekli, to ma się nie powtórzyć. Roześlij patrole po okolicznych drogach, może ktoś mu pomagał. A teraz ruchy, jutro ruszamy do Isenburga. – Obrócił się na pięcie i odszedł.

Zanim na Erquicię rzucili się knechci, ten zdążył ukradkiem wyrzucić z kieszeni wiridium. Zieloną bryłkę wdeptał w darń jeden z heskich piechurów. Przepadła na wieki w gęstym lesie.

## ROZDZIAŁ X

Dopiero po paru milach Schenk odważył się odezwać do Katarzyny.

- I co teraz? – wykrztusił.
- Jesteśmy umówieni z resztą kompanii w Birstein, prawda?
- No tak, ale...
- Ale co? Jasny, dobrze jedziemy?
- Dobrze, jaśnie panienko, dobrze.
- No to nie ma o czym gadać.

Posłusznie zamilkli. Robiło się jasno. Nad sosnowym zagajnikiem, przez który jechali, słońce wschodziło szybko niczym rosnący płomień w kominku, dzięki czemu przestali

się trząść z zimna. Na gałązkach drzew i budzących się do życia krzaczkach szron zamienił się w rosę, a konie zaczęły raźniej przebierać nogami, jakby się spodziewały, że niedługo zostaną nakarmione.

– Co jest w Birstein? – zapytał znowu najemnik, absolutnie nie mogąc przejść do porządku dziennego nad tym, że utracił kontrolę nad sytuacją.

– To... skomplikowane.

– Jeżeli chcesz, żebym tam pojechał, będziesz musiała to wyjaśnić. Dopiero co o mały włos nie wymordowali nas czarujący zakonnicy, więc nie dziwisz się chyba, że trochę martwię się o...

– Dobra, dobra, już, rozumiem – przerwała mu chmurnie Katarzyna. Na nagich łydkach, wyzierających spod obciętej sukni, czuła, jak pracują mięśnie siwka. Ten ruch działał na nią kojąco. – Kojarzysz księstwa Isenburga?

– Wiem, że takie są...

– Powstały za Konrada II, kiedy, według legendy, dwaj bracia, Gerlach i Reinbold, zbudowali zamek właśnie w Isenburgu. Udało im się zdobyć trochę ziemi to tu, to tam, trochę w Nadrenii, trochę w Hesji, trochę w Turyngii. Nie zasypiali gruszek w popiele i szybko dorobili się mnóstwa potomstwa. Księstwo dzieliło się i dzieliło w nieskończoność wraz z pojawianiem się kolejnych synów: na Bramberg, Neumagen, Wied, Grenzau, Covern, Limburg, Arnsfeld... Sytuacji nie poprawiał fakt, że Isenburgowie żenili się w kółko z okolicznymi rodami: Falkenrodami, Hanauami, Offenbachami, Solmsami, Bentheimami, Regenburgami et caetera, więc ziemie przechodziły z rąk do rąk czasem w jednym pokoleniu... Cóż, takie czasy. Legenda głosi zresztą, że najmniejsze

księstwo Isenburga było tak ciasne, że strzała wystrzelona na jednym końcu przekraczała granicę z drugiej strony. W końcu, tuż przed wojną, największym spłachetkiem pozostałych ziem rządził stary Wolfgang Ernest. Kiedy przyszło co do czego i trzeba było zdecydować, przyjął wiarę Lutra, co niespecjalnie spodobało się jego dorosłym synom. Wybuchła mała wojenka, wskutek której princ senior paru swoich kuzynów skrócił o głowy i wchłonął ich księstwo, ostatecznie jednak synowie zmusili go, żeby oddał władzę w ich ręce. Wolfgang Ernest podzielił tę małą resztkę ziem między tych, którzy zostali, bo część z nich zginęła w służbie to cesarskiej, to protestanckiej, i powstały księstwa Isenburg-Budingen, Isenburg-Birstein i Isenburg-Offenbach, do tego jest jeszcze oczywiście górny, nadreński Isenburg, ale to inna linia...

Schenka aż świerbiło, żeby zapytać, co to wszystko ma do rzeczy, ale nie chciał przerywać – nadal odczuwał w stosunku do Katarzyny bojaźliwy respekt po tym, co zrobiła w nocy w lesie.

– Siedzi teraz w Birstein, dokąd zmierzamy, i szykuje się do umierania, a rządzi jego syn z pierwszego małżeństwa, Wilhelm Otto. I tutaj docieramy do istoty sprawy: otóż Wilhelm Otto jest synem Anny Katarzyny von Gleichen-Remda, która z kolei jest siostrą grafa Remdy, Jana, ojca Joachima Jakuba von Gleichen, zabitego zresztą w pojedynku przez hrabiego von Brandsteina, niech mu ziemia lekką będzie, którego żoną była Katarzyna von Plasse, siostra Elżbiety, a więc mojej matki. Co za tym idzie, jesteśmy dość blisko spowinowaceni.

– Chyba sobie, kurwa, żartujesz. Widziałaś kiedyś chociaż tego... Wiliama, czy jak mu tam, na oczy?!

– Nie, nigdy.

– No to skąd wiesz, że cię po prostu nie popędzi jak psa?

– Chyba nie rozumiesz, czym są dla książąt Rzeszy więzy krwi. Mogą się mordować, zdradzać, zabijać, ganiać po całych Niemczech, być różnych wiar i obyczajów, ale to nadal arystokracja, a istotą arystokracji jest właśnie krew. Gwarantuję ci, że zostajemy dobrze przyjęci. Zresztą nic dziwnego, ścigają nas papiści, tak? No to Isenburgowie pomogą się ich pozbyć. Siostra Wilhelma, Anna Amalia, jest żoną Arnolda von Bentheim-Teckelen... Tecklen... aaa, już nie pamiętam, tak czy inaczej grafa Bentheim, który służy jako generał major w armii Wilhelma Heskiego, a z kolei jego brat, Wolfgang, zginął pod mostem Nassau w bitwie przeciw katolikom. Na pewno nie przepadają za katolikami.

– Czy na pewno jakiś książę z Wygwizdowa Dolnego...

– Są spokrewnieni z dynastią orańską. To książęta pełnej krwi, z drzewem dynastycznym sięgającym Barbarossy, a nie jakieś przybłędy – fuknęła, nie dając mu dokończyć pytania.



– Ale dlaczego właściwie nie skierowałaś nas tam wcześniej?

Katarzyna nie miała najmniejszej ochoty mówić Schenkowi, że plan zjawienia się w Birstein kwitł w niej mniej więcej od Nördlingen, kiedy zdecydowała, że musi się go jakoś pozbyć. Zwłaszcza że teraz nie była już taka pewna, czy w istocie jest to jej pragnieniem: przekonywania Euwego były może głupawe, ale wyglądało na to, że w Lejdzie faktycznie mogli jej udzielić odpowiedzi na kilka pytań. A po tej nocy miała ich więcej niż dotychczas. Tak czy inaczej, Birstein mogło być chwilowo bezpiecznym schronieniem. I jedynym dworem tak daleko na północ, z którym rzeczywiście była w jakikolwiek sposób związana – Besererowie żenili się głównie w Szwabii, czasem w Turyngii.

– Zapomniałam – mruknęła wymijająco. – Jasny, daleko to jeszcze?

– Niedaleko, jaśnie panienko, za tym wzgórzem już będzie widać Birstein. Ale mi pani napędziła takiego stracha w nocy, że nie był pewien, czy w ogóle gdziekolwiek dojedziemy... Co właściwie panienka...

– Ale dojechalśmy. Skończ – ucięła. – Nie mogę się tak pokazać na zamku. Schenk, masz jakieś pieniądze?

– Trochę jeszcze mam. Ale jeżeli nie chcesz wzbudzić sensacji zaraz za bramą miasta, to przede wszystkim nie możesz tam wjechać w ten sposób...

Uwaga była słuszna. O ile bowiem utyłany i osmalony strój Schenka oraz brudna chłopska sukmana z postrzępionymi czerwonymi wstążkami mogły uchodzić za stroje podróżne w czasie wojny, o tyle jej obszarpana i obcięta sukienka zdecydowanie nie. Dlatego gdy tylko minęli wzniesienie, za którym w istocie ukazało się miasteczko Birstein, urokliwie rozlane niezbyt rozległą i niską zabudową u podnóża wzgórza zamkowego, na którym wznosiła się jedna z rodowych siedzib Isenburgów, zsiadli z koni i ruszyli piechotą. Po przejściu pozostałej mili Schenk i Katarzyna zatrzymali się na skraju lasu, a Jasny z gotówką poleciał kupić jakąkolwiek suknię dla Katarzyny. Czekaając, aż chłop wróci, milczeli. On bał się pytać, jej nie chciało się opowiadać.

Jasny powrócił z prostą cotardie z zielonego sukna, prawdopodobnie uznając, że jest to strój wielkiej damy – ale za to nie tylko nie dał się oskubać, a nawet przyniósł resztę. Szlachcianka zażądała rozłożenia namiotu, aby mogła się przebrać, ale namiotu nie mieli. Nastąpił kilkunastuminutowy impas, w trakcie którego Schenk się pieklił, a dziewczyna kategorycznie odmawiała przebierania się bez ukrycia. W końcu doszli do konsensusu: panowie odjechali kawałek, Katarzyna zaś, skryta między drzewami, włożyła nowe ubranie.

– No dobra, to teraz chodźmy po prawdziwe zakupy – zarządziła rześko.

Wjechali do miasta, w którym trwało poruszenie. Przewodnik wyjaśnił:

– Gadał że z przekupami. Jakiś książę ma zawitać dziś do miasta, ale jaki, to nie wiem. A i to pomnym: gdzie książę na wiosnę, tam i wojna, więc ludziska

szykują się na wojnę.

Faktycznie, gwar się brał głównie z tego, że mieszczanie na gwałt wykupowali zawartość straganów, strażnicy miejscy zaś biegali w tę i w tę z zaafetowanymi minami, na ramionach dzierżąc halabardy, a w rękach międląc rulony z rozkazami. W takich warunkach podróżni bez problemów wtapiali się w tłum.

Schenk zwrócił się do Katarzyny:

– Jak się chcesz dostać do zamku?

– Najpierw potrzebuję nowej sukni. Znajdźmy szybko tanią krawcową. Muszę się też uczesać, więc pokój w gospodzie. Ty znajdź jakiś sposób na przekazanie pozostałym, gdzie jesteśmy, bo dotrą tu później niż my, nie mieli koni. No już, ruchy – zakomenderowała, jakby poprzedniej nocy przypomniała sobie, że jest arystokratką, względnie dotarło do niej, jak bardzo bezbronni są wobec niej otaczający ją mężczyźni.

Przygotowania zajęły kilka godzin. Krawcowa, na szczęście, miała w miarę ładną i tanią suknię, która wymagała tylko kilku poprawek. Pokój w gospodzie również się znalazł, więc Katarzyna umyła twarz i ręce, a także uczesała się zgodnie z południową modą, układając pukle po bokach głowy. Z tak ułożonymi włosami i w taftowej, błękitnej sukni wyglądała bardzo ładnie. Również Schenk i Jasny doprowadzili się do porządku.

Szlachcianka zlustrowała ich krytycznym spojrzeniem.

– No dobra. Przydałby się jeszcze ekwipaż...

Najemnik zgrzytnął zębami.

– Właśnie wydałaś prawie wszystkie nasze pieniądze – zauważył.

– Nie ma co mitrężyć. Jedźmy.

Wsiadła po damsku na zdobycznego konia, który zaparskał, zdziwiony niewielkim ciężarem. Mężczyźni wzięli siwka i osła na postronki i całą ekipą ruszyli długą, krętą, ciągnącą się przez całe miasto drogą do bramy zamkowej, osadzonej między dwoma skrzydłami. Twierdza Birstein była niewielka, ale ładnie położona i gustowna, w dodatku zbudowana w widłach rzeki, więc trudna do zdobycia mimo średniowiecznego rodowodu i wysokiej, bezwartościowej w obliczu współczesnej artylerii bryły. Zgodnie z przewidywaniami Katarzyny, widząc szlachciankę na rasowym koniu, strażnicy nawet ich nie zatrzymali – od razu otworzyli bramę. Gdy podróżni zatrzymali się na dziedzińcu, przywitał ich majordom i zaprosił Katarzynę do środka. Popatrzył krytycznie na jej towarzyszy.

– Mości Schenk to moja eskorta i uda się ze mną. Jasny z pewnością poszuka sobie miejsca w stajniach, prawda, Jasny?

– Się wie! – zawołał wesoło chłop i pociągnął zwierzęta w stronę widocznych nieopodal zabudowań. Dla niego rozkaz ten oznaczał chętnie do flirtów stajenne i miękką słomę do spania.

Majordom kręcił nosem na Schenka, ale wprowadził oboje do bocznej sali, gdzie już czekał na nich zawiadomiony nie wiadomo jakim sposobem szambelan księcia, młody, szeroki w barach szlachcic z puciołowatą twarzą i czernionymi brwiami.

– Wielmożna pani, nazywam się Mathias Libich i jestem szambelanem jego książęcej mości Wilhelma Ottona, pana na Birstein. Czy mogę zapytać o miano wielmożnej?

Katarzyna grzecznie dygnęła.

– Nazywam się Katarzyna Tesalia von Besserer zu Thalfingen, jestem grafianką na Thalfingen w Szwabii.

Następnie przystąpili do przydługiego uzgadniania, kim też niezapowiedziana gościni jest, polegającego głównie na przerzucaniu się kolejnymi pociotkami Jego Książęcej Mości. W końcu szambelan, najwyraźniej ukontentowany stopniem pokrewieństwa Katarzyny z rodziną panującą, uprzejmie podsumował rozmowę:

– Jestem niemalże pewien, że jego wysokość przyjmie grafiankę. Czy zaanonsować?

– Poproszę, dziękuję.

– Tymczasem – szambelan pstryknął palcami, do sali jak duch wsunął się lokaj – pozostawiam wielmożną w troskliwych rękach. Helmut! Wina dla państwa!

Służący przyniósł trunek w kilka minut. Czekając, Katarzyna i Schenk popijali wino i oglądali pomieszczenie. Była to boczna sala myśliwska, w której – poza stołem i krzesłami – umiejscowione były dziesiątki trofeów: poroża, skóry, a nawet wypchany w całości wilk. Uprzejmy lokaj poinformował ich, że pomieszczenie to jest wielką dumą rodu – nazwa „Birstein” pochodziła podobno od jakiejś zapomnianej już formuły związanej z polowaniem. Nudzili się, popijając wino i oglądając poroża jelenków i łosi.

– Co teraz? – zapytał Schenk.

– Teraz czekamy na audiencję u księcia. Jeżeli uzna, że ma ochotę nas gościć, to ugości.

– A uzna?

– Najprawdopodobniej tak. Słyszałeś szambelana.

– Jakoś mu nie ufam.

– Byłeś w ogóle kiedyś na jakimś zamku?

– Byłem, na waszym!

– Pytam o salony, a nie stajnie.

– No to nie.

– No to nie przeszkadzaj.

Po pół godziny przyszedł do nich spotkany wcześniej na dziedzińcu majordom.

– Księżę oczekuje wielmożnej pani w przedsionku – poinformował, kłaniając się dwornie. – Dla pana zaś w kuchni przygotowano strawę.

– Co? Nie, idę z nią...

– Proszona jest tylko wielmożna pani.

– Spokojnie, żołnierzu – ucięła Katarzyna, wydymając usta. – Znajdę cię po audiencji. Prowadźcie, majordomie.

Nie zwracając uwagi na oszołomionego Schenka, sługa poprowadził Katarzynę przez dzieciniec do przedsionka. Pod tą nazwą kryła się wielka sala wejściowa, zastawiona po bokach zdobionymi zbrojami, obwieszona rodowymi proporcami, z wielkim portretem Wolfganga Ernesta na wprost wejścia i schodami prowadzącymi na piętro zamku. Na nich właśnie oczekiwał jej księżę – mężczyzna w sile wieku, ubrany niezbyt modnie, ale za to zdobnie, z przyprószonymi pudrem, utrefionymi w loki włosami. Stał kilka schodków poniżej połowy schodów, co ją w gruncie rzeczy zdziwiło – nie spodziewała się tyłu ceregieli w związku ze swoim przybyciem. Nie byłaby zaskoczona, gdyby stał na samym szczycie. Szambelan i dwóch innych szlachciców, pewnie kanclerzy, zajęło miejsca u podstawy stopni.

– Jaśnie wielmożna panna Katarzyna Tesalia von Besserer zu Thalfingen, pani na Thalfingen.

„Pani na Thalfingen”. Gdy kłaniała się grzecznie u dołu schodów, przeszedł jej po plecach dreszcz zaniepokojenia – wieści szybko biegały po ogarniętym wojną kraju. Zgodnie z protokołem rozpoczęła powolną wspinaczkę po schodach, aż stanęła stopień niżej niż księżę. Z bliska wyglądał młodziej – może dlatego, że z daleka łatwiej było dostrzec lekko przygarbioną lekko sylwetkę, która go postarzała.

– Jest nam niezmiernie miło przywitać na Birstein ukochaną kuzynkę. Liczę, że będziesz miała udany pobyt, moja droga. Z południa kraju doszły nas tragiczne wieści. Płakałem szczerze po grafie Danielu i nadal nie mogę przeboleć tej straty. – Księżę, choć przyjął familiarny ton, łągał gładko. O śmierci jej ojca poinformował go szambelan piętnaście minut wcześniej, była tego pewna. Zresztą trudno było się temu dziwić, wszak nie była to informacja o przełomowym znaczeniu politycznym. – W czym mogą panie być pomocni księżęta Birstein?

– Jedynie gościna, wasza książęca mość. – Katarzyna dygnęła. – Jestem w drodze do Rehlinger, do rodziny mojej świętej pamięci matki, która to rodzina z pewnością udzieli mi schronienia w tych trudnych czasach. Przejeżdżając w pobliżu, pomyślałam, że odwiedzę kuzynów i pomodłę się o zdrowie księcia seniora. Szczególnie że w tumultie w Gemünden straciliśmy ekwipaż... – Dość długo myślała nad tą wymówką i teraz kłamała równie gładko co książę.

– Mój ojciec w istocie niedomaga. Nie jest już młody. Proszę jednak pannę, aby pozwoliła się panna oprowadzić po zamku. Nie rozmawiajmy na schodach.

Podał Katarzynie rękę, którą uprzejmie przyjęła. Weszli na piętro, gdzie zaczęli przechodzić po kolei przez sale: bawialną, jadalną, reprezentacyjną, portretową i tak dalej. Katarzyna nie zwracała wielkiej uwagi na wnętrza, chociaż były o wiele piękniejsze niż te, które знаła z Thalfingen.

– Jeżeli chodzi o gościnę – podjął książę – udzielię jej z chęcią. Niestety, nie mam raczej wolnego ekwipażu, jestem jednak pewien, że ktoś w mieście zechce odstąpić swój po okazyjnej cenie.

Co za skąpiradło! – pomyślała Katarzyna.

– Mamy natomiast wiele wolnych sal, w których możesz pozostać tak długo, jak zechcesz.

– Obawiam się, że nie będzie to długo, wasza książęca mość. Pilno nam w dalszą drogę. Mnie i mojej eskorcie.

– To mądre, zapewnić sobie eskortę w tak niepewnych czasach. Niepocieszony jednak jestem, że zostaniesz u nas krótko; wielce jestem rad z twojej wizyty. Mam nadzieję, że możesz chociaż uświetnić swoją obecnością dzisiejszą uroczystą kolację. Otóż do Birstein przybywa po południu książę heski Wilhelm. Pojawi się tu, aby odebrać komendę nad dwoma tysiącami pieszych, których przeznaczam jako kontyngent do walki z obozem papistowskim. Chciałbym go podjąć jak najlepiej i pewien jestem, że też będzie rad z twojej obecności.

– Oczywiście, to zaproszenie jest dla mnie zaszczytem. Ale wasza książęca mość ma chyba zbyt wysokie mniemanie o moim pochodzeniu i mojej etykietce... Czy wasza książęca mość spodziewa się, że niedługo ci żołnierze będą potrzebni?

– Och, żołnierze na wojnie zawsze są potrzebni. Nie zaprzataj sobie głowy polityką. Mam jednak pytanie: ile osób liczy twoja eskorta?

– Sześciu ludzi. Najemników.

– To całkiem silny oddział. Hm, wobec tego... Być może to Boża opatrność nam Cię zesłała. Otóż większość moich wojsk wyrusza za chwilę na wojnę, a sam potrzebuję eskorty... a raczej nie ja, lecz moja dworzanka. Mój ukochany marszałek von Barby ma córkę w twoim wieku, która została ostatnio zaproszona

na dwór w Zweibrücken. Być może zechciałabyś podróżować wraz z nią, skoro i tak droga twoja wiedzie do Lotaryngii? Podróż będzie miłsza dla was obu, a pozostawiając ją w rękach twoich żołnierzy czułbym się uspokojony.

Katarzyna zmieszała się. Intencje księcia były jasne: chciał się pozbyć dziewczyny z dworu, ale nie zamierzał płacić za jej podróż, postanowił więc wykorzystać nadarzącą się okazję. Kłopot w tym, że grafianka nie zamierzała nawet zbliżyć się do Lotaryngii, a drogi do Holandii i do Dwóch Mostów nie pokrywały się nawet przez milę. W tej sytuacji nie miała jednak innego wyjścia, jak się zgodzić, chociażby pozornie.

– Doskonale! – Księżę aż klasnął w dłonie. – Poinformuj zatem mojego kanclerza o czasie wyjazdu, a on wszystko zaaranżuje. Tymczasem ponawiam zaproszenie na ucztę, zaczyna się o zmierzchu w sali portretowej. Gospodarz idealnie zsynchronizował czas przechadzki, bo właśnie znaleźli się na schodach parterowych, u podstawy których czekał już na nią lokaj. – Wielcem rad z tej rozmowy.

– Za pozwoleniem waszej księżęcej mości... Upraszam o pozwolenie, aby mój strażnik mógł mi towarzyszyć w trakcie pobytu w zamku.

– Ależ moja droga! Tutaj nic ci przecież nie grozi.

– Ani mi przez myśl nie przeszło wątpić w opiekę waszej księżęcej mości. Jednak od czasów Thalfigen czuję się nieswojo, gdy nie mam go przy sobie. Damska zachcianka... Jestem pewna, że nie sprawi kłopotów.

– Hmm... Czy jest szlachcicem?

– Nieee... do końca. Nieślubnym. Ale ma wyśmienite maniery.

– W normalnych okolicznościach zapewne bym się zgodził, ale wobec wizyty księcia... Hmm... Czy upewnisz się, że nie będzie z nikim rozmawiał?

– Jak najbardziej. Posłucha rozkazu.

– W takim razie zgoda. – Powinowaty łaskawie skinął jej głową.

Audiencja była skończona. Katarzyna dygnęła i zeszła po schodach, odprowadzana wzrokiem przez suwerena. Lokaj natychmiast zaprowadził ją do dwóch komnat, które miała zająć. Zażyczyła sobie mówić z Schenkiem. Znalazienie go zajęło im raptem parę minut. Najemnik nadszedł trochę chmurny. Zostawiono ich samych.

– Jak audiencja? – zagadnął.

– W porządku. Mówiłam ci: możemy siedzieć jak długo chcemy. Ale nietaktem byłoby korzystać z gościny dłużej niż tydzień. Co z kompanią? – zapytała, zerkając z ciekawością w polerowaną miedź lustra. Dawno nie widziała samej siebie. Niestety, zwierciadło było kiepskie – niewiele dało się w nim dostrzec. Była tylko jasną plamą, przedziwnym rozmyciem, niekonkretnym i nieukształtowanym.

– Opłaciłem żebraka, żeby stał przy bramie, a także kapitana straży zamkowej. Dadzą nam znać.

– Myślisz, że tu dotrą?

– Nie wiem. W każdym razie nie powinniśmy tu siedzieć zbyt długo. W nocy nie było przymrozka, czyli armie są już na nogach.

– Dzisiaj Wilhelm Heski odbierze od księcia dwa tysiące pieszych.

– Tym bardziej nie powinniśmy robić dłuższych przystanków. Jasny ma rację: gdzie księżę, tam wojna. Musimy szybko ruszyć na północ, zanim utkniemy między młotem a kowadłem, szczególnie że po pierwszej bitwie na drogach zaroi się od dezerterów, maruderów i zwykłych złodziei. A nas jest coraz mniej, nie robimy się też mniej zmęczeni.

– Dobrze. W takim razie dam księciu znać, że wyjeżdżamy najpóźniej pojutrze.

Na razie nie uznała za stosowne wspominać mu o księżęcej prośbie.

Schenk stanął obok zdobionego, wyłożonego barwionym aksamitem krzesła.

– Mogę na tym usiąść? – zapytał.

– Do tego służy. – Odwróciła się do okna.

Usiadł. Zmęczenie robiło swoje. Nie spali od prawie doby. Przez chwilę panowało milczenie.

– Słuchaj... – odezwał się w końcu. – Tam, w nocy, w lesie... Co to było? Przestaję cokolwiek z tego wszystkiego rozumieć i wcale mi się to nie podoba.

Milczała.

– Zaczynam się zastanawiać, czy cała ta sprawa nas nie przerasta. Nas, to znaczy kompanii, a nie ciebie. Ci zakonnicy... Nie wiem, jak Tilenheim to robił, ale nie miałem z nim najmniejszych szans. Był jednocześnie nadludzko szybki i nadludzko silny. To jest niemożliwe, to po prostu czary. Niewiele pojąłem z twoich rozmów z Niderlandczykiem, tylko tyle, że masz jakieś... umiejętności... To mogłoby się przydać. Gdybyś powiedziała – zakończył kulawo.

Czekał chwilę, ale nie uzyskał odpowiedzi.

– Kiedy byliśmy w Thalfingen – ciągnął dalej – gadaliśmy z różnymi ludźmi, okolicznymi chłopami, stajennymi... Słyszeliśmy różne plotki... O tym, że dziedziczka jest przeklęta... Pewnie bym nie wierzył, ale widziałem na tej wojnie różne rzeczy. Ludzi pogryzionych przez wilkołaki... Porwanych przez wiły. Kiedyś nocowaliśmy w lesie, w którym chyba była strzyga... Nawet sobie nie wyobrażasz... Rozumiem, że to wszystko jest jakoś powiązane, ale nie wiem jak. Pomóż mi trochę, bo inaczej nie gwarantuję, że doprowadzę cię do Lejdy.

– Co chciałbyś wiedzieć? – zapytała po chwili milczenia, wciąż patrząc za okno. Widok nie był zbyt ciekawy, ot, jesiony zaczynały kwitnąć.

– Jakim cudem robicie te wszystkie rzeczy? Wybuchy bez ognia, podpalanie ludzi, tworzenie mgły, broń lekka jak piórko... To rzeczywiście czary?

– Nie mam pojęcia. Ani czy to są czary, ani jak to... robimy – odpowiedziała. – Coś tam powiedział mi Euwe. Z tego, co rozumiałam, od jakiegoś czasu niektórzy ludzie... potrafią różne rzeczy, i do tego potrzebne są jakieś przedmioty, słowa... Ale nie wiem jakie. Nie znam natury tych zjawisk. W lesie to zadziało samo. Nie panowałam nad tym.

– Oni panują.

– I to bardzo dobrze. Dlatego nawet chcę już jechać do tej Lejdy, żeby cokolwiek zrozumieć, nauczyć się. Przekonać, czy jestem przeklęta.

– I myślisz, że tam ci to powiedzą?

– Nie wiem. – Ramiona opadły jej bezradnie.

– No dobra. Skoro tego nie kontrolujesz, to nie ma co liczyć, że w razie czego nam pomożesz?

– Nie... Nie wiem. Chyba nie. Nie pojmuję, od czego to zależy.

– A czego chcą od ciebie ci wszyscy ludzie? Holendrzy, papieści, Szwedzi?

– Też nie wiem. Najpierw, kiedy przyjechali, myślałam, że chodzi o ojca, o zamek... Dopiero ty mi powiedziałaś, że przyjechali po mnie. Euwe mówił, że w Lejdzie chcą mnie uczyć, ale nie wiem, czemu akurat mnie. Szwedzi niby przywieźli propozycję mariażu, ale to też chyba było kłamstwo. A jedyne, co przychodzi mi do głowy w temacie papistów, to że chcą mnie oddać inkwizycji i spalić na stosie.

– W nocy miałem wrażenie, że Tilenheim nie chce zrobić ci krzywdy.

– Nie wiem. Wiem, że na pewno nie chcę wpaść w ich ręce. Już wolę Lejdę.

– No dobra... A co z tymi plotkami? Naprawdę słyszałem niestworzone rzeczy...

Znów milczała na chwilę. Rzuciła jedno jedyne spojrzenie za plecy, na najemnika, którego twarz zdawała się wyrażać głównie zatroskanie, i odwróciła się z powrotem do okna.

– To było w listopadzie zeszłego roku. Było strasznie zimno – mówiła sucho, beznamiętnie. – Codziennie wieczorem trzeba było zamykać stajnię, żeby konie nie przemarzły. Miałam swoją ukochaną klacz, Strzałkę... Była już bardzo stara. Nie lubiła, kiedy ją zamykano, wołała na noc zostawać przy koniowiązie. Taki miała kaprys. Mieliśmy parobka, który bez przerwy lał ją batem. Za każdą głupotę, nawet jeśli po prostu się ociągała. Ona naprawdę była stara, zaczynała mieć kłopoty z chodzeniem, a on bił ją bez przerwy... Mówiłam mu sto razy, żeby przestał, ale nie słuchał, bał się ojca, a nie mnie, a ojciec rzadko był w pobliżu. Któregoś dnia Strzałka nie chciała wejść do stajni. Zaczął tłuc ją na oślep, po chrapach, po głowie... Rzuciłam się na niego i szarpałam, ale tylko się



zaśmiała. „Zobaczy jasnie panienska”, mówił. „Już ja tę durną chabetę nauczę, panienska ma za dobre serce dla koni”. Byłam zupełnie bezradna, a Strzałka tylko rżała cicho... I nagle poczułam wściekłość, taką, jakiej nigdy w życiu... Następne, co pamiętam, to że leżę na ziemi, z każdej strony zbiegają się ludzie, naokoło piekło. Strzałka stała nade mną, zbryzgana krwią... I wtedy zauważyłam, że też jestem cała we krwi. Okazało się, że parobek... po prostu wybuchł. Tak samo dwie chłopki, bogu ducha winne, które właśnie były w stajni, i muszkietier, który akurat przechodził. Cztery osoby. Tylko mi nic się nie stało, no i Strzałce. Jakby tego było mało, budynek stanął w ogniu... Nie wiem, czy zwróciłaś uwagę, że stajnia to była jedyna nowa rzecz w Thalfingen... Konie w popłochu, wszyscy biegali, wokół płomienie... Podniósł mnie ojciec, z takim wyrazem twarzy, jakiego nigdy u niego nie widziałam. Był przerażony. Nie wiedział, co robić. Kazał mnie umyć i położyć do łóżka. Do dzisiaj śni mi się to po nocach.

– I nadal nie wiesz, co się wtedy stało?

– Nie mam pojęcia. Ojciec zakazał o tym rozmawiać; wiedział, co się stanie, jeżeli plotka wydostanie się z zamku, chociaż oczywiście i tak się wydostała. Sprowadził kilku lekarzy i nawet pastora, ale nic nie pomogli. A ja muszę z tym żyć. Z tymi czterema ludźmi.

– Nie wiem, czy cię to pocieszy... Zabiłem w życiu przynajmniej dwudziestu.

– W walce. To co innego. A ja tamte osoby po prostu... pękłam. Jak rybie pęcherze. Na strzepy. Dwie zwykłe dziewczyny i dobry żołnierz, no i ten parobek... który też nie był przecież złym człowiekiem.

– To wszystko rzeczywiście brzmi bardzo dziwnie – odpowiedział bezradnie Schenk.

– Gdyby to było wszystko... Przypominasz sobie, jak ci mówiłam, że sama nauczyłam się czytać? Nie tylko. Ja pamiętam prawie wszystko, co przeczytałam. Słowo w słowo. To dlatego tak dobrze znam genealogię, heraldykę. Tylko czasem coś mi umyka, ale rzadko. Poza tym zawsze trafiam z broni. Zawsze. Jeśli tylko cel jest w zasięgu. I inne takie.

– Inne takie?

– No, na przykład nigdy nie musiałam się uczyć prąść ani haftować. Po prostu to robiłam. Od razu doskonale, lepiej od swoich nauczycielek. Zauważyłam, że to działa przy czynnościach, które normalnie wymagają koncentracji. Jakbym mogła się oddać czemuś w całości na zawołanie. Zsoczewkować na tym wszystkie zmysły i po prostu zrobić. Nie wiem, jak to ująć.

– Może lepiej nie ujmuj – odpowiedział. Żałował, że zaczął tę rozmowę.

– Może. Od dawna się zastanawiam, co jest nie tak. Czemu nie jestem zwykłą. Długo myślałam, że po prostu mam szczęście do wszystkiego, później, że jestem

skażona, przeklęta, popsuta. Ale jeżeli ja jestem skażona i przeklęta, a ludzie, którzy mają być święci, zachowują się tak, jak zachowują... to nie wiem, czy to źle. Nic już nie wiem. I chcę tylko, żeby coś się wyjaśniło.

Odwróciła się. Zaskoczyła go. Był pewny, że zobaczy drobną twarz zasunętą pajęczyną śladów po łzach, wykrzywioną przerażeniem – nic podobnego. Była spokojna jak głąz. Trochę się wystraszył.

– No cóż, więc zabierzmy cię do Lejdy – stwierdził i aż się skrzywił, jak źle to zabrzmiało. – Musimy odpocząć. Przespać się.

Gdy tylko to powiedział, do Katarzyny dotarło, jak bardzo jest zmęczona.

– Tak, to prawda – przytaknęła. – W sąsiedniej komnacie jest łóżko. Położę się tam.

– Ja prześpię się na krześle. Przywykłem. A to najwygodniejsze krzesło, na jakim siedziałem.

Uśmiechnęła się blado i skierowała do drugiego pokoju.

– Daj znać, jeżeli pojawi się ktoś z naszych.

– Dobrze. Katarzyno? – zwrócił się do niej, gdy już zamykała drzwi. – Co się stało ze Strzałką?

– Zdechła tej zimy. Ze starości. Do zobaczenia.

\*

Nie było dane im pospać długo, ale wystarczająco, żeby odzyskać chociaż trochę sił po szaleńczej ucieczce. Liczyli na to, że nadrobią tę stratę w nocy. Sił dodało im też co innego: gdy się obudzili, okazało się, że pozostałości ich gorzkowoślej kompanii dotarły na miejsce. Sójka, Ingemar z ręką w prowizorycznym temblaku, Hans, dwa młode ciury i Euwe.

– Niewiele mamy do opowiadania – rzekł szpakowaty najemnik. – W mieście schowaliśmy się między budynkami, zakonnicy nie mieli czasu nas szukać, przebili się przez rynek i zaczęli się tłuc ze Szwedami. Szybko odstąpili i polecili za wami. Ingemara zgarnęliśmy tuż pod Birstein, na gościńcu.

Gdy zapytali o Iskrę, Sójka pokręcił głową.

– W tłumie dostał w łeb cepem bojowym. Nie było czego zbierać.

– A nie mówiłem! – odezwał się na to z zachwytem Jasny, ale reszta spiorunowała go wzrokiem.

Euwego wproszono na ucztę niemalże siłą, nie fatygując już księcia, ale poprzez negocjacje z szambelanem Libichem. Reszta kompanii ulokowała się w kwaterach dla służby, gdzie czuli się jak u siebie w domu, i natychmiast poszli spać. Potem przybył książę Hesji, co umknęło uwadze trojga zaproszonych, gdyż byli zajęci szykowaniem się na przyjęcie. Schenk dostał nowe ubranie, szlachecki

strój z pludrami i dubletem, który krępował mu ruchy i odbierał resztki pewności siebie w tych przytłaczających przepychem wnętrzach, ale z drugiej strony napawał dumą i sprawiał, że najemnik puszył się jak paw, podobnie zresztą jak każdy człowiek z ryzstoka przebrany za hrabiego. Katarzynie wymieniła suknię na bardziej odpowiadającą okazji, błękitną, z wąskim stanem i szeroką spódnicą. Przebrani i ufryzowani, dołączyli do gości w sali portretowej. Katarzyna nie do końca wiedziała, czego się spodziewać. Wiedziała, że księstwa centralnych Niemiec często najbardziej cierpiały z powodu wojen, bo na ich terytoriach zwykle dochodziło do bitew i przemarszów pustoszących wszystko wojsk; liczyła się więc z tym, że uczta będzie raczej skromna. Grubo się omyliła. Nie wzięła bowiem pod uwagę tego, że dotychczas brała udział w trochę innych imprezach.

Uczty w zamczku w Thalfingen były zwykle familiarne – zapraszano głównie katolicką linię Bessererów z pobliskiego Ulm, czasem odleglejsze rody. Kilka razy zdarzyło jej się skorzystać z zaproszenia w drugą stronę i wtedy odkrywała, że na Bessererach świat się nie kończy, krewniacy z miasta byli bowiem bardziej światowi i często zapraszali znamienitych gości. Z kolei tylko raz była na prawdziwym książęcym przyjęciu, w zamku w Sigmaringen, gdy ksiązę Jan Hohenzollern rozważał jej starszą siostrę jako kandydatkę na żonę dla jego syna, Meinrada. Wtedy jednak gościli tam głównie starsi panowie i młode damy, oceniane przez tych pierwszych z dyktowanym doświadczeniem znawstwem, a tylko jeden ksiązę. Tutaj zaś wylądowała przy stole z aż czterema.

Słowo „ksiązę” mogło w Rzeszy z równym prawdopodobieństwem znaczyć bardzo dużo albo bardzo mało. Dlatego najwyższe kręgi arystokracji niemieckiej, czyli książąt elektorów, nazywano po prostu elektorami, aby oddać ich szczególną rangę w strukturze Cesarstwa – mieli oni wyłączny przywilej głosowania przy wyborze króla Niemiec. Poniżej wszystko się gmatwało, jak tylko mogło. Teoretycznie bowiem kolejnym w hierarchii był ksiązę Rzeszy, który miał prawo reprezentacji w sejmie Rzeszę i rządził własnym państwem. Ale sytuacja ulegała komplikacji, gdy okazywało się, że: po pierwsze, nie wszyscy książęta Rzeszy mieli własne państwa, po drugie, nie wszyscy książęta z własnymi państwami byli książętami Rzeszy. Jakby to nie wystarczało, nie wszyscy książęta Rzeszy byli książętami Rzeszy, ponieważ niektórzy nosili dumne miana landgrafów i przysługiwały im zarówno tytuł książęcy, jak i miejsce w Reichstagu, jednak teoretycznie stali nieco niżej w hierarchii. Wreszcie, niektórym grafom – takim jak ojciec Katarzyny – na papierze też przypadła tytuł księcia, podobnie jak biskupom czy wybranym hrabiom z zasłużonych rodów.

Mało tego, w praktyce okazywało się często, że ksiązę księciu nierówny w jeszcze innym tego słowa znaczeniu, a mianowicie w związku z realną siłą.

Książę Wilhelm Otto teoretycznie był księciem Rzeszy dokładnie tak samo jak książę Brunszwiku, jednak podczas gdy powinowaty Katarzyny mógł wystawić dwa tysiące żołnierzy, jego brunszwicki odpowiednik operował dziesięciokrotnie większą armią. Miał też wielokrotnie większe i mniej rozczłonkowane władztwo. Z kolei książę Hesji, teoretycznie landgraf – a więc osoba stojąca w hierarchii niżej od nich – w praktyce przewyższał siłą i pozycją jednego i drugiego.

Konsekwencje tych tytułarnych zawilóści były zasadnicze. Po pierwsze, polityka Cesarstwa zawsze przypominała jeden wielki kocioł pełen niesnasek, swarów, nieporozumień, sporów i zadawnionych wendet. Po drugie, panował w niej niesłychanie rozbudowany, upstrzony najróżniejszymi pułapkami ceremoniał, na szczęście zazwyczaj dla wygody uchylany albo i zupełnie zarzucany. Po trzecie, Katarzynie, mimo że była grafianką, nie dane było dotychczas uczestniczyć w takiej uczcie, jaka właśnie miała się rozpocząć w zamku Birstein.

Wilhelm Heski, choć postawny i przystojny, zrobił na Katarzynie wrażenie dumnego i aroganckiego, choćby za sprawą jego stosunku do właściciela zamku, do którego zwracał się z wyraźną wyższością, podszytą w dodatku wyrachowaniem. Wraz z gospodarzem siedzieli u szczytu stołu. Po ich prawicy zasiadała księżna pani i najważniejsi dworzanie, po lewicy zaś – sztab landgrafa. U przeciwległego szczytu znalazło się miejsce dla seniora, który w istocie niedomagał – mało jadł, bez pomocy podczaszego w ogóle nie trafiał z jedzeniem do ust, a jeśli się odzywał, to tylko bełkotliwie i bez sensu. Schenka ustawiono pod ścianą, wśród strażników z halabardami. W środkowej części stołu, gdzie trafiła Katarzyna, zasiadła szeroka rzesza dwórek, dworzan, urzędników, pułkowników i najróżniejszych innych ważnych ludzi, wśród których dziewczyna natychmiast poczuła się mała i niezbyt istotna. Mimo że strzygła uszami, niewiele słyszała z rozmów książąt – ginęły wśród ogólnego gwaru. Dopiero gdy wniesiono zastawione jedzeniem półmiski, a błazen w cielej skórze przestał przygrywać na fletach, udało jej się uchwycić strzępy tego, co mówili dwaj Wilhelmowie. Nawet wtedy jednak trudno jej było się skupić, ponieważ chwilę wcześniej, zaraz po wejściu do wielkiej, ozdobionej portretami nieskończonych rzesz książąt Isenburga sali, przedstawiono jej przyszłą towarzyszkę podróży, Blanche fleur von Barby. Katarzyna zupełnie zapomniała o złożonej księciu fałszywej obietnicy, nie zdążyła więc zastanowić się, co zrobić z tym kłopotliwym faktem.

Blanche fleur von Barby była jedynie rok starsza od Katarzyny. I najwyraźniej na tym podobieństwa się kończyły, dziewczyna bowiem wydawała się burzową chmurą, która sieje chaos i zniszczenie wszędzie, gdzie tylko zawita, ale po to tylko, by zaraz przyciągnąć słońce. Drobną sylwetką, czerwoną suknią, włosy tak

jasne, że prawie białe, wyraźnie niepodlegające prawom grzebienia i spinki – tyle tylko zdążyła zauważyć Katarzyna, zanim zalała ją rzeka słów.

– Jaśnie pani! Nawet pani nie wie, jak się cieszę, że się pani zgodziła wziąć mnie ze sobą. Otóż, proszę sobie wyobrazić, ojciec mój ośmielił się zasugerować księciu, że ten mógłby przydzielić mi jakąś eskortę na czas podróży do Zweibrücken, a książe się nachmurzył i w takie słowa: „Jaśnie Panie von Barby!”... On zawsze, jak się nachmurza, to zaczyna z takiego wysokiego konia, wie pani... „Toż teraz pora zwierania szyków!”. – Tutaj dziewczyna zaczęła, całkiem udanie, imitować ceremonialne namaszczenie księcia. – „Ostateczna rozprawa z papistami zbliża się krokami wielkimi!”. I tak dalej i tak dalej... No to co mój ojciec mógł zrobić? I byliśmy w kropce, bo sama nie pojedę, fronty ruszają, droga daleka, a to przecież niesamowicie miłe ze strony jaśnie oświeconego księcia Jana Kazimierza, że zaprosił mnie do siebie na dwór; co prawda to trudny dwór, bo przecież Król Zimowy i nie wiadomo, czy cesarz się nie zeźli, ale z drugiej strony bezpieczniej tam i bardziej światowo, bo Wittelsbachowie są spokrewnieni z Wazami! Podobno raz gościli samego Gustawa Adolfa! Aż nagle książe posłał po ojca i co się okazuje? Że jego ukochana kuzynka akurat zmierza w tamte strony! Nawet nie wiesz, pani, jak się ucieszyłam, bo to znaczy przecież, że nie tylko bezpieczniej, ale też weselej, bo we dwie zawsze weselej. Kazałam natychmiast przygotować ekwipaż, bo i wieści o pani przygodzie dotarły do mnie, więc ekwipaż już mamy, tylko zebrać eskortę i wio! Do Zweibrücken! Och! Pułkownik Falkenbrod! Dzień dobry jaśnie panu! Jak się jaśnie pan bawi? Czy poznał pan już moją ukochaną protektorę, Katarzynę von Besserer?

Potok słów Blanchefleur nie ustawał w zasadzie ani na chwilę, czy to w trakcie poprzedzających ucztę prezentacji, czy to podczas jedzenia, utrudniając Katarzynie choćby minimalne skupienie. Szybko zorientowała się jednak, że nie wszystko, co mówi młoda dwórką, jest zupełnie nieistotne. Dziewczyna wydawała się doskonale orientować w realiach dworskich i znać osobiście niemalże każdego zasiadającego przy stole, a jednocześnie nie umiała trzymać języka za zębami. W efekcie Katarzyna dowiedziała się na przykład, że podczaszy starego księcia nie jest po prostu podczaszym – jest też jego dozorcą, który ma pilnować, aby princ senior nie wymyślił czegoś, co mogłoby popsuć zabawę... albo rządy książęcych synów. Uzyskała też informację, kim są dwaj towarzyszący księciu Heskemu ponurzy jegomościowie, jeden bardzo wysoki, bardzo szczupły i bardzo blady, a drugi w szmelcowanej, imponującej zbroi. Byli to Mylius, najbliższy zaufany księcia i jego nadworny alchemik, a także minnesänger oraz Johann, hrabia von Geysso, głównodowodzący sił heskich, szkolony podobno w Holandii pod okiem samych Maurycego Orańskiego

i Simona Stevina. To pozwoliło podpowiedzieć Euwemu, siedzącemu kilka krzeseł dalej, że zapewne mają z generałem wspólnych znajomych, co z kolei zaowocowało wciągnięciem środkowej części stołu do rozmowy.

Dyskusja szybko zaczęła dotyczyć głównie sytuacji geopolitycznej Holandii. Katarzyna przysłuchiwała jej się z uwagą. Zanim jednak zdążyła dowiedzieć się czegoś interesującego, panowie stwierdzili, że temat musi z pewnością nudzić panie, i zmienili go na bardziej neutralny, czyli mariaże, śmierci i inne sprawy dynastyczne. W końcu ktoś poruszył wątek sądów nad czarownicami, zjawisk w Niemczech powszechnych. Zastanawiano się, na ile różne sposoby rozpoznawania magików są skuteczne.

– Och, to nie jest wcale takie proste – mądrzył się Wilhelm Heski, podkreślając zawadiackie wąsy. – Żeby daleko nie szukać, ten tu obecny Mylius, zwykły, oddany Bogu alchemik, potrafi wyczyniać sztuki, które, gdyby nie wykształcenie i bojaźń boża, łatwo byłoby wziąć za czary. Tymczasem są one najzupełniej naturalne!

– Na przykład jakie? – zainteresował się jeden z generałów gospodarza.

– Och, najróżniejsze. Mylius potrafi, na przykład, tkać mgłę z wody! Widzicie, waszmościowie, gdy wodę podgrzać, zmienia się w dym, prawda? Dzięki sztuce alchemicznej Mylius potrafi robić to na zawołanie.

– Och! Musimy to zobaczyć, koniecznie! Mości Myliusie, proszę nie dać się prosić! Koniecznie!

Alchemik wydawał się bardzo niezadowolony i zmieszany, patrzył w swój talerz, grzebał widelcem w jedzeniu. Po chwili zerknął na swojego władcę, który dał mu wyraźny znak. Mylius wstał, popatrując na swojego seniora z niesmakiem i jakby wyrzutem, następnie mruknął coś pod nosem i wetknął palec do podstawionego mu ochoczo kielicha z wodą. Z naczynia zaczął wydobywać się gęsty, srebrnawy opar. Katarzynie sekundę zajęło uświadomienie sobie, że już kiedyś widziała taką mgłę. Zanim zdążyła zareagować, wszyscy zaczęli klaskać. Na twarzach zebranych pojawiły się rozmaite reakcje, od uprzejmego zainteresowania przez entuzjizm po czysty zachwyt. Mylius skłonił się sztywno. Zadowolony z popisu księżę patrzył na alchemika jak na wierne zwierzątko, które właśnie zrobiło sztuczkę.

Mgła zbierała się nad gośćmi, tworząc niewielkie chmurki. Szczególnie upodobała sobie przestrzeń nad głową jednej z podstarzałych dwórek księżnej małżonki. Szybko jednak zaczęła się przesuwać w stronę Katarzyny. Po chwili wszystkie jej strzępy znalazły się nad głową dziewczyny. Mgła poruszała się, wibrowała i kłębiła, coraz gęstsza, kilka cali nad jasnymi włosami. Znów rozległy się oklaski – uznano sztuczkę za wdzięczny sposób na zaznaczenie sympatii alchemika do powinowatej księcia. Katarzyna zdobyła się na uprzejmy

uśmiech. Ale nie umknęło jej, że księżę Hesji nie śmieje się jak reszta, tylko bacznie ją obserwuje.

## ROZDZIAŁ XI

Przez całą ucztę Katarzyna właściwie nic nie zjadła i nie wypła, puszczała też mimo uszu gadaninę Blanchefleur. Starła się tylko uprzejmie odpowiadać na pytania. Nie wiedziała,

jakie konsekwencje przyniesie popis heskiego alchemika, ale była pewna, że jakieś na pewno nadejdą. Kilka razy spotkała się wzrokiem z Schenkiem i dostrzegła, że on również nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Nie pomylili się. Gdy krótko po zakończonej uczcie Katarzyna znalazła się z najemnikiem w swojej komnacie, zapukano do drzwi. Był to majordom.

– Książę Wilhelm Heski życzy sobie mówić z panią.

– A jeśli ja nie życzę sobie mówić z księciem?

– Książę nalega. Czy mam przekazać odmowę?

Zerknęła na Schenka. Ledwo zauważalnie pokręcił głową. Zrozumiała – nie chcieli na siebie ściągać uwagi, a odmówienie księciu z pewnością by zainteresowaniu sprzyjało.

– Dobrze. W takim razie chodźmy, ale moi Schenk uda się z nami.

Majordom skinął głową.

– Zgodnie z życzeniem jaśnie pani. – Skłonił się.

Ruszyli korytarzami zamku do komnat gościnnych, od których piękniejsze były tylko apartamenty książęce. Gdy dotarli na miejsce, majordom znów skłonił się nisko i otworzył przed Katarzyną złocone drzwi.

Komnata była obszerna i przytulna, w kominku płonął ogień, którego płomienie grały odblaskami na zielonych ścianach i nielicznych złotych zdobieniach. Iluminację uzupełniał blask wielu świec osadzonych w kandelabrze, sprawiający, że w komnacie było zupełnie jasno, mimo że za oknami panował już mrok. Dębowa podłoga błyszczała. Na jednym z wielkich foteli przy ogniu siedział książę, popijając wino z kryształowego kielicha. Na jej widok wstał, ukłonił się głęboko i wskazał na drugi fotel. Dygnęła. Schenka zignorował. Poirytowany najemnik stanął pod drzwiami.

Katarzyna usiadła. Przyglądała się księciu, czekając, aż ten zacznie rozmowę. Wyglądał na wypoczętego i świeżego. Hiszpańska bródka lśniła pomadą, a w oczach widać było serdeczną życzliwość. Był także całkiem przystojny. Ośmielona trochę tym widokiem, czekała nadal. Nie doczekała się. Książę delektował się winem. Jej również paż podał kielich.



– Wasza książęca mość chciał się ze mną widzieć? – nie wytrzymała Katarzyna.

– Tak, tak – bąknął książę, patrząc na nią ze zdziwieniem, jakby zapomniał, że tu jest. – Pani wybaczy... Sprawy wojny pochłaniają mnie bardziej, niż bym chciał. Zajmuję istotną pozycję w koalicji protestanckiej, mam na głowie wiele spraw. – Zamilkł, jakby oczekiwał wyrazów podziwu.

Katarzyna nie dała nic po sobie poznać. Grzecznie siedziała ze złożonymi na podołku rękami.

Odchrząknął, zakłopotany.

– No tak. Domyśla się pani pewnie, czemu panią zawezwałem. Chodzi, oczywiście, o wygłup mojego alchemika. Chciałem przeprosić.

– Zupełnie się nie gniewam. Rozumiem, że okoliczności wymagają czasem zabawienia towarzystwa. Tym razem odbyło się to moim kosztem. Zdarza się.

– Ta mgła – ciągnął książę, jakby nie zauważył jej sarkazmu – to nie była zwykła mgła. Widziała już pani kiedyś taką sztukę?

– Oczywiście, że nie. Jestem z południa, które jest bardzo zacofane...

– Wynaleziono ją, proszę sobie wyobrazić, w Rzymie, pod auspicjami Stolicy Piotrowej. Katolicy nazywają ją *praeciosum agnoscem*. Mówi to pani coś?

– Pierwsze słyszę. – Nie drgnęła jej nawet powieka, choć ścisnęła silniej dłoń drugą ręką.

Książę się zamyślił.

– Dokąd pani jedzie? Wiem od majordoma, że straciła pani ojca w bitwie na południu.

– O ile można to nazwać bitwą. Nasz kasztel napadła hanza. Wybieram się do Rehlinger w Lotaryngii, do rodziny mojej matki. Mam nadzieję znaleźć tam schronienie przed wojną.

– W Lotaryngii? Biorąc pod uwagę ostatnie plotki z Francji i poczynania książąt Vaudemont, Lotaryngia już niedługo pozostanie spokojna.

– Nie znam się na polityce.

– Oczywiście, nie leży ona w kręgu damskich zainteresowań. Chociaż, ha!, gdyby pani poznała moją żonę! W każdym razie, wracając do tematu, chciałbym pani zaproponować gościnę w Kassel. To o wiele bliżej niż Lotaryngia, a gwarantuję, że nie mniej bezpiecznie. Na moim dworze odnajdzie pani i spokój, i przyjaźń, a niewykluczone, że także i miłość. Pozostanie pani pod czujną strażą.

Katarzynie zrobiło się gorąco – i to nie od ognia buchającego z kominka. Propozycja była rozwiązaniem wszystkich jej problemów. Oferowano jej pobyt na bezpiecznym, protestanckim dworze, gdzie zostanie przyjęta z honorami i spokojnie będzie mogła poczekać, aż znajdzie ją któryś z braci albo dalszych krewnych. Wiedziała, że na oblężenie Kassel raczej się nie zanosilo, wprost

przeciwnie, koalicja habsburska nie miała od dawna dość sił na oblężenie jednej z największych protestanckich twierdz. Nie wspominając o tym, że cóż to był za awans! Z córy lokalnego, wirtemberskiego władcy na damę dworu landgraфа Rzeszy, sojusznika Gustawa Adolfa! Znalazłaby się w miejscu, które wystarczyłoby jej za wszystkie pytania i wszystkie odpowiedzi.

Poza tą jedną, na której jej zależało.

– Jestem zaszczycona propozycją waszej książęcej mości – powiedziała, ostrożnie ważąc słowa w ustach, jakby każde było kawałkiem ołowiu – ale czym sobie zasłużyłam na taką szczodroblliwość?

– Jest pani osieroconą protestantką. Czy to nie wystarczy dobremu chrześcijaninowi? Pani położenie budzi we mnie głębokie współczucie i chęć pomocy bliźniemu. Do Lotaryngii jest daleko, nie ma też pani wcale gwarancji, że ją tam przyjmą. Do mojego pałacu nie ma nawet stu mil, więc już za parę dni może się tam pani znaleźć, w eskorcie kilkunastu zbrojnych. Gwarantuję, że nie mam żadnych złych intencji ani zamiarów. Jak pani wie, jestem już żonaty. – Zaśmiał się, zadowolony z własnego dowcipu.

– Bardzo mi przykro, ale muszę odmówić. – Starła się ukradkiem rzucić okiem w stronę Schenka, ale nie mogła go zobaczyć zza oparcia fotela. Uświadomiła sobie, że taka decyzja, oprócz tego, że nie pozwoliłaby jej zrozumieć, co się z nią właściwie dzieje, odebrałaby kompanii tak upragnioną zapłatę od Uniwersytetu Lejdejskiego. – Jestem wdzięczna za tę hojną ofertę, jednak postawię na łut szczęścia i spróbuję dostać się do Lotaryngii. Ufam, że rodzina nie porzuci mnie w potrzebie.

– Och! – zachnął się książę i szybko dopił wino. – Jaśnie pani, nie chciałbym być nieuprzejmy, ale wyprawa przez kraj ogarnięty wojną to czysty hazard. Nawet z obstawą. – Skinął dłonią w stronę najemnika stojącego przy drzwiach. – Poza tym skąd weźmie pani środki na utrzymanie? Jest pani niezamężna.

– Nie wątpię, że mąż znajdzie się po drodze. Albo w Rehlingen.

– Czy naprawdę nie szybciej i łatwiej znaleźć go w Kassel? Pozwolę sobie przypomnieć, że w Lotaryngii wciąż panuje Karol Vaudemont, katolik, sojusznik cesarza. Chyba nie chce pani zostać zmuszona do konwersji?

– Nie, oczywiście, że nie, ale...

– Więc sama pani widzi – przerwał jej książę obcesowo, wyraźnie się niecierpliwiąc – że nie mogę pani pozwolić na to szaleństwo!

– Pozwolić? – zaperzyła się Katarzyna, w której odezwał się buntowniczy duch. – O ile dobrze wiem, wasza książęca mość nie jest moim ojcem, żeby mi czegoś zabraniać.

– Jestem księciem!

– Nie moim – odparła lodowato.

Wilhelm stukał paznokciem w kielich, ewidentnie niezadowolony z takiego obrotu rozmowy.

– Nie mam czasu ani ochoty wdawać się z panią w kłopotliwe pertraktacje ani wyjaśnienia – powiedział cicho, jakby do siebie, nie patrząc na nią. Wyraz jego twarzy całkowicie się zmienił, księżę był wyraźnie zniecierpliwiony. – Mam co innego na głowie: jutro albo pojutrze Gustaw Adolf przyjmie bitwę. Załatwimy to inaczej.

Zanim Katarzyna zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, sięgnął po dzwonek stojący na stoliku i zadzwonił głośno. Tylnymi drzwiami weszło do sali trzech mężczyzn: Mylius oraz dwóch żołnierzy w pasiastych spodniach i granatowych kubrakach. Księżę kiwnął dłonią. Wysoki, przeraźliwie blady alchemik bez słowa podszedł do Katarzyny. Schenk ruszył się spod drzwi, sięgając do miecza, ale drogę natychmiast zagrodziły mu halabardy żołdaków. Mylius stanął przed księciem, trzymając szlachciankę za łokieć.

– Sprawdź ją. – Władca machnął ręką, w dalszym ciągu nie patrząc na Katarzynę.

– Tutaj? – Chudzielec poczerwieniał. – Przy ludziach? Przy służbie? Mało jeszcze na dzisiaj popisów? Może od razu drukiem ogłosimy nasze poczynania?

– Nie marudź.

– Nie ma mowy.

Księżę skrzywił się.

– Wszyscy się dzisiaj uwzięli, żeby mnie nie słuchać. – Wstał. – Dobrze, weźmy ich do tamtych. Tylko szybko, chcę iść spać.

Mylius mocniej chwycił Katarzynę za łokieć, żołnierze odebrali Schenkowi rapier i lewak, po czym złapali go za ramiona. Tylnymi drzwiami wyprowadzili ich z komnaty i poprowadzili jednymi z bocznych schodów w dół. Księżę podążył za nimi. Zarówno najemnik, jak i dziewczyna usiłowali się szarpać, nic to jednak nie dało. Katarzyna przez moment chciała krzyknąć o pomoc, ale uświadomiła sobie, że nikt w całym pałacu, poza samym księciem panem i może jego szambelanem, nie będzie się mieszał do takiej sprawy. Rozglądała się więc baczenie za drogą ucieczki, jednak długie paluchy Myliusza zaciskały się na jej łokciu z zaskakującą siłą.

– O co chodzi? Nie można grzeczniej?! Przecież pojedę do tego Kassel – burknęła stronę księcia.

– Jeśli w ogóle pojedziesz, to w worku – odparł spokojnie tamten – Czas na negocjacje minął, grafianko.

Schenk milczał.

Po chwili wędrówki opustoszałymi, ciemnymi korytarzami, w trakcie której spotykali tylko spóźnioną służbę, umykającą przed nimi w popłochu, dotarli

w końcu do niewielkiego bocznego pomieszczenia w nieozdobionych podziemiach, w części zamku przeznaczonej niegdyś na koszary. Pod drzwiami stało aż trzech strażników, każdy wyposażony w pistolet.

Weszli do środka, w którym panował półmrok. Poza kilkoma skromnymi łózkami i krzesłami w sali nie było prawie nic. Katarzynie kilka sekund zajęło zorientowanie się, czym, a właściwie kim są dziwne kształty pod przeciwległą do drzwi ścianą – przywiązany do desek ludźmi. Jeden z żołnierzy przyniósł z korytarza dodatkową pochodnię dzięki czemu mogła zobaczyć ich twarze. Pierwszy więzień był smagłym południowcem z zaniedbaną brodą i dawno niestrzyżonymi włosami, drugi – bladym, bardzo chudym blondynem z okazałym wąsem. Obaj byli zakneblowani.

Wtem Katarzyna zorientowała się, że Schenk został na korytarzu z dwoma pilnującymi go żołnierzami. Usłyszała odgłosy przepychanki, które szybko ustały. Zaczęła się bać.

– Zadowolonyś? Sprawdzisz ją teraz w końcu? – zapytał ksiązę Mylius.

Ten, nie zaszczyciwszy władcy odpowiedzią, podszedł do szlachcianki, zaciskając na czymś dłoń i mruknął coś, co brzmiało jak „zert” albo „zyrt”. Nic się nie zadziało.

Ksiązę poruszył się niespokojnie.

– Spróbuj jeszcze raz. Sopiens – polecił.

Mylius wyciągnął nie wiadomo skąd gęsie pióro i smagając nim Katarzynę po twarzy, chrząkał. Nadal nic nie nastąpiło.

– Przecież to niemożliwe! – zakrzyknął władca. – Dwoje takich?! W dwa dni?!

– Jeśli ksiązę wątpi w moje talenta – odparł beczelnym tonem chudzielec, podając Wilhelmowi pióro – niech sam spróbuje.

Ksiązę przejął piórko i powtórzył operację. Jego chrząkanie też nic nie dało. Obaj popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się paskudnie.

– No, ptaszku. Trzeba będzie wyciągnąć z ciebie, coś ty za jedna. I w takim razie nie potrzebuję już tego wieśniaka... – Wilhelm wskazał gwardzistom przywiązanego do deski blondyna.

Podeszli do niego, jak na komendę wyciągnęli sztylety i błyskawicznie, bez choćby mrugnięcia kilkukrotnie zanurzyli je w jego piersi. Trysnęła krew. Katarzyna wrzasnęła krótko i bardzo głośno. Drugi przywiązany, ten z brodą, zaczął się gwałtownie szarpać w więzach. W szeroko otwartych oczach zasztyletowanego zabłysła ostatnia iskierka smutku i głowa opadła mu na piersi.

– Od początku mnie denerwował – skwitował ksiązę, z pogardą patrząc na ociekającego krwią trupa. – Dajcie tu tego, no... tego jej ochroniarza.

Żołnierze wprowadzili bladego Schenka, który zbladł jeszcze bardziej, kiedy zobaczył makabrycznie pokłute, skrępowane zwłoki.

– Jak się właściwie nazywasz? – zapytał go Wilhelm, nie zwracając najmniejszej uwagi ani na zamordowanego, ani na cieknące po policzkach wstrząśniętej Katarzyny łzy.

– Got... Gottfried Schenk, wasza wysokość.

– Ty odpowiadasz za dziewczynę? Gdzie ją prowadzicie?

Najemnik zacisnął usta. Książę westchnął.

– Dobra, załatwmy to inaczej, ja naprawdę jestem cywilizowanym człowiekiem. Ile wam dają za dziewczynę?

– Dwieście sztuk złota.

– Dostaniecie po czterysta – odparł władca bez chwili zawahania. – Tobie dam patent oficerski w mojej gwardii, ludzi możesz sobie zatrzymać na moim żołdzie. Jeśli będziesz mi służył źle, dam ci odprawę i pożegnamy się bez żalu, jeśli dobrze, czeka cię kariera. Tak albo nie – spojrzał wyczekująco na najemnika.

Schenkowi zmiękły kolana. Znowu był ośmioletnim złodziejaskiem, który kradł ze straganów jabłka, żeby nie zdechnąć z głodu. Czuł palącą, bolesną, uporczywą, nieprzemijającą pustkę w żołądku, a zarazem ból brzucha, od którego chciało się rzygać, ale nie było czym. Osłabienie i gorączkę w całym ciele oraz ropiejące wrzody na skórze, które rozdrapywał w chwilach słabości, choć pulsowały wtedy okrutnym bólem i drażniły nos ohydny smrodem. Adrenalinę buzującą w krwi, kiedy czaił się na przypalony podpłomyk wyrzucony w błoto – nigdy nie wiedział, czy dotrze do placka przed innym żebrakiem. Nienawiść, trzaskającą zimnym płomieniem w tyle czaszki, gdy obserwował chodzących po mieście tłustych, najedzonych szlachciców. I niemożliwy do wytrzymania ból wychłostanych pleców...

Ponownie nikt go nie pytał, czy chce służyć w armii księcia Brunszwiku, nikt go nie pytał, czy chce targać dwudziestokilogramowy arkebuz za starym knechtem, który bije za najmniejszą przewinę, nikt go nie pytał, czy chce chować się pod rozwalonym wozem taboru, kiedy dokoła trwa piekło bitwy, nikt go nie pytał, czy chciał wyjść z rowu, w którym zasnął, oblepiony błotem.

Znowu był czternastoletnim wyrostkiem, któremu wielki brunet kazał zabić człowieka. Czuł pogardę do samego siebie, kiedy wyciągał ze zwłok okrwawiony nóż, nawet nie sztylet, a zwykły nóż rzeźnicki. Czuł dumę i zachwyt, kiedy w zamian za tę krew na ostrzu otrzymał od Krauzego pierwsze zarobione fenigi. Rozkosz alkoholu i seksu z brudną prostytutką w najtańszej oberży. Śmiech aprobaty starszych najemników.

Niepewność kolacji, niepewność śniadania, wieczne zwątpienie w swoją rolę na świecie, który najwyraźniej nie chciał go w żadnej formie. Czuł ciężką dłoń swojego preceptora, która waliła go po potylicy za każdym razem, kiedy za nisko opuścił zbyt ciężki miecz. Omdlewające po morderczych treningach mięśnie,

pałący ból kręgosłupa, nabyty w wyniku noszenia drew na opał dla dwudziestki chłopca. Upokorzenie, gdy młody szlachetka kazał obić go kijami, zamiast stanąć do równej walki, do której został wyzwany.

Niepewność jutra, niepewność życia, kiedy stawał do walki z wrogiem, słabszym, silniejszym, bardziej lub mniej licznym, ale zawsze uzbrojonym i pałającym żądzą mordy. Miasta: Heilbronn, Münster, Oldenburg, Hamburg, Brunshwik, Paderborn, Gotha, Emden, a w każdym nowa bieda, nowy wróg do zabicia, nowe fenigi, nowe brudne kurwy, nowa niepewność gdzie, z kim, po co i co jutro.

Niepewność głosu, kiedy pod małym mostkiem w Szwabii obejmował komendę, niepewność decyzji na każdym rozdrożu, niepewność pozycji, kiedy musiał się kłócić z bezczelnym, nördlingeńskim chłopem, niepewność ręki, gdy chwycił dziewczynę spadającą z siodła, niepewność całego świata, gdy upiorny zakonnik pierwszy raz skrzyżował z nim klingę, niemal łamiąc mu rękę, niepewność serca, gdy Katarzyna na polanie odprawiła swoje gusła.

Wahał się dokładnie trzy sekundy.

– Tak – wychrypiał.

– Sprzedana! – zawołał księżę z radością, odwracając się do dziewczyny.

Usłyszawszy to jedno słowo z ust najemnika, Katarzyna zbladła jak ściana.

Nie wiadomo, co stałoby się potem, gdyby nie szambelan Matthias Libich, któremu ktoś mimo wszystko doniósł, że Wilhelm Heski pałęta się nocą po zamku, napastując innych gości księcia pana. Krępy rządcą nie uwierzył w ani jedno słowo, ale ponieważ nie lubił nie wiedzieć, co dzieje się na dworze, który mu powierzono, zszedł szlafmycę i poszedł sprawdzić, co się dzieje. Gdy nie zastał w przeznaczonych im komnatach ani Wilhelma, ani Katarzyny, przywołał dwóch strażników i udał się do salki koszarowej w podziemiach, której – jak wiedział – Wilhelm zażyczył sobie do dyspozycji. Tam z kolei ze zdumieniem odkrył, że hescy żołnierze ani myślą wpuścić go do środka. Oburzony – znajdował się przecież w swoim domu! – zaczął się z nimi wyklócać, a gdy to nie podziałało, po prostu przepchnął się między nimi i wpadł do środka dokładnie w tym momencie, w którym księżę pieczętował sytuację swoim sakramentalnym okrzykiem. Zorientowanie się w sytuacji zajęło mu czas krótszy, niż można by się spodziewać.

– Na rany Chrystusa, mości księżę, trup! Trup w zamku! – Chwycił się za głowę w teatralnym geście. – Jakże tak można?! W gościnie! Zabity, na śmierć zabity, w moim zamku!

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, do komnaty wpadli hescy strażnicy i chwycili szambelana pod ramiona, zamierzając siłą

wyprowadzić go z pomieszczenia, do którego przykazano im nikogo nie wpuszczać. Libich podniósł raban:

– Co?! Gwałt! Ratunku! Straże! Gwałt! Mordują! W goście!

Do komnaty momentalnie wpadli zdezorientowani strażnicy księcia Isenburga, próbując się zorientować, kto kogo morduje i gwałci, dlaczego to robi i kogo powinni pojmać. Wilhelm Heski usunął się pod ścianę, popchnięty przypadkiem, przez jednego z kotłujących się żołdaków. Schenk i Mylius, ogłupiali, też usunęli się na bok, nie mając pojęcia, co robić. Wartownicy zamkowi i hescy zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego, próbując opanować sytuację.

Katarzyna stała jak sparaliżowana, próbując zrozumieć to, co ją właśnie spotkało. Wszystko działo się za szybko i zbyt gwałtownie, żeby mogła myśleć. Ocknęła się, gdy rozgorzała walka. Wyrwała z pochwy stojącego obok Myliusasztylet, szybkim susem skoczyła pod jego ramieniem i wiedziona niepojętą intuicją dwoma ruchami rozcięła więzy brodatego, który śledził sytuację czujnym wzrokiem.

Erquicia od paru sekund tylko na to czekał. Nigdy dotąd nie wypełniała go tak porywista wściekłość, która jak lawa zalała jego zdrowy rozsądek i wypaliła go do gołej ziemi. Śmierć Herzbrudera, okrutna i bezsensowna, obudziła coś, o czym zawsze wiedział, że w nim siedzi, ale nigdy nie pozwolił sobie nawet na konstatację, czym to coś jest. A był to szal nienawiści.

Rzucił się na Myliusas, siłą rozpędu popychając go na ścianę. Adrenalina buzowała w żyłach. Zdrętwiałe palce lewej ręki wcisnął w oczy alchemika, który wrzasnął przeraźliwie. Prawą dłońią zakonnik zerwał knebel, a następnie szarpnął za wiszącą u pasa Myliusas płócienną sakwę, w której – co zdołał dostrzec wcześniej – chudzielec trzymał katalizatory. Po podłodze potoczyły się rozmaite przedmioty. Erquicia wyciągnął zakrwawione palce z oczodołu alchemika i porwał z ziemi pierwszy lepszy katalizator: pod palcami wyczuł zwitek papieru. Lepiej być nie mogło.

Nie wstając z kolan, skierował dłoń w stronę dwóch grup strażników, którzy widząc makabryczną scenę, przestali się kłócić i przeszkadzając sobie nawzajem, zmięli w jego stronę. Krzyknął słowo inicjujące *praeciosum incendens*. Ubrania na pierwszym z wartowników zajęły się żywym ogniem. Mężczyzna wrzasnął przeraźliwie, upadł na ziemię i zaczął się tarzać jak opętany w próbie zgaszenia płomieni. Reszta żołnierzy podniosła krzyk przerażenia i rzuciła się do wyjścia, blokując sobie nawzajem przejście. Tymczasem Erquicia już macał po podłodze w poszukiwaniu kolejnego przedmiotu. Szybko znalazł to, czego potrzebował: ołów. Rzucił mściwym spojrzeniem na strażników i już miał rzucić kolejne *praeciosum*, gdy na skraju pola widzenia zobaczył, że idzie ku niemu

młody najemnik z obnażonym ostrzem. Odwrócił się w jego stronę i krzyknął, jednak żołdak odskoczył w ostatniej chwili i *praeciosum* uderzyło w szambelana.

Libich krzyknął krótko, po czym głos zabulgotał mu w gardle. Upadł na kolana i wydał z siebie przedziwny dźwięk, którego nie sposób opisać – pomieszanie jęknięcia z rżeniem. Oczy wyszły mu z orbit. Przewrócił się na lewy bok i dłońmi zaczął szarpać i rwać na sobie ubrania, jakby go paliły. Każdy kolejny ruch był coraz wolniejszy i mniej składny, jakby szambelan tracił władzę nad swoim ciałem. Nagle rzygnął na podłogę fontanną krwi, obryzgując sobie twarz i włosy. Wymiotował jeszcze chwilę – w rzygowinach pojawiły się czerwone skrawki wyglądające jak strzępy organów wewnętrznych. Wreszcie zaczął się trząść. Na spodniach wykwitły ciemne plamy moczu i kału. Z wybałuszonymi oczami, pokryty krwią i resztkami własnych wnętrzności podrygiwał na podłodze w agonalnych drgawkach. Rozniósł się smród żółci i gówna.

Przez pięć sekund tego makabrycznego spektaklu wszyscy, włącznie z Erquicią, który nie używał dotąd tego *praeciosum* i nie widział jego skutków, zamarli. Pierwsi odzyskali panowanie nad sobą strażnicy obu książąt. Zaczęli wrzeszczeć jeszcze głośniejsze, w końcu przepchali się przez drzwi i uciekli w popłochu. Gdy krzyki ucichły, zakonnik zorientował się, że najemnik trzyma go na sztychu miecza.

Schenk rozejrzał się. Katarzyny nie było. Zauważył uchylone boczne drzwi, którymi musiała wymknąć się w trakcie całej tej draki. Nie mógł też nigdzie dostrzec księcia – najwyraźniej także uciekł, korzystając z zamieszania. Spojrzał na nieprzytomnego, a może martwego już Myliusza z zakrwawioną twarzą, na leżącego w kałuży krwi i szczyln szambelana, na poparzonego strażnika i zwłoki nieznanego mu mężczyzny, smętnie zwisające z deski, do których były przywiązane. Wreszcie obrzucił długim spojrzeniem klęczącego przed nim w obdarłej koszuli Hiszpana.

– Idź – wyszeptał po hiszpańsku, opuszczając miecz.

Erquicia podniósł się z trudem – wciąż miał zdrętwiałe nogi. Ściskając w dłoni sztabkę ołowiu, rzucił się do bocznych drzwi, które wskazał mu najemnik. Nie miał pojęcia, gdzie jest – transportowano ich z zawiązanymi oczami – jednak nie mógł znajdować się dalej niż trzydzieści, czterdzieści mil od Fuldy. Zresztą teraz i tak najważniejsze było to, aby wydostać się z zasięgu Wilhelma.

Przebiegł na oślep kilka pomieszczeń, aż dotarł do szerokiego korytarza, którym zdecydował się podążyć. Gdy doszedł do wielkich, zamkniętych na skobel drzwi, poczuł, że coś kłuje go pod zębem. Spojrzał w bok i zobaczył sztylet w dłoni dziewczyny, która go uwolniła. Najpewniej schowała się w ciemnej wnęce koło drzwi, usłyszawszy kroki.



– Domyślam się, że nie chcesz pan się znowu spotkać z jaśnie oświeconym? – zapytała.

– Nie palę się do tego. Pani, jak rozumiem, też nie. Może połączymy siły? Katarzyna skinęła głową i cofnęła sztylet.

– Zasuwa jest dla mnie za ciężka – powiedziała.

Razem udało im się zdjąć potężną belkę z drzwi i wyjść na tylny plac zamku. Mieli szczęście: jak wiedziała, tam właśnie ulokowano konie.

– Tam, do stajni. Szybko, niebawem będą nas szukać. Jak ma pan na imię?

– Dominik.

– Katarzyna.

Weszli do stajni pachnącej świeżym sianem i końmi. Strażnicy nie zwrócili na nich najmniejszej uwagi – pomyśleli pewnie, że panna wymyka się z gachem po nocy w ustronne miejsce. Katarzyna natychmiast zauważyła Jasnego, śpiącego obok swojego muła na słomie. Obudziła go delikatnie, kładąc palec na ustach. Chłop ani pisnął.

– Siodłaj osła i konie. Szybko.

– A mości Schenk?

Dziewczyna aż zgrzytnęła zębami.

– Siodłaj – powtórzyła.

– Ale mości Schenk...

– Siodłaj! Bo... bo zamienię cię w żabę!

Przewodnik zrobił wielkie oczy, przeżegnał się i już o nic nie pytał. Zabrał się do siodłania gniadego ogiera, zdobytego na zakonnikach.

– Nie, nie tego! Któregoś z książęcych.

Erquicia przyjrzał się zwierzęciu.

– Znam skądś tego konia...

– Nie sądzę – odparła Katarzyna. – To długa historia. Potrafi pan mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi?

– Piąte przez dziesiąte. Sam nie wszystko rozumiem.

– No to siedź pan cicho.

W milczeniu czekali, aż parobek zarzuci damskie siodło na Siwka, gdy dziewczyna uderzyła się dłonią w czoło.

– Euwe!

– Kto? – zapytał Erquicia.

– Nieważne. Jasny, leć w te dyrdy, obudź kogoś ze służby i poślij po Euwego. Niech mu powiedzą, że nie ma chwili do stracenia.

Chłop posłusznie wybiegł ze stajni, a oni wzięli się za siodłanie kolejnych dwóch koni. Gdy zapinali puśliska drugiego z nich, Katarzyna przerwała milczenie.

– Ten, co go zadźgali... To był pana towarzysz?

– Tak.

– Przykro mi.

– Mnie też. Chociaż nie znaleźliśmy się zbyt dobrze. A ten najemnik... Ten, który tak nieładnie z panią postąpił... to ktoś ważny?

Katarzyna uśmiechnęła się smutno. Myślała, że zaprzyjaźniła się z Schenkiem. Przez moment wydawało jej się nawet, że to coś więcej niż przyjaźń. Ale w tej właśnie chwili dotarło do niej, że to, co się stało, nie było żadną zdradą. Zdradzać można tych, którzy ufają. A oni byli po prostu dwójką wojennych sierot, połączonych niepojętym zrządzeniem losu. Wiedziała jednak, że nigdy tego nie zapomni. Ani nie wybaczy.

– Nie. Po zastanowieniu się to nie.

Wymienili nad końskim grzbietem smutne, pełne zrozumienia spojrzenia.

Gdy Jasny przyprowadził w końcu nic nierozumiejącego, zaspanego i kłapiącego podeszwą Euwego, od razu wskoczyli na konie. Była najwyższa pora – od wydarzeń w koszarach minął już kilkanaście minut, w oknach zamku zapalały się kolejne światła, na pewno ktoś zaczął już ich szukać. Katarzyna oczekiwała przeszkód, ale nie takiej, na jaką się natknęli.

Na głównym dziedzińcu wyrosła przed nimi jak spod ziemi Blanchefleur von Barby w stroju podróżnym, a wraz z nią dwie zaspane służki i obładowany tobołami paż. Zaczerwieniona, zdyszana i ze zmierzwioną burzą blond włosów zastąpiła im drogę.

– Nie ma mowy! Nie zostanę! Jadę z tobą! – Uczepiła się siodła Katarzyny. – Widziałam, jak wymykasz się do stajni! Nie odjedziesz beze mnie!

– Uspokój się, dziewczyno! – burknęła Katarzyna. – Nigdzie nie jedziesz. Nie jedziemy do Lotaryngii. Nie jedziemy do Zweibrücken!

– Nic mnie to nie obchodzi! Nie chcę tutaj zostawać! Weź mnie ze sobą!

– No to dogoń mnie! – krzyknęła zirytowana nie na żarty Katarzyna i spięła Siwka, zostawiając za sobą wściekłą i rozczarowaną szlachciankę.

\*

Schenk pobiegł do komnat dziewczyny. Chciał sprawiać wrażenie, że jej szuka, ale w rzeczywistości wcale nie chciał jej znaleźć. Chociaż tyle mógł dla niej zrobić. Wiedział, że nie jest tak głupia, aby wrócić na górę. Pokręcił się bez sensu w pobliżu przeznaczonych jej pokojów i wrócił na niższe piętra zamku, aby znaleźć księcia, któremu właśnie oddał się pod komendę. Znalazł jedynie kaprała, razem ze strażnikami przeczesującego twierdzę, co robili zresztą zupełnie bez sensu, bo zaczęli od najwyższego piętra. Pułkownik zaprowadził go do

Wilhelma, który w sali wejściowej wydawał właśnie rozkazy grupie oficerów, międląc w dłoni rulon pergaminu opatrzonego wielką pieczęcią. Schenk rozpoznał na niej szwedzkie korony i lwy, znak Gustawa Adolfa. Gdy krótko, po żołniersku zrelacjonował swoje udawane poszukiwania, Wilhelm wybuchnął zupełnie nie po książęcemu:

– Diabli by to wszystko nadali, do kurwy! Co za burdel! Geysso, co ty tu jeszcze robisz? Trąb na alarm! Za godzinę musimy wymaszerować!

– A co z...

– Niech ich szlag trafi! Potrzebuję cię gdzie indziej! Co z Myliusem?

– Przeżyje. Ale chyba nie będzie widział.

– Do kroćset kurew. Już, zejdź mi z oczu! – Generał pośpiesznie odbiegł. – A co do ciebie, najemniku – zwrócił się książę do Schenka. – Nasza umowa siłą rzeczy nie obowiązuje, skoro nie ma dziewczyny. Ale przydasz mi się. Weź swoich ludzi i dziesiątkę moich dragonów. Dalwig! Słyszysz? Daj mu oddział. Wezmiesz ich i ją złapiesz. Zapracuj na żołd, który ci obiecałem. A jeśli znajdziesz zakonnika, zamorduj.

– Jakiego zakonnika? – zapytał zdziwiony najemnik.

Książę nie miał czasu się nad tym zastanawiać, więc tylko niejasno uświadomił sobie, że jest być może jedyną osobą, która potrafiła zrozumieć, co się właściwie stało w koszarach w Birstein.

– Nieważne. Idź. Znajdziesz nas bez trudu, będzie o nas głośno w Niemczech.

Schenk skinął głową. Niski pułkownik, na którego warknął książę, błyskawicznie wydał mu papier przydziałowy. Najemnik bez zwłoki udał się do kwater swoich chłopaków, żeby zamienić strój galowy na coś wygodniejszego oraz obudzić podkomendnych i przedstawić im sytuację. Niespecjalnie się martwił tym, jak zareagują. W gruncie rzeczy nie potrzebował ich już do niczego.

Gdy skończył relację, zapadło kłopotliwe milczenie.

– Szkoda – mruknął Ingemar. – Polubiłem ją. A co do Holendra, to mam nadzieję, że go szlag trafi.

– Jedno muszę ci przyznać – odezwał się do dowódcy Sójka Lorentz. – Skurwysynem jesteś jeszcze gorszym niż Krauze.

Schenk nie skomentował.

– Potraktuj to jako komplement – dodał szpakowaty najemnik.

## ROZDZIAŁ XII

Dopiero gdy odjechali kawał drogi od miasta, Katarzyna odetchnęła z ulgą. Gdy zatrzymali się na moment przy strumyku, żeby napoić konie, Erquicia wykorzystał okazję, żeby zacząć rozmowę.

– Gdzie my właściwie się znajdujemy?

– Opuściliśmy właśnie uroczne miasto Birstein w Isenburgu – odparła dziewczyna, gładząc Siwka po szyi.

– A dokąd zmierzamy?

Katarzyna nie odpowiedziała od razu. Kucnęła nad polnym strumieniem, mocząc skraj ozdobnej, atlasowej sukni, nabrała wody w dłonie, napiła się, otarła usta nadgarstkiem. Nie miała powodów, żeby komukolwiek ufać.

– Dokąd pan zmierza, nie wiem. A dokąd my zmierzamy, nie powinno raczej pana obchodzić. Droga nam na północny zachód.

– Zły kierunek.

– Dobry jak każdy inny.

– Nie, niedobry – upierał się Hiszpan. – Widziała pani, co się działo pod miastem. Armia Wilhelma zwijała namioty, szykowała się do wymarszu, pewnie już ruszają. To znaczy, że w pobliżu jest też Wallenstein. Niedługo zaroi się tu od podjazdów i swawolnych band, prędzej czy później na którąś natraficie. Trzeba uciekać na południe, omijając miasteczko.

– Droga wolna. – Katarzyna machnęła ręką.

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało obcesowo, ale mam ewidentnie większe doświadczenie w tych sprawach. Proponuję jechać w obranym przeze mnie kierunku.

Dziewczyna parsknęła.

– Kolejny, który chce, żebym jechała w obranym przez niego kierunku. Dokąd tym razem? Do Heidelbergu? Berlina? Może do Konstantynopola?

– Do Moguncji.

– Po jakiego diabła miałabym jechać do Moguncji?

– Zapewnię pani schronienie u moich braci.

– Braci?

– Braci. Jestem dominikaninem.

Katarzyna podniosła się powoli i odwróciła w jego stronę ze stężałą nagle twarzą.

– Dominikaninem?

– W istocie. Moje pełne imię i nazwisko to Dominik Ibáñez de Erquicia. Jestem ordynariuszem zakonu. Mam pewność, że w naszym klasztorze w Moguncji znajdzie pani schronienie, którego najwyraźniej pani potrzebuje.

– Myślę, że nie – powiedziała bardzo powoli dziewczyna. Myślę, że nie mam najmniejszej ochoty mieć z panem cokolwiek wspólnego. Myślę, że powinien pan iść w swoją stronę. Natychmiast.

– Zaklinam...

– Proszę nie zaklinać. Proszę odejść. Takie jest moje życzenie.

Erquicia rzucił okiem na słońce. Było około dziewiątej rano. Za parę godzin musiał być w miejscu wymienionym w vocans, które otrzymał. Wzruszył ramionami.

– Wiecie, którądy do Herbstein?

– Jak w pysk strzelił na północ – wtrącił się Jasny.

– Daleko?

– Do trzeciej pan staniesz.

Zakonnik nie potrzebował więcej informacji. Wskoczył na konia i odjechał, pilnując, żeby słońce mieć po prawej stronie. Katarzyna odetchnęła z ulgą. Obawiała się drugiego Tilenheima.

Euwe, który dotychczas siedział, o dziwo, cicho, postanowił zabrać głos.

– Panienko Katarzyno. Czy ja mógłbym prosić o jakiegokolwiek wyjaśnienie? – zapytał bezradnie. – Nic już nie rozumiem. Czuję się jak owca.

– Tak. Tak, oczywiście, panie bakałarzu. –Katarzyna westchnęła. – Proszę wybaczyć. Nie było czasu. Otóż mości Schenk, szef pana eskorty, sprzedał nas za trzydzieści srebrników.

– Jak to?

– Książę Wilhelm Heski złożył mu propozycję, hojniejszą od tej, którą otrzymał od pana uniwersytetu. Przyjął ją. Zrobiła się draka i uciekłam razem z tym tam. – Splunęła w stronę, w którą odjechał dominikanin. – Musimy jak najszybciej ruszać, mogą nas ścigać.

– Z tym akurat się zgadzam. A i to powiem panience, że ta podróż zdecydowanie za długo trwa i zbyt jest w przygody obfita. Nie jestem stworzony do takich rzeczy.

– Ile jest stąd do Lejdy?

– Trudno powiedzieć. Wydaje mi się...

– Jak to: do Lejdy? – bezczelnie wtrącił się w rozmowę Jasny. – Do Kolonii miało być! Ja się z Niemiec nie ruszam! Mościa panno, miejże litość nad biednym chłopem, ja bez ojcowizny to jak bez chleba, uschnę, ino moja stopa stanie za granicą! Jam nieczytaty i niekumaty, nie wiem, co się tu dzieje

i wiedzieć nie chcę, nikomu pary z gęby nie dam! A mości Schenka to ja się okrutnie stracham, puśćże mnie panna z powrotem do domu. – Ukląkł przed nią ze złożonymi jak do modlitwy rękami.

– Uspokój się! Nic ci Schenk nie zrobi, bo go tu nie ma.

Zastanowiła się.

– Ile jest z Kolonii do Lejdy?

– A skąd ja wiedzieć mam? Toż jam się wcześniej nigdy dalej niż do Hesji nie ruszył. Ale dalekość być nie może, boż biskupstwo z Niderlandami graniczy.

– Umówmy się tak. Damy ci sztukę złota. Euwe, znajdzie się? Damy ci sztukę złota i doprowadzisz nas do Kolonii. Potem możesz wracać do domu.

Chłop myślał przez chwilę, jednak wizja otrzymania całego guldena na własność najwyraźniej podziałała na jego wyobraźnię. Kiwnął ochoczo głową, aż czupryna mu się zatrzęsała.

– A co mi tam! Pieniądz jest pieniądz. A i tatulo jeszcze pochwali za łeb do interesów, jeśli resztę przywiezę. Ale muszę pannie rzec, że ten mości brodac, co pojechał, rację miał. Iście hazard się teraz na zachód pchać. Jeżeli w ogóle, to od razu, zanim armie się zetną, bo jak trafimy na bitwę, to ino dym po nas zostanie, zaraz się wpakujemy na żołnierstwo i cześć będzie pieśni. A i to pani powiem, że niedobrze w ogóle w pobliżu wojska przebywać, bo gorące są głowy hultajów i nigdy nie wiesz, co takiemu do łba strzeli, jeśli cywila zobaczy. I lasy nie pomogą, bo podjazdy często i po lasach jadą. Rysią na północny zachód i się modlić, to jedyna szansa.

– W takim razie nie mitrężmy. Jedźmy.

Wsiedli na konie i ruszyli. Nie ujechali jednak nawet mili, gdy usłyszeli tętent kopyt za plecami.

Katarzyna nie mogła uwierzyć własnym oczom. Była to Blanchefleur. Na gniadym koniu. Po męsku, z zadartą śmiesznie suknią, ledwo sięgająca stopami do strzemion. Za nią próbował nadążyć jej paż, obładowany sakwami i pakunkami. Ogier blondynki zwolnił do stępa, okrążył ich i stanął obok Siwka Katarzyny. Von Barby patrzyła na nią z podniesioną głową i dumnym błyskiem w oku.

– Dogoniłam.

– Czyś ty oszalała? – wychrypiała Katarzyna po chwili milczenia. – Co ty tutaj robisz? Wracaj do zamku!

– Nie ma mowy! Drugi raz się pogonić nie dam. Rzekłaś, pani: „Dogoń mnie”. No to dogoniłam. Jadę z panią.

– Chyba naprawdę źle się czujesz, panienko. Wracaj do ojca, tam, gdzie bezpiecznie. Nie wiesz, o co prosisz.

Blanchefleur poczerwieniała.

– Wiem, a proszę tylko o jedno, czyli szansę wyrwania się z tej dziury! Od czterech lat czekam, aż mnie ktoś stamtąd zabierze! Nie zostanę starą panną na żołdzie srającego pod siebie księcia!

– Ale my nie jedziemy na żaden dwór. Nawet do Niemiec nie jedziemy. Jedziemy do Holandii!

– Tym lepiej!

– Gdzieś ty się w ogóle nauczyła jeździć konno?

– Mój ojciec to generał kawalerii. – Von Barby wzruszyła ramionami. – A żołnierze często się nudzą. To jak będzie?

– Panno Katarzyno – wtrącił się Euwe. – Jeżeli panna Blanche fleur tak bardzo chce z nami jechać i nie będzie dla nas obciążeniem, to nie rozumiem, czemu jej tego zabraniać. Zwłaszcza że jedna białogłowa na koniu to ewenement, dwie zaś to już dziwadło, a dziwadła rzadziej się zatrzymuje na drogach.

Katarzyna spiorunowała go wzrokiem i zmięła w ustach przekleństwo. Blanche fleur czekała.

– Pieniądze masz?

– Trochę mam.

– No dobra. Ale bez pazia.

Blondynka aż pisnęła z radości i klasnęła w rękę.

– Otto, słyszałeś panią! Dawaj sakwy na Wejlantyfa i fora do Birstein!

– Ale panienko...

– Żadnych dyskusji, zejdź mi z oczu.

Przeładunek trwał krótko. Gdy ruszyli, Blanche fleur zrzuciła maskę hardej amazonki i znów stała się trzpiotką, którą była na ucztach u dwóch Wilhelmów.

– Nawet sobie, pani, nie wyobrażasz, jak się cieszę! Ojciec, proszę sobie wystawić, chciał mnie wydać za swojego pułkownika! Chłop brzydki tak, że zęby bolały, a nogi od konia miał tak krzywe, że gdyby usiadł na kłodzie, to mógłby nimi wiosłować jak kaczką. A nazywał się Wili von Bramberg, wszyscy mówili doń Wili, nie Wilhelm, a to żeby księcia pana nie denerwować, bo książę pan, gdy tylko słyszał Wilhelm, to myślał, że chodzi o niego, a chodziło o tego drugiego, więc Wili. No i on któregoś dnia, smaląc do mnie cholewki, przyniósł mi wiersz i okazało się, że to był wiersz nadwornego gryzpiórka, który włożył moje imię w wyznaczone miejsce, a to wiedziałam, ten sam gryzpiórek bowiem dzień wcześniej próbował też do mnie smalić tym samym wierszem... Przyznaję, szkoda mi trochę dworu w Zweibrücken, bo i światowy, i ciekawy, ale może Holandia i lepiej, z dala od wojny, a i mniej się tytuły liczą... Bo ja nie mam nic przeciwko mieszczanom, o ile nie są chamscy. A poza tym żadnych katolików! A być może i na dwór orański się uda trafić... Z panią, jak sądzę, to niewiele rzeczy jest niemożliwych...

Katarzyna nie komentowała. Myślała.

\*

Schenk, jak zwykle w ostatnich dniach, klął, na czym świat stoi. Najpierw okazało się, że dwóm ciurom, których ciągnął ze sobą cały czas od Thalfingen, przestała się podobać hanza i zostali w Birstein. Tym samym jego oddział skurczył się do żenujących rozmiarów czterech chłopów łącznie z nim, w tym jednego rannego. Potem dragoni Wilhelma nie mieli najmniejszej ochoty oddać się pod jego komendę – aż musiał strzelić w pysk podoficera. A teraz źle wybrali drogę i zamiast na zachód, skierowali się prosto na północ, czyli tam, gdzie Katarzyna najprawdopodobniej nie pojechała. Schenk nie chciał teraz skręcać na ślepo, ale wiedział, że w końcu będzie musiał.

Dopisało mu szczęście. Koło południa usłyszał za plecami konia w galopie. Przez chwilę myślał, że to któryś z pośpiesznych podjazdów Wilhelma, ale koń był jeden. Poznał jeźdźca bez trudu: był to ten sam brodac, który urządził rzeźnię w koszarach w Birstein. Schenk wraz z podkomendnymi zastąpili mu drogę.

– Prrr... – Mężczyzna się zatrzymał. Nie zbliżał się. – Mości najemniku, już drugi raz się spotykamy – odezwał się krystaliczną niemiecczyzną.

– Oby ostatni – odwarknął Schenk. – Uciekłeś z dziewczyną? Gdzie ona jest?

Erquicia wahał się bardzo krótko. Panna nie była mu do niczego potrzebna, bo jej odporność na precyzja najwyraźniej nie była rzeczą tak rzadką, jak sądził wcześniej, do tego szczerze obawiał się o jej zdrowie i życie na zatłoczonych wojskiem gościńcach, a w dodatku nie mógł teraz pozwolić sobie na kłopoty z przejazdem.

– Na gościńcu do Giesen, jakieś dwie godziny przed wami. Jedzie wolno. Musicie się cofnąć na rozdroże i tam w prawo.

Schenk zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem. Nie wiedział, czy brodaty kłamie, czy nie, ale nie miał innego wyjścia, jak mu uwierzyć. Szczególnie że nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w bójkę z człowiekiem, który na jego oczach spalił jednego i wypruł flaki drugiemu, nawet go nie dotykając.

– Jedź – powiedział.

Brodacz skinął głową i ruszył do przodu. Oddział zawrócił konie i pogalopował w przeciwnym kierunku.

Na gościńcu oddział Schenka mijał coraz więcej żołnierzy księcia zmierzających w przeciwną stronę, ale były to tylko drobne podjazdy. Gdy jednak cofnęli się do rozwidlenia, o którym powiedział im brodaty, ich oczom ukazała się potężna kolumna wojska.



– Szwedzi! – zawołał zdumiony Schenk, patrząc na równo maszerujące szeregi muszkieterów pod powiewającymi lazurowymi sztandarami. Bębniarze wygrywali równy rytm, z tysięcy gardeł lała się ta sama wojenna pieśń. – Skąd oni się tu wzięli?!

– Nie rozumiesz? Gustaw Adolf okrążył Birstein od południa i połączył wojska z Wilhelmem! – odpowiedział mu Sójka, przekrzykując hałas. – Wallenstein spodziewa się go od północnego wschodu, a on nadejdzie z południowego zachodu. Od północy idą pewnie Sasi. Mądry, chrobry pan, znać sztukę!

– Jak my teraz przejedziemy?

– Nie przejedziemy. Przynajmniej nie gościńcem.

Nie widząc innego wyjścia, ruszyli polem wzdłuż drogi, modląc się, żeby nie natrafić na gęsty las i żeby żaden z koni nie złamał nogi. Mijali kolejne zastępy Szwedów. Przez pierwsze minuty widzieli muszkieterów w żółtych kurtach i garnczkowych hełmach. Następnie wyrósł las drzewców na dziesięć łokci – to szli pikinierzy, okuci w stalowe napierśniki, gotowi do bitwy, maszerujący równo jak na defiladzie. Przed nimi szła kolumna artylerii – ciągnięte końmi falkonety, ćwierć- i półkolubryny, oktawy i notszlangi wraz z obsługami. Co jakiś czas mijał ich głośno galopujący oddział kawalerii lub podjazd. Wszędzie roiło się od błękitu i złota. A gdy Schenk i jego podkomendni wjechali na jedyne w pobliżu wzgórze, zobaczyli czarne węże kolumn pełną rażąco wszystkimi okolicznymi drogami.

Najemnik milczał, zdumiony. Widywał wiele armii, również oddziały szwedzkie, jednak nigdy w takiej kupie. Czuł bojaźń przed siłą, a Szwedzi prezentowali siłę straszliwą – karną, bitną, bardzo szybko posuwającą się naprzód. Tempo mieli takie, że młodzianowi trudno było w nie uwierzyć. Szwedzka armia znana była z błyskawicznych manewrów, ale nigdy dotąd nie widział tego na żywo.

Przemarsz utrudniał dziwnemu oddziałowi Schenka poruszanie się, bo oprócz tego, że musieli się przepychać, co jakiś czas nadgorliwi szwedzcy oficerowie zatrzymywali ich, podejrzewając, że są szpiegami. Ingemar, potrafiący się z nimi dogadać, był tu na wagę złota. Niestety, koń Hansa wdepnął w kretowisko i złamał albo skrzywił nogę, tak jak się tego obawiali. Nie mając innego wyjścia, zostawili kompana i ruszyli dalej.

Gdy dotarli w końcu na front armii, było już grubo po południu. Poszli w galop. Schenk wiedział, że musi dogonić Katarzynę, zanim wrogie wojska się zetną, inaczej będzie stracona na zawsze. Nie było mowy o żadnych tropach – wszystko było zdeptane przez zwiady i podjazdy. Pędzili, a powietrze naokoło nich robiło się coraz cieplejsze, jednak nie wskutek wiosennego ocieplenia.

Pobliskie wioski płonęły.

\*

Stali na szczycie niewielkiego pagórka. Katarzyna milczała, wściekła, a reszta z przerażeniem obserwowała widoczne na horyzoncie kominy dymu i pojawiające się tu i ówdzie małe grupki konnych, z tej odległości wyglądających jak mrówki.

– Musi cesarscy iść od zachodu – zauważył z niezadowoleniem Jasny. – Ogromna armia, mościa panienko, nie ma szans. Nawet nie próbujmy, bo to jak siebie samego zabijać, a mówił pleban, że to grzech i kto tak uczyni, ten się będzie w piekle palił po wsze czasy, amen.

– Więc co?

– Prosto na północ. Teraz, już, natychmiast. Widzisz, pani, te budynki? Tamtędy. Jakby to byli Szwedzi, byłoby ino zawrócić, bo oni szybciej maszerują.

– Zatrzymamy się tam na chwilę. Muszę się przebrać w coś poręczniejszego. Blanchefleur, masz ze sobą ubrania?

– Oczywiście, że tak – odparła tamta, oburzona, że Katarzyna mogła w ogóle pomyśleć inaczej.

– No to ruszajmy.

Po paru minutach dotarli do zabudowań. Nie było to gospodarstwo, jak początkowo sądzili, a opuszczona gospoda, której właściciele najwyraźniej uciekli, widząc zbliżającą się armię. Weszli do małej chałupy, Katarzyna pobiegła do tylnej izby, by przebrać się w podróżną, nieco za dużą, brązową suknię Blanchefleur, a ozdobne atłasy księcia Wilhelma porzucić na zawsze. Reszta wypatrywała strwożona przez okna.

– No, nie do końca to miałam na myśli, chwając się dwórkom, że jadę na przygodę życia – kwaśno zauważyła Blanchefleur.

– Niech się panienska modli, żebyśmy zdążyli – wyszeptał blady jak ściana Euwe. – Nie ma miejsca dla cywilów na polu bitwy.

Katarzyna była gotowa po paru minutach. Wiedzeni bardziej emocjami niż pragmatyzmem, zabrali z gospody dwie zdobiące ścianę szpady i czym prędzej ruszyli na północ. Jechali jak szaleni przez kilkanaście minut, ale dymy z zachodu przybliżyły się coraz bardziej – pędzili wzdłuż frontu armii. Gdy w końcu znikły, wszyscy odetchnęli z ulgą, jednak nie na długo.

Gdy wyjechali zza zakrętu w niewielkim zagajniku, wpadli prosto na niewielki kawaleryjski podjazd w zielonych mundurach. Nie mieli pojęcia, co to za żołnierze, i nie zamierzali tego sprawdzać – rzucili się do panicznej ucieczki. Podjazd ruszył za nimi. Pędzili na północ najprędzej jak mogli, za sobą słyszeli okrzyki żołdaków. Katarzyna błogosławiła damskie siodło, dzięki któremu w ogóle mogła jechać stępa.

Wjechali na otwarte pole. Siwek zaczynał już robić bokami, gdy usłyszeli za sobą nowe dźwięki – odgłosy walki. Katarzyna zaryzykowała zatrzymanie się i rzuciła okiem na pościg. Rozszerzyła oczy ze zdumienia.

– Schenk! To Schenk ich bije!

– Oho, z żołnierzami Wilhelma! – zawołał Euwe. – Panienko, jeszcze prędzej uciekajmy!

Nie trzeba jej było tego dwa razy powtarzać. Spięła konia. Obok niej kłusowała Blanchefleur z rozwianymi blond włosami i niepokojem na twarzy. Jasny, chociaż poganiał osiołka jak mógł, został zupełnie z tyłu. Z kolei ogier Euwego zaczynał niedomagać, zmęczony ciężarem grubego naukowca.

– W las! – zapiszczała Katarzyna, gdy dotarli do zagajnika, którym kończyło się pole. Nie miała pojęcia, gdzie się znajdują.

Ostatnim rzutem oka przez ramię udało jej się uchwycić, że Schenk i jego oddział wplątali się w kolejną walkę, z grupą konnych, która pojawiła się nie wiadomo skąd.

Odwróciła wzrok. Musiała skupić się na utrzymaniu w siodle, bo klonowe gałązki młodego zagajnika uderzały ją raz za razem. Blanchefleur przytuliła się do końskiego grzbietu, Euwe zasłaniał twarz rękami, Katarzyna próbowała zrobić coś pośredniego – konie niosły ich same między drzewami. Szaleńcza galopada skończyła się dopiero po kilkunastu minutach, kiedy zmęczone zwierzęta zatrzymały się na skraju lasu.

Katarzyna, podrapana, obolała, ale szczęśliwa, że udało jej się nie spaść, zeskoczyła z Siwka. Nogi jej drżały. Chwyciła się uzdy i oparła na niej cały ciężar.

– O Boże – powiedziała nagle Blanchefleur. – O Boże, o kurwa. O nie. Nie, nie chcemy tutaj być!

Katarzyna podniosła głowę i natychmiast zorientowała się, o co chodzi von Barby. Stali na szczycie niewielkiego, pochyłego wzgórza, z którego rozciągał się prospekt na okolicę. Było ono częścią łańcucha pagórków otaczającego płaską, lekko przechyloną na północ nieckę wielkości kilkunastu hektarów. Na wzgórzu po prawej właśnie okopywała się jakaś artyleria, podobnie jak na wzniesieniu niecałą milę w lewo. Z kolei na pole pod nimi wylewały się rzeki błękitnych, złotych, szarych, zielonych, lazurowych, białych i różnokolorowych wojsk z łopoczącymi na wietrze sztandarami. Pobladła. Zdecydowanie nie chcieli tu być.

Krótko po spotkaniu z najemnikiem Erquicia nagle ściągnął wodze i się zatrzymał. Coś chodziło mu po głowie, ale nie potrafił tego sprecyzować. Jakaś niejasna myśl lub intuicja uwierała jego mózg i nie pozwalała trzeźwo myśleć, doprowadzając do szaleństwa – za każdym razem, gdy już-już miał ją złapać, umykała. W końcu go olśniło.

Reakcja dziewczyny na wieść o tym, że jest dominikaninem, była nad wyraz przesadna. Owszem, zakon miał kiepską reputację wśród protestantów, ale mimo wszystko... Dlaczego aż tak się przestraszyła? Kazała mu odejść bez chwili wahania, była przerażona.

Koń. Dopiero teraz się zorientował, skąd zna wielkiego, bojowego ogiera ze strzałką, którego widział w stajni w Birstein. To był koń brata Aleksandra, członka oddziału Tilenheima.

Powrócił myślami do jasno oświetlonej, marmurowej komnaty w Rzymie. Właśnie otrzymał rozkazy na nadchodzącą kampanię, podobnie jak ośmiu ordynariuszy przed nim i tak jak dostać je mieli kolejni. Wielki generał Serafin Secchi pobłogosławił jego starania i dysponował dalej. Erquicia słuchał jednym uchem, pogrążony w studiowaniu spisu manuskryptów, które miał odnaleźć w ogarniętych wojenną pożogą Niemczech.

– Bracie, może nie okryjesz się chwałą bojową, ale zadanie, które ci powierzam, jest być może najważniejsze z tych, które tu dzisiaj rozdzielam...

Dalej było coś o błogosławionych – takich jak Herzbruder, pomyślał, czując ukłucie żalu i wściekłości – o wyjątkowości sytuacji, bo ponoć zjawisko było szczególnie silne, o szwedzkim wywiadzie, o dziewczynie...

Dziewczyna.

Zawrócił konia i ruszył galopem na zachód. Jeżeli panna, która go uratowała i którą tak nierozsądnie puścił samopas, to ta sama, o której mówił Secchi, to znaczy, że Tilenheim ze swoim inkwizytorskim zamordyzmem nie wypełnił misji. Trzeba koniecznie schwytać dziewczynę, zanim zrobi to najemnik – pal lichu bitwę!

Pędził jak wicher. Zwolnił dopiero, gdy koń zaczął się potykać – i to go uratowało, ponieważ tuż przed sobą zobaczył maszerującą kolumnę szwedzkiego wojska. Zaklął brzydko – albo Gustaw Adolf wymyślił jakiś fortel, albo zakonnik stracił orientację w terenie. Ruszył ostrożnie równoległe do kolumny, starając się trzymać drzew i zabudowań, kilka razy o mały włos nie wpadł na podjazd. Nie mógł w nieskończoność jechać i zarazem ukrywać się przed wojskiem. W pierwszej chwili chciał porzucić konia, ale zdecydował się na ryzyko – poderwał zwierzę do szaleńczego kłusu wzdłuż drogi. Tak jak miał nadzieję, większość żołnierzy wzięła go za uciekającego cywila. Kilka strzałów, które do

niego oddali, było niecelnych. Nikt go nie ścigał. Kolumna zbyt zajęta była maszerowaniem.

Zajrzał do opuszczonego budynku, który napotkał przy drodze. Na zapleczu znalazł porzuconą suknię, tę samą, w którą ubrana była dziewczyna. Nie miał pojęcia, gdzie ona i jej towarzysz mogli się udać. Przez jakiś czas ostrożnie kluczył po okolicy, aż w końcu usłyszał odgłosy potyczki. Wiedziony intuicją ruszył w tamtą stronę. Zobaczył kompanię Katarzyny znikającą w lesie. Ominął walczących i zostawił biednego, wymęczonego konia, odcinając mu wcześniej uprząż i wędzidło. Ruszył pieszo przez zagajnik, idąc wzdłuż złamanych gałęzi.

\*

– Uciekajmy! Musimy uciekać! – krzyknął przerażony Euwe. – Zaraz będzie bitwa!

– Nie – mruknął cichy głos tuż za nimi. Kompania jak na komendę wzdrygnęła i odwróciła. To był brodaty dominikanin. – To samobójstwo. Wszędzie naokoło są wojska. Połóżcie konie między drzewami. Musimy tutaj zostać i się modlić, żeby nie wpadł na nas żaden podjazd. Jeśli trafimy na katolików, wyratuję nas. Jeśli na protestantów... – Zawiesił głos.

– Skąd ty się tutaj znowu wziąłeś? Nie dacie mi nigdy spokoju?! – wybuchnęła Katarzyna.

– Skąd by się nie wziął, dobrze mówi! – krzyknęła do niej Blanchefleur, pośpiesznie prowadząc konia z powrotem do lasu.

Euwe poszedł w jej ślady. Katarzyna westchnęła i zrobiła to samo. Delikatnym naciskiem skłoniła Siwka do położenia się, a sama ukryła się za niewielką brzoźką, utrzymując dystans od dominikanina. Jasnego nigdzie nie było.

Czekali. Patrzyli.

Od południa i południowego zachodu na pole nadciągali Szwedzi i ich koalicjanci z księstw protestanckich. Podróżni mieli szczęście – wzgórze, na którym się znaleźli, umiejscowione było na samym końcu pola bitwy, więc w miejscu nieistotnym strategicznie. Po ich lewej stronie ustawiała się piechota, na flance po prawej – kawaleria, którą jakimś cudem udało im się ominąć w szaleńczym biegu przez las, skierowana frontem w stronę płaszczyzny. Ich pagórek stał na styku dwóch formacji i prawdopodobnie dlatego Gustaw Adolf zdecydował się zabezpieczyć go artylerią i szeregami pikinierów, które stanęły u jego podnóża, zaledwie kilkaset ćwierć mili od nich.

Po przeciwnej stronie pola, od północy i północnego zachodu, pojawiały się wojska katolickie – najpierw hiszpańscy tercios, później wielobarwna piechota księstw katolickich, na końcu zaś oddziały habsburskie. Wskutek

nieoczekiwanego manewru Gustawa Adolfa armia zmuszona była dokonać zwrotu o dziewięćdziesiąt stopni. Katolickie szeregi były o wiele mniej zdyscyplinowane i ułożone niż szwedzkie, jednak było ich tak wiele, że nie zdawało się to istotne, mimo że stały niekorzystnie pod kątem, nie mając jak wyrównać szyku. Na zupełnie przeciwnym krańcu niecki kotłowała się kawaleria austriacka, wydając więcej brzęku ciężkimi pancerzami niż cała reszta wojska razem wzięta.

Ustawianie wojsk trwało prawie dwie godziny, w czasie których podróżni siedzieli cicho jak myszy pod miotłą, obawiając się wystawiać głowy z za drzew dalej niż na dwa cale. Następnie zapadła podejrzana cisza, co jakiś czas przerywana armatnimi wystrzałami burzącymi szyk tej czy innej formacji. Fronty obu armii oddzielało od siebie jakieś ćwierć mili. Wszyscy strony zdawały się na coś czekać.

W końcu od strony szwedzkiej oderwał się niewielki oddział nietypowo wyglądającej piechoty. Dyrygowali nim konni oficerowie w granatowych mundurach wraz z chorążymi, niosącymi olbrzymie sztandary ze szwedzkimi lwami. Oddział ustawił się w czworobok, dzięki czemu Katarzyna i jej towarzysze mogli uważniej przyjrzeć się ludziom. W ogóle nie wyglądali na żołnierzy – pozbawieni pancerzy, z gołymi głowami, uzbrojeni jedynie w krótkie miecze, za to przepasani mnóstwem skórzanych sakw. Na znak jednego z chorążych zaczęli śpiewać, jednak nie była to zwykła pieśń bojowa. Brzmiała jak pomruk z tysiąca gardeł, melodyjny, ale pozbawiony treści zaśpiew, piękny i straszny zarazem.

- A więc to prawda... – wyszeptał Erquicia.
- Co jest prawdą? Co? Kto to jest? – chciał wiedzieć Euwe.
- Sjungonderzy. Śpiewcy zła...
- Czyli kto?!
- Szwedzi posługujący się precyzjami.
- Precyzjami? Co? Chodzi panu o eteromancję?
- Jak zwał, tak zwał. Ale to oznacza, że zaraz...

Spośród mas wojska cesarskiego zaczęli wychodzić i wyjeżdżać konno pojedynczy, ciężko uzbrojeni żołnierze. Ustawiali się w formację przed pierwszymi szeregami. Nawet z daleka widać było ich charakterystyczne stroje – białe opończe z czarno-białym krzyżem. Dominikanie.

Nie minęły trzy minuty, a oba kilkusetosobowe czworoboki – biało-czarny i niebiesko-złoty – ruszyły na siebie środkiem pola. Maszerowały powoli – Szwedzi nucąc swoją pieśń, dominikanie w milczeniu. Nad dwiema formacjami rozciągała się atmosfera niesamowitości, zupełnie niepodobna do tej, jaką wywoływały inne wojska. Z obu stron odezwały się artylerie, jednak ogień

z armat nie zrobił na czworobokach prawie żadnego wrażenia, kule jakby znikwały w powietrzu – jedynie kilku dominikanów padło od kuli ze szwedzkiej półkartauny, która uderzyła nie w samych zakonników, lecz nieco z boku.

Gdy czworoboki znalazły się kilkadziesiąt kroków od siebie, po stronie szwedzkiej rozbłysnęło bardzo jasne, upiorne światło. Kilkunastu sjungonderów w środkowych szeregach odrzuciło na wszystkie strony, ale wtedy ich pierwsza linia wzniosła ręce, a nad całą formacją pojawiła się błękitnawa poświata, podobna do mgłonego szkła. Dominikanie wymachiwali rękami, jednak nic tym nie osiągnęli, za to w jednej chwili sami zaczęli się przewracać i stawać w płomieniach. Do obserwujących dotarły pierwsze wrzaski mordowanych.

Szwedzi stanęli w miejscu. Pierwszy szereg wycofał się, a ręce podniósł drugi. Po przejściu kilkadziesiąt kroków manewr powtórzono. Jednak z każdą wymianą szeregów niesamowita, błękitnawa osłona, będąca najwyraźniej jakąś formą tarczy, zniknęła na kilka sekund. Za czwartym razem dominikanie wykorzystali tę chwilę przerwy i utworzyli w pierwszym szeregu kilka wyrw, za którymi na ziemi pozostawały zwłoki wijących się z bólu i podpalanych ludzi. Wśród Szwedów powstało drobne zamieszanie, jedni ruszyli do przodu, inni zostali w miejscu, chorąży rozpaczliwie machał flagami, oficer zaczął trąbić, ale było już za późno – pierwsze linie się rozpadły, a zakonnicy zaczęli miotać zaklęcia. Rozgorzał niewiarygodny bój. Jeden z dominikanów dosłownie wyleciał w powietrze na wysokość ratuszowej wieży i po chwili spadł z przeraźliwym łoskotem. Inny został rozerwany na strzępy. Szwedzi kładli się na ziemi, jakby zasypiali. Kolejni chwyтали się za twarze, oślepieni niezwykłymi rozbłyskami. Po polu w poprzek przebiegła wielka kula światła, spopielaając wszystko na swojej drodze. Obie armie patrzyły na ten spektakl w milczeniu. Żołnierze po obu stronach, przerażeni, zegnali się raz za razem. Ciszę przerwał dopiero chłopskie pospolite ruszenie po stronie cesarskiej, które zaczęło po prostu uciekać.

– Powiniennem tam być... – wyszeptał Erquicia, jakby do siebie.

Katarzyna spojrzała na niego czujnie.

Nagle usłyszeli przeraźliwy hałas trąb bojowych i wzmagający się tętent koni szarżujących za wzgórzem, które zajmowała artyleria cesarska. Po chwili odgłosy uzupełnione zostały bitewnym tumultem. Nie mogli dostrzec, co się tam dzieje, jednak Erquicia przypomniał sobie fragmenty wizji, którą zesłało nań wzmocnione działaniem wiridium praeciosium vocans.

– Jan Jerzy! – zawołał. – Kawaleria saska! Okrążyli nas od północy... Uderzyli od tyłu...

Katarzyna patrzyła na pole bitwy z rosnącą odrazą. W ciągu ostatnich tygodni widziała wielu zamordowanych ludzi, być może powinno jej to spowszednieć,

ale za każdym razem na ten widok robiło jej się niedobrze. Zaczęła się trząść z wściekłości. Na co to? Po co? W imię jakiego boga ci ludzie się mordują? Jeśli tak wygląda wojna... Po co? Po co? Po co?!

Zobaczyła, jak szwedzkiego oficera zmiata z konia bezbłędnie wymierzone precyzjum. Żołnierz, spadając ze zwierzęcia, dosłownie rozpadł się na kilka części, z których każda potoczyła się w inną stronę. Jeden z dominikanów czołgał się, wrzeszcząc, a za nim ciągnął się długi ślad jego wnętrzości. Zamknęła oczy. Chciała tylko, żeby to się skończyło. Żeby ci ludzie przestali się mordować. Żeby wszyscy oni dali jej święty spokój. Żeby wszyscy przestali robić rzeczy, które napawają ją obrzydzeniem do nich. Pragnęła tego z całego serca, jak jeszcze nigdy niczego w życiu. Poczwała, jak to pragnienie zaczyna się z niej wylewać i ogarniać całą okolicę.

Nagle wszystko umilkło. Walka zamarła.

Katarzyna otworzyła oczy.

Dominikanie i sjungonderzy ze zdumieniem wpatrywali się w swoje ręce i zaciskane w nich przedmioty. Machali rękami jak oszaleli, nie uzyskując żadnych efektów. Niektórzy stanęli jak wryci, nie rozumiejąc, co się dzieje. Po kilku sekundach dezorientacji pierwsze szeregi walczących wyszarpnęły z pochew miecze i skoczyły sobie do gardeł.

– Co ty robisz?! – krzyknął Erquicia, który również poczuł siłę, piętrzącą się wokół Katarzyny. – Jak ich blokujesz?! Przestań! Natychmiast przestań!

– Nie umiem – odpowiedziała zimno dziewczyna. – A nawet gdybym umiała, to bym tego nie zrobiła. Patrz, jak naprawdę wyglądają twoi bracia.

Dominikanie rzucili się na sjungonderów jak wściekłe psy. Wyszkoleni również w walce wręcz, przechodzili przez szwedzkie szeregi jak drwale przez brzozowy lasek. Mimo że przeciwnicy zaczęli uciekać, bezlitosny mord trwał dalej. Armie poruszyły się niespokojnie jak zranione zwierzęta, niepewne, co teraz.

Austriacy pierwsi zorientowali się, że wróciły stare zasady gry. Kirasjerzy ruszyli do szarży, ale drogę zablokowali im walczący pośrodku pola dominikanie, którzy natychmiast zaczęli się rozbiegać... Jednak zbyt wolno. Kawaleria zorientowała się, że trątuje sojuszników i zatrzymała się w środku pola. Po chwili uderzyła w nią szwedzka artyleria. Jednocześnie protestanczy rajtarzy uderzyli na lewe skrzydło, poprawiając w miejscu, które od drugiej strony atakował elektor Saksonii. Szwedzcy muszkietierowie, postrach pól bitewnych, chcieli włączyć się do walki, musieli jednak przepuścić uciekających sjungonderów, po czym nie potrafili już zewrzeć szyku. Armie ruszyły na siebie bezwładnie jak stalowe fale, nie do powstrzymania i nie do ogarnięcia. Fronty rozpadały się w oczach.



Zapanował kompletny chaos, oczywisty nawet dla nieznaających się na sztuce wojennej Katarzyny i Blancheffleur.

W tej samej chwili za ich plecami pojawili się żołnierze. Między nimi stał Schenk z twarzą brudną od krwi.

W końcu ją znalazł.

– Katarzyno!

Podróżnych otaczał pierścień złożony z sześciu ludzi. Schenk, Ingemar, Sójka i kilku Hesów zaszli ich po cichu. Wszyscy mieli obnażone miecze. Dziewczęta i naukowiec nie mieli dokąd uciekać.

– Katarzyno, spokojnie! Nie zrobimy ci krzywdy. Odstawimy cię do Kassel, tak jak proponował ci Wilhelm. Będiesz bezpieczna.

– Już raz to słyszałam! Od ciebie, świnio!

– Zrozum, nie miałem wyjścia. To było najlepsze, co mogłem zrobić – przekonywał Schenk, krok po kroku zbliżając się do niej.

Drogę zagroził mu Erquicia.

– A więc spotykamy się po raz trzeci, najemniku – powiedział spokojnie. W ręce ścisnął garść piasku.

– Zejdź mi z drogi – warknął młody żołnierz.

– Ani mi się śni. Zostaw dziewczynę w spokoju.

Dominikanin skupił się z całych sił, nabrał powietrza do płuc i rzucił piasek w powietrze. Ryzykował. Nigdy dotąd nie próbował użyć *praeciosum sapiens* z tym katalizatorem, nigdy na tylu osobach jednocześnie. Ale musiał spróbować.

Udało się. Wszyscy, włącznie z Katarzyną, Blancheffleur, Euwem i końmi, tak jak stali, padli na ziemię, zasypiając w ułamku sekundy. Wszyscy poza Schenkem, który zobaczywszy, że brodacz wykonuje gest, odskoczył za drzewo. Kiedy wyszedł zza pnia, zaczął ostrożnie zbliżać się do zakonnika. Wyciągnął z pochwy lewak. Erquicia podniósł jeden z rapierów upuszczonych przez heskich gwardzistów.

– Zostaw dziewczynę w spokoju – powtórzył.

– Kim ty w ogóle jesteś?!

– Mniemam, że poznałeś mojego kolegę po fachu. Brata Eugena. Tilenheima.

Schenk pobladł. Wyżej podniósł miecz. Zaczęli krążyć jak gotowe do walki koty.

– Czego od niej chcecie? Będzie bezpieczna w Kassel!

– Szczerze mówiąc, ja nie chcę od niej niczego. I nie wiem, czego chce od niej generał naszego zakonu, ale nie sądzę, żeby planował zrobić jej krzywdę.

Najemnik nie czekał dłużej. Przyskoczył i wymienili trzy szybkie ciosy.

Od razu wiedzieli, że już jest po walce. Erquicia był o wiele, wiele lepszy. Nie tak nieludzko szybki jak Tilenheim, ale jednak lepszy. Kilkoma kolejnymi

sztynchami wytrącił miecz z ręki Schenka, raniąc go w dłoń. Najemnik rzucił się na niego z lewakiem, ale dominikanin odskoczył kocim susem i uderzył go pięścią w skroń tak, że przeciwnikowi aż pociemniało w oczach. Schenk padł na ziemię, ale natychmiast się poderwał. Po to, żeby zobaczyć, jak brodacz podnosi z ziemi ptasie pióro.

– Puściłeś mnie tam, w Birstein, puściłeś mnie też na trakcie – przemówił dominikanin. – Teraz ja puszczam wolno ciebie. Miejmy nadzieję, że to naprawdę nasze ostatnie spotkanie. Hlm.

Schenk zasnął na stojąco. Upadł jak ścięty i stoczył się do wykrotu.

Erquicia wrócił na skraj lasu, od którego zdążyli się trochę oddalić. Spojrzał na pole bitwy. Kawalerie obu stron ugrzęzły w tłumie piechoty, nie mając jak się wycofać z osłoniętej wzgórzami niecki. Szeregi muszkietarów, niezdolne do zorganizowania kontrsalwy, wpadały na siebie. Usypiając Katarzynę, Dominik zdjął też jej blokadę i teraz, w samym środku walczących oddziałów, zakonnicy i sjungonderzy roznosili żołnierzy przeciwnych stron na strzepy. Sprawiali niczego nieświadomym, nieprzygotowanym wojakom krwawą łaźnię daleko wykraczającą poza granice tego, co Erquicia mógł określić mianem cywilizowanej wojny. W jednym miejscu sześciu dominikanów ustawiło się plecami do siebie w okrąg i połączywszy siły, dosłownie podpaliło cały czworobok meklemburskich pikinierów, którzy biegali teraz po polu, ciągnąc za sobą gęste smugi przerażenia, smrodu spalonych włosów i dymu. Oddziały rozpadały się jeden po drugim i salwowały paniczną ucieczką. Patrząc na ponure widowisko, Erquicia zrozumiał, dlaczego Katarzyna chciała je zatrzymać, i zapragnął tego samego. Nie miał jednak takiej mocy.

Spojrzał na śpiącą dziewczynę. Nagle przez bitewną wrzawę i chaos myśli związany z gwałtownie następującymi po sobie wypadkami przebiła się porażająca świadomość: wcale nie był wolny. Podobnie jak księżę Hesji, generał Secchi czy Gustaw Adolf był częścią wielkiego układu, nad którym nie panował, na który miał znikomy wpływ i który pochłaniał go z potworną siłą. Wielkiej zmowy, która skutkowałą tym, że na polu za jego plecami ponad sto tysięcy ludzi usiłowało się właśnie zamordować. Katarzyna była poza tym układem. Podobnie jak wcześniej Herzbruder, którego weń wciągnął. Erquicia nie był pewien, czy chciał mieć kolejną duszę na sumieniu – bo nawet gdyby dziewczyna przeżyła, oddana w ręce zakonu przestałaby być niewinna, sama stając się częścią tej układanki..

Zdecydował się. Nie było czasu do stracenia – doświadczenie podpowiadało mu, że lada moment, nie mogąc prowadzić walki w takich warunkach, obaj wodzowie zwiną szyki. Podszedł do osobliwej trójki podróżnych i ocucił ich. Gdy Katarzyna otworzyła oczy, postawił ją na nogi.

– Jedźcie. Obudźcie konie i jedźcie.

– Co... się stało? Co z bitwą? Gdzie Schenk?

– Najemnik? Poszedł spać. Bitwa zaraz się skończy. Objedźcie wzgórze od prawej i ruszajcie na północ, tam, skąd nadciągali Sasi. To była kawaleria, jechali bez taborów, więc macie szansę nie spotkać żadnego zwartego oddziału. Uciekinierów ignorujcie, to oni zignorują was. Tylko szybko, bo zaraz będzie za późno.

Ocucili uśpione zwierzęta i siłą zmusili je do wstania. Gdy już siedzieli w siodłach, Katarzyna odwróciła się do Erquicii. Spomiędzy zaniedbanej brody i spykich, czarnych włosów patrzyły na nią mądre, spokojne oczy.

– Dziękuję – powiedziała po prostu i ruszyła.

Za nią powlekli się Euwe i Blanchefleur.

– Tak, dziękujemy. – Blondynka pomachała do niego. – Kimkolwiek jesteś i co zrobiłeś, bo ja, powiem szczerze, nic nie rozumiem i nie mam pojęcia, co się stało! Ale to nic!

Uśmiechnął się na pożegnanie.

Odjechali w samą porę – szwedzcy pikinierzy otrzymali rozkaz odwrotu i zaczęli się wspinać po łagodnym stoku wzgórza. Erquicia wdrapał się na pobliski klon. Wiedział, że nie będzie ich interesować to, co nad nimi. Spędził wśród konarów kilka godzin, modląc się i rozmyślając, po czym zszedł i ruszył w stronę, w którą odeszli cesarscy. Zastanawiał się, co właściwie powie wielkiemu generałowi. Sumienie miał czyste jedynie przed Bogiem.

\*

Jasny przeczekał wielką batalię pod Herbstein w głębokim parowie, jakąś milę od bitwy, gryząc z nerwów korzonki, które wygrzebał z ziemi. Dopiero kiedy zrobiło się ciemno, odważył się wychylić nos. Gdy zobaczył, że nikogo nie ma w pobliżu, rażno ruszył na piechotę do domu. Nie żałował nawet osła. Szkoda mu było tylko tego guldena, którego Euwe nigdy mu nie dał.

## ROZDZIAŁ XIII

Po dotarciu do obozu cesarskiego Erquicia natychmiast odszukał kwatery dominikanów i mimo zmęczenia dołączył do braci, którzy w zaimprovizowanym ambulatorium opiekowali się towarzyszami rannymi w bitwie. Przez kilka godzin nosił bandaż, udzielał sakramentu ostatniego namaszczenia umierającym, zmywał krew i nosił amputowane kończyny do świeżo wykopanych dołów kloacznych. Dopiero gdy zaczął słać się na nogach, bracia konsyliarze odesłali go do jednego z namiotów sypialnych. Tam padł jak kłoda, zmęczony jak chyba nigdy w życiu.

Gdy wstał następnego ranka, zorientował się, że nie ma żadnych szat na zmianę, a wciąż był w tych samych poszarpanych spodniach i brudnej koszuli. Zbroi dla niego zabrakło, ponieważ większość ekwipunku poszła dla uzupełnień, z braku lepszego wyjścia pożyczył więc od jednego z braci habit. Poczł się bardzo dziwnie, jakby nie w swojej skórze – od pół roku nie nosił kościelnych szat.

Dołączył do grupy zakonników, która szykowała się do zjedzenia śniadania w postaci owsianki na wodzie. Byli to członkowie Ordo Praedicatorum Proelium, najnowszej, bo zaledwie kilkunastoletniej, i najbardziej osobliwej odnogi zakonu – bracia, którzy po złożeniu najniższych ślubów, szkoleni byli niemal wyłącznie do walki, z pominięciem większości nauki teologicznej. W związku z tym wychodziły z nich koszarowe nawyki, bynajmniej nielicujące ze świętością funkcji, którą spełniali, jednak Erquicii to nie przeszkadzało. Ze smakiem zjadł owsiankę. Przy okazji dowiedział się, że bilans bitwy był katastrofalny dla zakonu: jedna trzecia Ordo Proelium była ranna lub martwa, zginęło też sporo zakonników wyższej rangi, w tym sam generał zakonu, usiłujący osobiście pozbierać niedobitki dominikanów z ogarniętego chaosem pola.

Na odpowiedź, kto będzie pełnił jego funkcje do czasu wyboru nowego generała, nie musiał długo czekać. Gdy słuchał żołnierskich anegdot, podszedł do niego brat w lekkiej zbroi, z obandażowanym barkiem i ramieniem w temblaku.

- Brat Dominik de Erquicia?
- Tak, to ja.
- Generał zakonu chce brata widzieć.
- A któż nim w tej chwili jest?
- Brat Eugen Tilenheim.

Erquicia zgrzytnął zębami. Obawiał się tego, ale też niewiele mógł na to poradzić – pozostawało mu mieć nadzieję, że kapituła wykaże się rozsądkiem i nie poprze kandydatury fanatyka, którym niewątpliwie był Tilenheim. Chcąc nie chcąc, wstał, pożegnał się z braćmi i udał do niewielkiego namiotu w centrum obozu, który pełnił funkcję sztabu generalnego.

Tilenheim, z przypalonymi włosami i krwawym, jarzącym się czerwienią cięciem na policzku, niechętnie wymienił z nim pozdrowienie i zażyczył sobie sprawozdania z działalności w Niemczech. Słuchał uważnie, stojąc nad stołem zasypanym raportami o stanie zakonu po bitwie. Erquicia opowiadał dość długo: zaczął od dyskusji z generalicją cesarską, a skończył na swojej – niewielkiej – roli w bitwie pod Herbstein. Wiedziony, jak zwykle, intuicją opuścił tylko jeden detal: bryłkę wiridium i wiadomość Andreaego, którą miał przekazać Serafinowi Secchiemu. Gdy zamilkł, Tilenheim popatrzył na niego z mieszaniną złości i niedowierzania.

– Czy ja dobrze słyszę? To wszystko? Naprawdę?

– Tak, bracie. To wszystko.

– Innymi słowy, wyjechałeś w styczniu z Rzymu z misją odnalezienia sześciu aramejskich manuskryptów. Znalazłeś jeden i pozwoliłeś, żeby wpadł w ręce luterńskiego księcia-psychopaty panującego nad precyzjami. W tym czasie nie wiadomo po co rozbijałeś się po całym kraju w towarzystwie jakiegoś prostaka z lasu, którego tenże książę-psychopata zadźgał, bo daliście mu się złapać. Odbyłeś też uroczą pogawędkę z protestanckim teologiem, który zajął uniwersytet w Würzburgu, i dałeś mu się odstawić za bramę jak ostatni uczeń. W dodatku nie tylko nie stawiałeś się w polu, mimo że otrzymałeś vocans, ale jeszcze w trakcie bitwy puściłeś wolno dziewczynę, której ściganie w tym samym czasie kosztowało mnie życie ośmiu braci-magistrów i jednego przeora. Czy coś pominąłem?

– Nie wydaje mi się – odparł spokojnie Erquicia.

Tilenheim poczerwieniał na twarzy.

– Nigdy cię nie lubiłem. – Wbrew zwyczajowi przeszedł z łaciny na niemiecki. – Byłeś za słaby, przepełniony wątpliwościami, za bardzo zapatrzony w swoich dzikusów, wśród których spędziłeś większość życia. Potwierdza się moja opinia. Zakon tyle jest wart, co jego najsłabsze ogniwo.

– Święte słowa – odpowiedział Hiszpan, patrząc Tilenheimowi prosto w oczy.

– Na razie nic z tobą nie zrobię, bo nie mam wystarczających prerogatyw. Postaram się jednak, żeby nie ominęła cię kara za tę błazenadę. Zgłoś się do brata Bertolda po przydział i wypełniaj swoje obowiązki do czasu, gdy cię wezwę. A wezwę, to ci mogę zagwarantować.

\*

Gdy Schenk obudził się po przymusowej drzemce, nie było obok niego ani Katarzyny, ani brodatego Hiszpana. Wokół leżały trupy większości jego żołnierzy, zakłutych dla sportu przez szwedzkich pikinierów. Jemu udało się wykaraskać tylko dlatego, że zasypiając, stoczył się do wykrotu i żołnierze go nie zauważyli. Z najemników pozostał mu tylko Ingemar, którego Szwedzi uznali za swojego. Sójkę Lorentza wciąło gdzieś bez śladu, podobnie jak Hansa.

Tak jak ksiązę Wilhelm mu zapowiedział, Schenk nie miał najmniejszych problemów z odnalezieniem obozu wojsk protestanckich pod Fuldą. Zanim ponownie stanął przed nowym władcą, miał duszę na ramieniu – obawiał się, że głowa dynastii heskiej nie należy do osób, które łatwo wybaczą porażki.

Ku jego zdumieniu i zadowoleniu nie dostał nawet bury, nie wspominając o poważniejszej karze. Wilhelm wysłuchał opowieści o pościgu i się zamyślił. Po chwili poprosił o opowiedzenie mu całej historii Katarzyny od początku.

Znajdowali się w wielkim, ozdobnym namiocie sztabowym, tym samym, w którym Erquicia poznał księcia, czego Schenk rzecz jasna nie mógł wiedzieć. Wilhelm siedział w fotelu i pił wino, patrząc w przestrzeń, za nim wystawał generał von Geysso, czekając na rozkazy, a najemnik opowiadał punkt po punkcie, dzień po dniu całą szaleńczą odyseję. Zaczął od otrzymania kontraktu w Lejdzie, opisał nieciekawą drogę przez zamrożone Niemcy w ramach eskorty dwóch naukowców, następnie przeszedł do draki na zamku w Thalfingen, panicznej ucieczki przed dominikanami, wydarzeń w Gemünden i pobliskim lesie. Gdy skończył, zaschło mu w gardle tak, że miał ochotę poprosić o wino, ale nie miał czelności.

– Najbardziej w twojej opowieści zdumiewa mnie to, Schenk, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bardzo mnie ona zdumiewa.

Najemnik spojrzał na niego pytająco.

– Pomijając już kwestię tej... von Besserer, tak? Która faktycznie wydaje się interesującym łupem, choć nie aż tak, żebym miał poświęcać jej więcej uwagi, niż już poświęciłem... Prawdopodobnie o tym nie wiesz, ale ani jeden z moich ludzi, którzy mieli okazję przyjrzeć się obyczajom tych magicznych dominikanów, nie wrócił. Nigdy. Ani jeden. Słyszałem też o tym Tilenheimie, nawet jego bracia szepczą to imię ze strachem. Bezlitosny, pozbawiony jakichkolwiek skrupułów człowiek. Ty zaś spotkałeś go trzy razy, w tym dwa razy widziałeś się z nim twarzą w twarz, i wszystkie z tych spotkań przeżyłeś. Jeżeli choćby połowa z tego, co tu opowiedziałeś, jest prawdą, to przydasz mi się o wiele bardziej, niż sądziłem, chociaż na razie, spójrzmy prawdzie w oczy, nie popisałeś się szczególnie. Ale wróciłeś, mimo że mogłeś uciec za siódmą rzekę

i nigdy więcej bym o tobie nie usłyszał, co jest na swój sposób wzruszające. Chciałbym ponowić moją propozycję z zamku Birstein: patent oficerski, choć na nieco gorszych warunkach... A jeżeli i tym razem sknocisz sprawę, po prostu wyślę cię do piechoty, żeby zadźgali cię szwedzcy rajtarzy. I co? Nadal chętny?

– Tak, wasza wysokość.

– Nie miałeś do czynienia z wieloma książętami, co? Lekcja pierwsza: „wasza książęca mość” albo „jaśnie oświecony”, nie jestem królem, a nie próbuj się podlizywać, bo tego nie lubię. Ponieważ jesteś prawdopodobnie najbardziej doświadczonym w walce z dominikanami żołnierzem, jakiego mam, będziesz służył pod moim alchemikiem, Myliussem. Trudno nadać mu jakąś rangę, ale gwarantuję, że cenę sobie jego opinię nie mniej niż najlepszych generałów. Na potrzeby formalne i żeby intendentura nie suszyła mi głowy, zostaniesz kapitanem, ale podlegać będziesz bezpośrednio mi i jemu. Jasne?

Schenk kiwnął głową.

– Jeżeli masz jakiegokolwiek pytania, Mylius z pewnością chętnie na nie odpowie.

– Wasza książęca mość – wtrącił się dotychczas milczący von Geyso. – Wiemy już na pewno, że Mylius jest oślepiiony...

– I co z tego? Wzrok mu niepotrzebny, żeby miotać maleficia. Mówić chyba może?

– Może...

– No właśnie, więc chętnie odpowie na pytania. Dobrze, to tyle. Zgłoś się najpierw do intendentury po papier, a potem do alchemika.

– Wasza książęca mość... a co z dziewczyną? – odważył się zapytać Schenk.

Wilhelm wzruszył ramionami.

– Uciekła. Trudno, zdarza się. Nie przejmuj się nią więcej. Niedługo będziesz miał ważniejsze sprawy na głowie. Nie sądzę, żebyśmy jeszcze kiedyś o niej usłyszeli.

Schenk, który zdążył trochę poznać Katarzynę, uważał, że książę myli się – i to grubo. Ale nie dał nic po sobie poznać. Niezgrabnie stuknął obcasami i wyszedł z namiotu z zamiarem zapytania pierwszej napotkanej osoby, co to właściwie jest intendentura.

\*

Katarzyna była tak zmęczona, jakby sama brała udział w bitwie. Nie bardzo wiedziała, jak jej i pozostałym udało się przemknąć między uciekającymi we wszystkie strony kawalerzystami i piechurami z oddziałów, które rozsypały się w polu. Jak przez mgłę pamiętała negocjacje z bandą szwoleżerów, którzy

usiłowali ich pojmać, oraz dość chaotyczną ucieczkę przed rozbitym pułkiem chłopskiego pospolitego ruszenia uzbrojonego w widły, cepy i motyki. Dość, że po kilku godzinach kluczenia, chowania się w rowach, kładzenia koni co sto kroków i szeptania udało im się dotrzeć do prowadzącego na północ, wyludnionego gościńca. Zaczynała się obawiać, że wyczerpali limit szczęścia na całe życie. Padali z nóg, podobnie jak konie.

Po przejechaniu raptem kilku mil dotarli do niewielkiego miasteczka, w którym znaleźli niewielką gospodę. Nie wahając się długo, rozpruli sakiewkę Blanchefleur i po zjedzeniu pożywnego posiłku, na który składała się zawieszista zupa cebulowa i pieczone kurczę, poszli spać – w końcu w łózkach.

Następnego dnia nie tracili czasu. Nie zjedli śniadania, bo okazało się, że przezorna von Barby miała w swoich sakwach również trochę prowiantu. W o wiele lepszych nastrojach od razu wsiedli na konie, spoglądając na siebie niepewnie, jakby nie do końca przekonani, czy naprawdę przeżyli poprzedni dzień i czy nie są czasem duchami, które będą się teraz błąkać na pograniczu hesko-westfalskim po kres dni.

– Ciekawe, co się stało z Jasnym. – Katarzyna wyglądała na zatroskaną.

– Jestem pewny, że dał sobie radę. W życiu nie widziałem bardziej bezczelnego i rezolutnego zarazem chamidła – uspokoił ją Euwe.

Dalsza podróż okazała się niemal sielanką. Na gościńcu do Kolonii, na który pokierował ich oberżysta w gospodzie, nie spotkali nikogo poza dwoma wozami kupieckimi i niewielkim orszakiem zbrojnych, dowodzonych przez młodego flamandzkiego szlachcica, który szybko zmierzał na południe. Zagadnięci, poinformowali go, że wielka bitwa już się odbyła, na co arystokrata zaklął szpetnie i nakazał swojemu pocztowi zwolnić, ale bez dalszej indagacji ruszył dalej w swoją stronę.

Gdy pod wieczór dotarli do Kolonii, okazało się, że nikt jeszcze nic nie wie o wyniku boju. Wojska wycofały się nie wiadomo gdzie, a oni, nie chcąc ściągać na siebie zbędnej uwagi, nie chwalili się swoim uczestnictwem w najnowszych wydarzeniach. Znów przenocowali w gospodzie. Katarzyna miała wrażenie, że śni: po trzech tygodniach tułaczki, jedzenia suszonego mięsa, spania na ziemi, mordów, walk, potu i brudu już drugą noc spała w ciepłym łóżku po tym, jak zjadła ciepłą kolację. Jak na ironię, właśnie tej nocy dostała miesiączkę, zupełnie jakby jej ciało, pozbawione codziennie składanych mu w ostatnim czasie danin z cudzej krwi, zażądało jej własnej.

Opuścili miasto nad ranem, kierując się doskonale oznaczoną drogą na północ. Okazało się, że kurierzy, dezenterzy i gapie dotarli do Kolonii w nocy i cały rynek huczał na temat bitwy. Uznano ją za nierozstrzygniętą, a baby przy studni mówiły, że obie strony zaprzedały się diabłu, odprawiając szatańskie czary.



Wieść bieżała dalej. Podobno Gustaw Adolf wycofał się z powrotem na wschód, do Hesji, zaś Wallenstein – na południe. Wszystko wskazywało na to, że na drodze do Lejdy nie stały już żadne wojska, które mogłyby ich pochwycić.

Katarzyna nawet nie zauważyła, kiedy wjechali do Holandii. Mijani po drodze ludzie, pytani o drogę i wieści, mówili coraz gorszą niemiecczyzną, aż w końcu zaczęła ich rozumieć tylko piąte przez dziesiąte, w przeciwieństwie do Euwego, który gulgotał do nich tak płynnie i entuzjastycznie, jak nigdy nie zdarzało mu się po niemiecku. Z całą mocą dotarło do niej, że opuścili Niemcy, dopiero gdy z jednego z ostatnich brabanckich wzgórz zobaczyła Nijmegen, za którym rozpościerała się płaska jak stół równina niderlandzka.

Gdy wjechali do miasta, które dopiero niedawno zostało wyzwolone spod okupacji hiszpańskiej i gdzie roiło się od żołnierzy, Euwe skierował ich prosto do ratusza. Tam, bulgocząc po niderlandzku do rajców i najwyraźniej korzystając ze swoich naukowo-politycznych wpływów, wydebił dla nich ekwipaż i niewielką eskortę. Z miasta wyjechali następnego ranka w otwartej czterokółce prowadzonej przez chłopskiego stangreta, w otoczeniu czterech orańskich arkebuzerów w lekkich, pomarańczowo-zielonych kurtach.

Dziewczęta rozglądały się naokoło. Pejzaż nie był zbyt urozmaicony – wszędzie było płasko, co sprawiało irytujące wrażenie, jakby miasteczka, budynki i ludzie wyłaniały się spod ziemi. Choć do tej pory większość podróży upływała im w milczeniu, wjazd do Niderlandów jakby zdjął pieczęcie z ich ust – zaczęli wesoło rozmawiać, komentując mijane pejzaże idworskie anegdoty, którymi Blanchefleur sypała jak z rękawa; Euwe uczył dziewczęta najprostszych niderlandzkich słówek. Wiosenne słońce delikatnie grzało, a wionący znad morza wiatr niósł nieznany wcześniej dziewczętom zapach soli.

W pewnej chwili po prawej zobaczyli dymy i dalekie wieże, które Euwe zidentyfikował jako Amsterdam. Panie wychyliły się ciekawie z powozu, usiłując dojrzeć coś więcej – żadna z nich nie była nawet w stolicy swojego księstwa, a co dopiero w metropolii imperium kolonialnego, jakim była Republika Siedmiu Zjednoczonych Prowincji! Niedługo jednak było im dane wpatrywać się w widniejące na horyzoncie wielkie miasto. Nagle, tak jak wszystko w tym kraju, z ziemi przed nimi wyrosły mury niewielkiego miasta. Wyglądały na bardzo stare i były silnie obsadzone. Gdy zbliżyli się do fosy, którą przecinał most zwodzony, a ich oczom ukazała się brama miejska, Euwe uśmiechnął się szeroko.

– Lejda – powiedział.

**CIĄG DALSZY NASTĄPI**

## OD AUTORA

Rzesza Niemiecka w formie, w której funkcjonowała w wiekach XVI, XVII i XVIII, jest jednym z najciekawszych zagadnień z zakresu historii nowożytnej – ten przedziwny konglomerat księstw, langrafostw, markgrafostw, biskupstw i wolnych miast, będący źródłem setek anegdot, niesamowitych historii, bajań i legend, wydał mi się lepszym tłem dla mojej opowieści niż jakikolwiek świat, który mógłbym wymyślić od podstaw. Należy jednak zaznaczyć, że jestem literaturoznawcą, a nie historykiem. Moją ambicją było sprawne opowiedzenie interesującej i w miarę realistycznej – na tyle, na ile to możliwe w wypadku fabuły fantastycznej – historii. Dlatego też z góry przepraszam wszystkich zainteresowanych historią regionu i okresu za nieścisłości i potknięcia, których niewątpliwie uzbiera się w tej książce wiele, choć mam nadzieję, że na tyle mało, aby nie psuły nikomu przyjemności z lektury. Mam też nadzieję, że dla tych samych osób pewnym wynagrodzeniem będą historyczne smaczki, które wplotłem w narrację z niegasnącą nadzieją, że znajdą się wariaci, którzy je zauważą.

Nie bez powodu jako punkt wyjścia dla historii alternatywnej przyjąłem bitwę pod Lützen. Batalia ta skończyła się co prawda tak jak w książce – wygraną szwedzką – jednak zginął w niej Gustaw II Adolf, co stało się początkiem końca skandynawskiej obecności w Niemczech. Śmierć szwedzkiego króla, który jako ostatni gracz na arenie wojny trzydziestoletniej miał jakiegokolwiek szanse zachwiać niewzruszonym filarem Cesarstwa, czyli monarchią Habsburgów, kosztowała Niemcy jeszcze szesnaście lat walk, zakończonych dopiero podpisanym w 1648 roku traktatem westfalskim.

Ogromna większość bohaterów powieści to postaci historyczne, których imiona zachowały się – jak w przypadku książąt – jako noty encyklopedyczne lub – jak w wypadku mniej ważnych osób – wzmianki w drzewach genealogicznych i kronikach poszczególnych regionów Niemiec.

Fikcyjni są Katarzyna i Schenk, ponieważ mimo najszczerszych chęci nie potrafiłem odnaleźć spełniającej moje kryteria pary głównych bohaterów – jednak rodzina Bessererów z Thalfingen oraz hanza Krauzego są już autentyczne. Fikcyjne są niemal bez wyjątku postaci z dołów społecznych – chłop Jasny, najemnicy Krauzego, Christopher Euwe czy Joachim Herzbruder – a to dlatego, że nikt niestety żywotów chłopów, mieszczan i najemników nie opisywał.

Autentyczną postacią jest natomiast Dominik Ibáñez de Erquicia, święty Kościoła katolickiego, który w niealternatywnej wersji historii zginął jako misjonarz w trakcie japońskich prześladowań katolików z rąk rodu Tokugawa. Oczywiście prawdziwi są również wszyscy generałowie, księżęta i kościelni dostojnicy, o których nietrudno znaleźć często nad wyraz ciekawe informacje.

Część z opisanych w powieści miejsc miałem przyjemność zwiedzić osobiście, inne jedynie za pośrednictwem nieopisanie przydatnych narzędzi internetowych, wszystkie jednak są prawdziwymi przestrzeniami, do dziś dającymi się odnaleźć na mapach Niemiec. Jeśli jednak w którymś miejscu mój research okazał się niewystarczający i ktoś, kto przebywał w Birstein lub Norymberdze, zauważy jakiś błąd, nie pozostaje mi nic innego, jak ponownie prosić o wybaczenie.

Odnosnie zaś do tajemniczej dedykacji, myślę, że jest to dobry moment, aby serdecznie podziękować całej ekipie Dynastei, od dawna już nieistniejącej gry internetowej, która wciągnęła mnie w szaleństwo historii nowożytnej i pozwoliła wykształcić umiejętności, dzięki którym potrafiłem znaleźć na duńskiej Wikipedii spis pułkowników armii heskiej z okresu bitwy pod Breitenfeld. Szczególne podziękowania należą się Pawłowi Boyarskiemu, Przemkowi Etzowi i Michałowi Petrusowi, najszczególniejsze zaś tym dwóm ostatnim, ponieważ uchronili biednego Ferdynanda Habsburga przed przemianowaniem na Fryderyka i przypilnowali, żeby na niebie bohaterów świeciły te gwiazdy, które faktycznie widniały na firmamencie w 1633 roku.

Podziękowania należą się też oczywiście Aleksandrze Kucharskiej, za cierpliwość (a ile cierpliwości wymagają pisarze, wiedzą tylko ich życiowi partnerzy lub partnerki), ale też za to, że to pod jej wpływem skatalizowała się finalnie koncepcja ideowa powieści. W drugiej kolejności – Mikołajowi Borkowskiemu za kupienie mi w krytycznym momencie *Przygód Simplicissimusa* barona von Grimmelshausena, co stało się impulsem do rozpoczęcia tej historii, a także Maciusiowi Libichowi, będącemu w pewnej chwili jedyną osobą, której chciało się tę książkę czytać, a co za tym idzie, jedynym powodem, dla którego chciało mi się ją pisać.

Na zakończenie zaś chciałbym podziękować serdecznie Paulinie Stoparek, redaktorce, której mrówcza praca nad moją dziwaczną stylistyką, rozbuchanymi metaforami, dziesiątkami inwersji i chaotycznym tempem sprawiła – jak sądzę – że powieść będzie się czytać o wiele lepiej i przyjemniej.

## Psy Pana

Copyright © by Marcin Świątkowski 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Redakcja – Paulina Stoparek

Korekta – Tomasz P. Bocheński / WIELE KROPEK, Kornelia Dąbrowska

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafika na okładce – Bogna Gawrońska

Mapa – Marcin Karaś

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN epub: 9788382106084

ISBN mobi: 9788382106091



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędzia

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)

[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

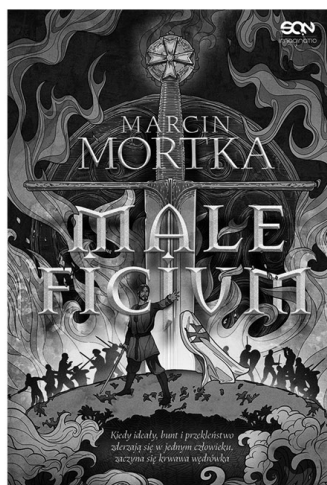
[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

## CO ZAKOPYWANO POD DROGOWSKAZEM NA ROZSTAJACH DRÓG?

Bruno Calazzo, nazywany przez braci z zakonu szpitalników wiedźmim synem, co noc widzi twarz kobiety płonącej na stosie, a za dnia ma silne przeczucie, że na Malte, nową ojczyznę zakonu, spadnie nieszczęście.

W istocie, nadchodzące dni okażą się dla niego trudną próbą.

Atak tureckich piratów pod wodzą słynnego Turguta Reisa, który nie wie, czemu zdaje się żywić urazę do Brunona, uwolni łańcuch zdarzeń.



## BRAWUROWO POŁĄCZONA HISTORIA Z MAGIĄ

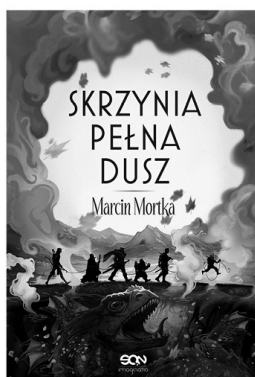
Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

## BŁYSKOTLIWE POŁĄCZENIE SAPKOWSKIEGO I PILIPIUKA



**KARCZEMNE BIJATYKI, DWORSKIE SPISKI,  
NOCNE BIESIADOWANIE... PRZEKONAJ SIĘ,  
CO JESZCZE CZEKA NA CIEBIE W DOLINIE!**

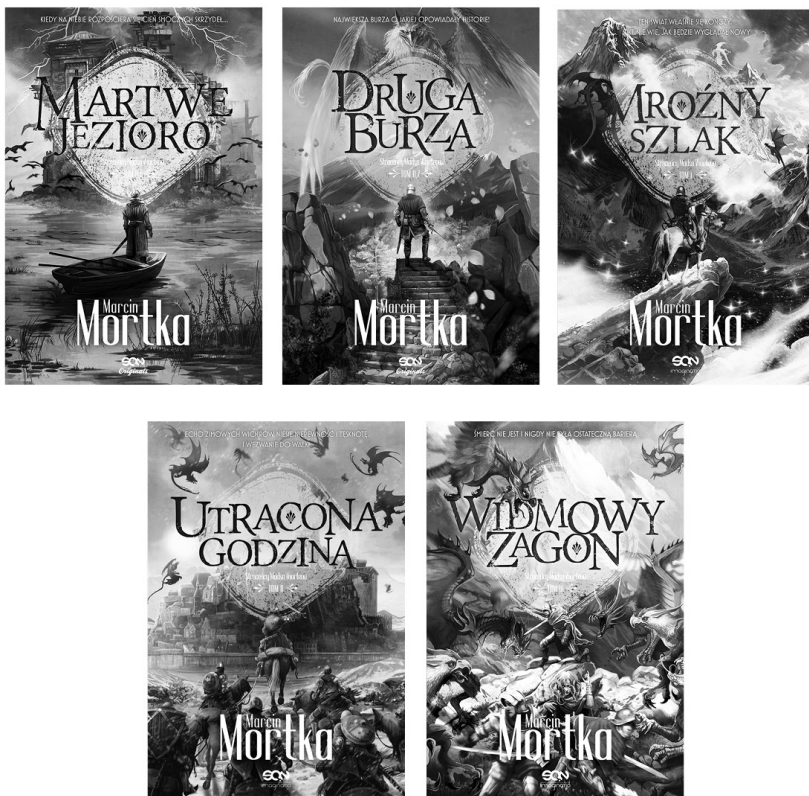
**Szukaj w dobrych księgarniach**

**SQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

## PIĘCIORO PODRÓŻNIKÓW, CZTERY TAJEMNICZE CELE, JEDNA BARDZO NIEBEZPIECZNA WYPRAWA



**KLASYCZNA FANTASTYKA W STYLU UWIELBIANYM  
PRZEZ TYSIĄCE CZYTELNIKÓW!**

**Szukaj w dobrych księgarniach**

**SQN**

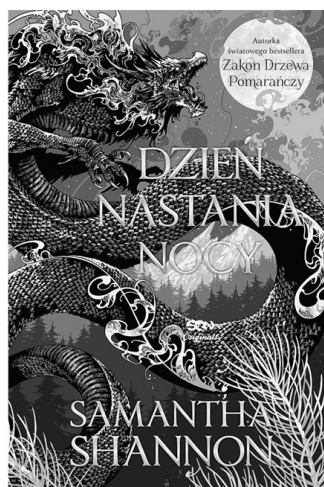
WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)



## **DZIEŃ NASTANIA NOCY TO EPICKA OPowieść ROZGRYWAJĄCA SIĘ W ŚWIECIE ZAKONU DRZEWA POMARAŃCZY**

Tunuva Melim, siostra Zakonu, przez pięćdziesiąt lat przygotowywała się do walki z wyrmami – ale od czasu pokonania Bezimiennego na świecie nie pojawił się żaden z nich. Młode pokolenie zaczyna kwestionować zasadność istnienia Zakonu.



**KOBIECY MUSZĄ STAWIĆ CZOŁA I OBRONIĆ LUDZKOŚĆ  
PRZED ŚMIERTELNYM ZAGROŻENIEM**

**Szukaj w dobrych księgarniach**

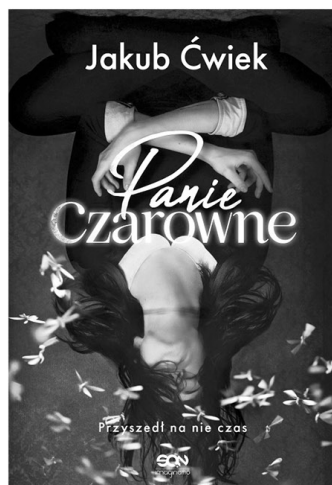


WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

## **PRZYSZEDŁ NA NIE CZAS OBDARZONA PIERWOTNĄ MOCĄ TRÓJNIA**

Głuchołazy, małe miasteczko na polsko-czeskim pograniczu ma w herbie kozi łeb. To miejsce, gdzie w siedemnastym wieku wieszano kobiety podejrzane o uprawianie czarów. Większość z nich trafiła na stryczek za nic. Ale były wśród nich także one. Te, które wiedzą. Te, które mogą umrzeć, ale nie odchodzą tak łatwo.



**CZY W XXI WIEKU HISTORIA ZATOCZY KOŁO?**

**Szukaj w dobrych księgarniach**



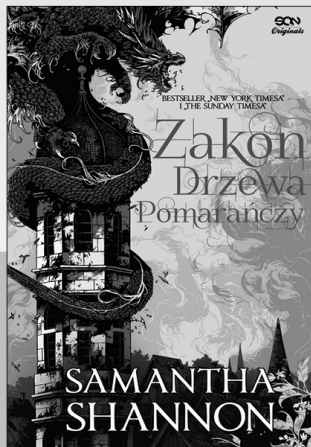
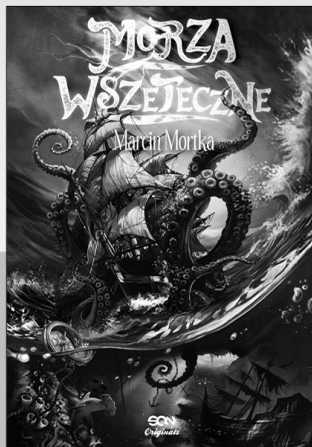
WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

## Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.  
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



**SQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

**SQN**STORE.PL

labotiga.pl